

PISZĄ: ZIEMKIEWICZ, WARZECHA, FIEDORCZUK

Jaka powinna być nasza strategia
wobec wojny na Ukrainie



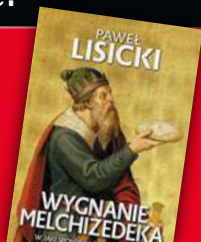
TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 47/503 21-27 LISTOPADA 2022
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Tęczowy zamordyzm
- o homoseksualistach
dobrze albo wcale?

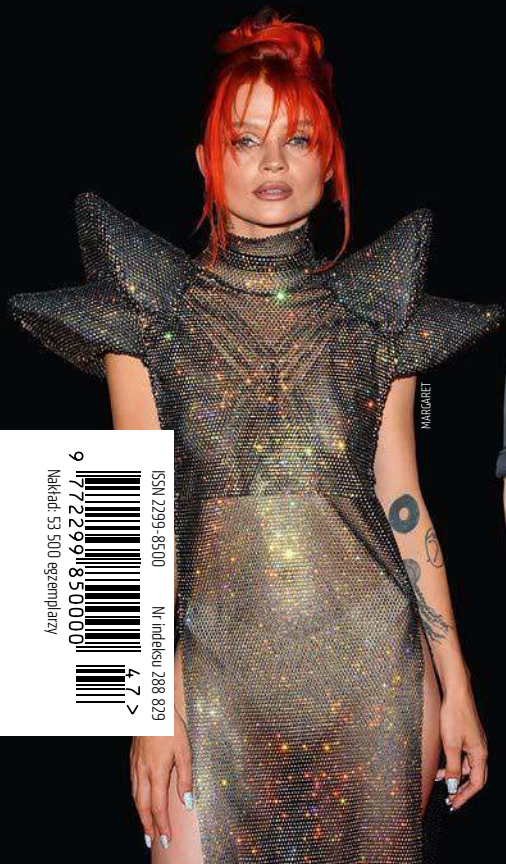
W POSZUKIWANIU
ZAGINIONEGO
SACRUM
- NOWA KSIĄŻKA
PAWŁA LISICKIEGO



Odwrócony patriarchat
- dlaczego dziewczynki
są lepiej oceniane w szkołach

GROŹNA CHOROBA

APOSTAZJI



MARGARET



DAVID PODSIADŁO



ARTUR BARTYŚ



AGNIESZKA WŁODARCZYK



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829

Nakład: 53 500 egzemplarzy

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



1922 i 2022!

ZAMORDOWANIE POLSKIEGO CUDU WOLNOŚCI

- Włodzimierz Suleja – Tragedia I prezydenta RP i Polski
Jakub Ostromięcki – „Precz z wybranćem Żydów!”
Tomasz Stańczyk – Mord w Zachęcie i proces zabójcy
Grzegorz Janiszewski – Stan wojenny w twierdzy Port Gdański
Mikołaj Iwanow – Sowieccy jeńcy wojenni u boku Hitlera
Piotr Semka – Szczecin kopalnią cegieł dla Warszawy
Sławomir Koper – Tanie wino i Piwnica pod Baranami
Maciej Rosalak – Joannici i sułtan Sulejman Wspaniały

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

W stanie wyższego uniesienia

Nic lepiej nie pokazuje, do jakiego stopnia z głów polskich polityków i publicystów, z niewielkimi, chlubnymi wyjątkami, wyparował zdrowy rozsądek, jak reakcje na tragedię w Przewodowie. Przecież pierwszą i najważniejszą rzeczą, zanim wyda się osąd, musi być wiedza o faktach. Tymczasem przez kilkanaście godzin, od chwili, kiedy we wtorek po południu pojawiała się najpierw niejasna informacja o tajemniczych wybuchach (bo początkowo miały być dwa) w województwie lubelskim, aż do doniesień w nocy, że był to wybuch jeden i jego przyczyną

dzi o wojnę na Ukrainie, jest swoista konkurencja między władzą oraz opozycją o to, kto bardziej bezpardonowo potępi Putina. Tak jakby po obu stronach politycznej strony wierzono, że przy pomocy zaklęć, pohukiwań i gestów oburzenia zniechęcona Rosja zniknie, rozpadnie się, uleci gdzieś w niebyt ku Azji.

Tak więc były minister obrony narodowej opowiadał, że w tej sytuacji (która przecież była mu nieznana) należy natychmiast wysłać wojsko polskie z misją pokojową na Ukrainę. Znany polityk opozycji nie mógł być gorszy i namawiał do zajęcia w odwecie (za co dokładnie jeszcze nie wiedział) Kaliningradu. Słynny generał wykrzykiwał, że nie może tak być, by na Polskę spadały rakietę rosyjskie. Polskie MSZ w nocy wezwało ambasadora Rosji, jak można rozumieć po to, by zaprotestować, bo rakietę była zbudowana z części rosyjskich (pomysł, żeby państwo odpowiadało za uzbrojenie, które wyprodukowało, jest, muszę przyznać, osobliwy).

Od polityków nie mogli być gorsi specjaliści i publicyści. Jedni namawiali do odpalenia na Rosję rakiet, inni nakłaniali rząd do natychmiastowego wkroczenia armii na Ukrainę. Nikt nie zastanawiał się nad ludzkimi i politycznymi kosztami takich posunięć. Byli i tacy, którzy najmniejsze przypuszczenie, że może chodzić nie o ruską raketę, uznawali za zdradę. Ta wielogodzinna feeria podniecenia skończyła się, jak to zwykle bywa, kaczem nad ranem, kiedy to okazało się, że prezydent Joe Biden ogłosił, że na Polskę spadł pocisk ukraiński.

Ostatnim aktem tego zbiorowego uniesienia były komentarze do własnych komentarzy tych, którzy już zdążyli ogłosić wcześniej, co się wydarzyło. Jak jeden mąż zaczęli dowodzić, że nie ma znaczenia, kto wystrzelił raketę, bo i tak odpowiedzialność za to, że ona spadła, ponosi Moskwa. W pewnym sensie to racja, jednak używanie takiego argumentu – nieważne kto i co, bo liczy się ogólna odpowiedzialność – jest wyjątkowo niebezpieczne. Przypomina bowiem do złudzenia racje zwolenników wojny prewencyjnej, którzy, pomijając fakty, szukają dla swych działań usprawiedliwienia.

Co gorsza, takie postawienie sprawy pomija bardzo ważne pytanie: Dlaczego prezydent Wołodymyr Zełenski od początku jako pierwszy niemal tak stanowczo obstawał przy hipotezie, że musiał to być pocisk rosyjski? Dlaczego nakłaniał Polskę, a zatem i inne państwa NATO, do działań odwetowych? Podobnie jak trudno, przyjmując dobrą wolę, zrozumieć, dlaczego zamiast przyznać się do błędu, tak długo siedł w zaparte. Rzuca to z pewnością cień na jego intencje. W polskim interesie leży wyjaśnienie tej sprawy.

Tym bardziej że pytań jest coraz więcej. Od pierwszej informacji o rakiecie do oficjalnej informacji rządu na temat tego, skąd ona pochodziła, minęło wiele godzin. Dlaczego? Czy chodziło tylko o błędy w komunikacji? A może długie milczenie było skutkiem strachu, jak podają media? Rząd bał się stwierdzić, że chodziło o ukraiński pocisk? Na pewno nie buduje to zaufania do polskich władz. ©©

Dlaczego prezydent Wołodymyr Zełenski od początku tak stanowczo obstawał przy hipotezie, że musiał to być pocisk rosyjski? Dlaczego nakłaniał Polskę, a więc i NATO, do działań odwetowych?

była ukraińska rakietą obrony przeciwlotniczej, dziesiątki znawców zdążyło już zająć stanowisko, wskazać winnych i jeszcze podać receptę. Niemal powszechnie przyjęto tezę, że śmierć dwóch osób została spowodowana rosyjskimi raketami/rakieta, być może – jak wynikało z kontekstu – celowo wysłanymi z Rosji. Chyba najbardziej pozytywnie zaskoczył mnie prezydent Andrzej Duda, który wspominał był, że nie wiadomo kto i dlaczego ową raketę odpalił. A inni?

Tak jak już wiele razy pisałem, zmorą polskiej polityki, jeśli cho-

TEMAT TYGODNIA

20 PAWEŁ CHMIELEWSKI

GROŹNA CHOROBA APOSTAZJI

Kościół w Polsce jest na rozdrożu

RAPORT: POLSKA WOBEC WOJNY NA UKRAINIE

14 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PRĘDZEJ CZY PÓŹNIEJ

16 ŁUKASZ WARZECHA
GORZKIE ODARCIE ZE ŻŁUDZEŃ

18 JAN FIEDORCZUK
GRA W ROSYJSKĄ RULETKĘ

KRAJ

24 JAKUB WOZINSKI
HISTORIA ULEGŁOŚCI
Polski rząd a Komisja Europejska

28 ROZMOWA Z ROBERTEM BĄKIEWICZEM
POLITYCY KONFEDERACJI
MAJĄ FOBIĘ NA PUNKCIE PIS

30 TOMASZ ROWIŃSKI
O DAWANIU W SZYJĘ

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
ODWRÓCONY PATRIARCHAT

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
BIAŁA ZARAŻA
Nowy serial BBC i Amazon Prime

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY



43 WIELKIE POSTACIE POLSKIEJ NAUKI
POLSCY ARCHITEKCI ORAZ
KONSTRUKTORZY DRÓG, KOLEI
I MOSTÓW

OPINIE

60 KRYSZTOF KRATIUŁ
WIELKA POLSKA NIEKATOLICKA?
Debata nad książką Rafała A. Ziemińskiego
„Wielka Polska”

64 PAWEŁ LISICKI
W POSZUKIWANIU
ZAGINIONEGO SACRUM

68 ZUZANNA DĄBROWSKA
DOBRE ALBO WCALE.
TĘCZOWY ZAMORDYZM

HISTORIA

70 PIOTR SEMKA
BANDYCKIE TANGO W PARYŻU
Prawo noża i pięści

ŚWIAT

76 WOJCIECH GOŁONKA
PO WYBORACH W AMERYCE
Nowy układ w imperium

78 PIOTR WŁOCZYK
DESANT Z FLORYDY

80 MACIEJ PIECZYŃSKI
KIJOWSKIE CIEMNOŚCI

EKONOMIA

84 ROZMOWA Z MARCINEM ROSZKOWSKIM
WYSOKIE CENY ENERGII UDERZAJĄ
BARDZIEJ W NIEMCY NIŻ W POLSKĘ
Co determinuje ceny energii?



FELIETONY: SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (74), PRZYBYLSKI (82), GABRYEL, WARZECHA (88), KOMUDA (93), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JĄSTRZĘBOWSKI, WŁOČZYK (96), ROSZKOWSKI (97), CEJROWSKI (98)

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
 Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
 Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela),
 Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czański, Wojciech Golonka,
 Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
 Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
 Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
 Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
 Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
 Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
 Błażej Toraniński, Szwach Weiss, Piotr Włoczek, Marcin Wolski,
 Małgorzata Wólczyk, Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski,
 Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska**,
Kamila Gala, **Zofia Magdziak**, **Anna Szczepańska**, **Marcin Busaj**,
Damian Cygan, **Jan Fiedorczuk**, **Grzegorz Grzymowicz**, **Dawid Sienkowski**,
Łukasz Zygałdo.

STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziółko (kierownik studia),

Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład),
Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
 Fotoedycja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
 Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrzycka-Wernerowska**,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYŚOWNICY: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystopa**
 OKŁADKA: **FOTON**, **Wojciech Olkuśnik**, **Marek Gorczyński**,
Marcin Kmiecicki/PAP

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Agnieszka Jabłońska**,
Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
 pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 53 500 egzemplarzy



Druk: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Droży Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa
 listy i e-maile. Przypominamy, by
 korespondencję elektroniczną
 kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Rewolucyjną zupę w van Gogha”,
„DRz” 45/2022

Właśnie jestem po lekturze tekstu
 „Rewolucyjną zupę w van Gogha”.
 27 października byłem w Hadze
 w Mauritshuis haus. Ilekroć tam jestem,
 idę spojrzeć na „Dziewczynę z perłą”
 i „Widok Delftu” Vermeera. „Dziewczyna
 z perłą” to mój ulubiony obraz, mam
 w domu kilka reprodukcji.

Tego dnia miałem sporo czasu
 i po obejrzeniu innych obrazów do
 „Dziewczyny...” wracałem kilkakrotnie.
 Za ostatnim razem zauważyłem
 w drzwiach wejściowych na salę kilku
 mężczyzn, zachowywali się dziwnie,
 zaglądali na salę i wychodzili.
 Było to dziwne, ale dopiero potem okazało
 się, o co im chodziło. W drzwiach między
 tą salą a kolejną stała pani z ochrony,
 miała ogląd na dwie sale. Widocznie
 czekali, aż ochrona nie będzie zwracać na
 nich uwagi. Tak też się stało,
 ponieważ jeden z tych mężczyzn na
 drugiej sali zaczął dotykać jakiś obraz,
 wówczas pani z ochrony podeszała, żeby
 zwrócić mu uwagę. Wtedy reszta wpadła
 na salę z „Dziewczyną z perłą”. Resztę Pan
 chyba zna.

Ochrona kazała nam natychmiast
 opuścić pierwsze piętro. Ale co mnie naj-

bardziej zaskoczyło, to reakcja świad-
 ków. Wszyscy, którzy tam się znajdowali,
 wyzywali tych... przepraszam, idiotów,
 i to jeszcze jak. Nie znam holenderskie-
 go, ale wystarczyło popatrzeć. Przed
 muzeum pojawiła się za jakiś czas
 holenderska telewizja i przeprowadza-
 ła wywiady ze świadkami. Jakiś Polak
 tłumaczył mi, że wyzywali tamtych od
 najgorszych. To mimo wszystko pocie-
 szające. Wieczorem oglądaliśmy wiado-
 mości i na tych idiotach nie zostawiono
 suchej nitki.

**Pozdrawiam serdecznie i zdrowia życzę
 Imię i nazwisko do wiadomości redakcji**

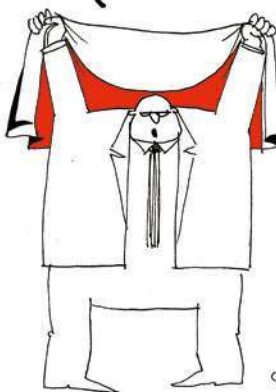
Gratulacje dla Strażników

Droga Redakcjo, Szanowni Strażnicy,
 z przyjemnością przeczytałem relację
 z gali wręczenia nagrody Strażnik
 Pamięci, a także felieton o tej nagrodzie
 piórka pani Małgorzaty Wólczyk. Z cha-
 rakterystycznym dla siebie poczuciem
 humoru pani Małgorzata pisze o tym,
 jak odbierana przez niektóre środowiska
 może być ta nagroda (jak i zresztą
 wszystko, co robi prawica) oraz jakie ona
 ma zdanie i odczucia na ten temat.

Jako zwykły, względnie regularny
 czytelnik chciałem tylko dołączyć się do
 tej opinii. Uważam, że to, co robicie, jest
 ważne i zasługuje na docenienie. Zresztą
 o tym, że jest doceniane, świadczy lista
 wielkich nazwisk osób, które nagrodę
 tygodnika „Do Rzeczy” przyjęły. Redak-
 cji dziękuję, a Strażnikom i dziękuję,
 i gratuluję.

Mirosław, Oleśnica

Nie uo... poważnie! Tym razem to już
 tak ustąpimy, tak ustąpimy Komisji Europejskiej,
 ze naprawdę...



ce 2 2 5 7 2 5 7 1 1 5 0 0 5



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Biblia w oczy kole

Nie jest to mój pierwszy komentarz poświęcony perypetiom wokół odbudowanego zamku Hohenzollernów w Berlinie. Jego burzliwe dzieje po wojnie to wysadzenie zamku w powietrze, budowa na jego miejscu w latach 70. pałacu Republiki NRD, rozbiórka pałacu na przełomie XX i XXI w., odbudowa zamku od nowa, ale jako forum Humboldta mającego eksponować rozmaite kultury świata, spory o krzyż na kopule zamku i wreszcie – decyzja o pozostawieniu krzyża na kopule.

Odreštaurując zamek, odtworzono napis na wstępie wokół kopuły („Nie ma zbawienia w żadnym innym imieniu nadanym ludziom jak tylko w imieniu Jezusa, na chwałę Boga Ojca. Aby na imię Jezusa zgięło się każde kolano, które jest w niebie, na ziemi i pod ziemią”).

Krytycy, szczególnie z Afryki, zaprotestowali przeciwko krzyżowi na kopule oraz napisowi na wstępie jako symbolowi chrześcijańskich rządów kolonialnych. Inni z kolei zaczęli powątpiewać, czy chrześcijańskie przesłanie pasuje do fasady uniwersalnego muzeum, które ma ukazywać zróżnicowane kultury świata. Minister kultury

Claudia Roth z partii Zielonych ogłosiła, że pogląd, iż napis „jest po prostu apolitycznym znakiem religijności”, jest zdumiewający i ślepy na historię. Stwierdziła, że z punktu widzenia wielu historyków inskrypcja służyła do roszczeń króla pruskiego do władzy absolutnej i jako taka w zrozumiały sposób może budzić wątpliwości.

Deputowani chadecji orzekli, że przywrócenie sentencji było po prostu wynikiem wiernego odtworzenia fasady przez konserwatorów. A na tarasie zamku miała być i tak zaplanowana tablica informacyjna, która wyjaśniała historyczny kontekst napisu stworzonego przez Fryderyka Wilhelma IV.

Kia Vahland, wykładowca uniwersytetu monachijskiego, ogłosiła w „Süddeutsche Zeitung”, że Forum Humboldtów w odbudowanym pałacu berlińskim powinno oznaczać kosmopolityczne nowe Niemcy, które przejmą odpowiedzialność nie tylko za własną przeszłość, lecz także za globalną przyszłość. Zapytała, czy Niemcy chcą podtrzymywać przeddemokratyczne gesty wyższości. I odpowiedziała: „Nie chcę tego. Instalacja artystyczna

(z rozmaitymi humanistycznymi cytatami) powinna tymczasowo zostać nałożona na napis na kopule”. W opinii Kii Vahland taka twórcza interwencja wysyłałaby sygnał: „Jesteśmy już w teraźniejszości – i to jest jeden z powodów, dla których wyżej stawiamy współczesną sztukę nad pruskiego króla”.

W odpowiedzi przewodniczący ewangelickiej grupy roboczej CDU/CSU Günter Nooke zarzucił pani minister kultury „nietolerancję wobec wiary chrześcijańskiej i własnych korzeni historycznych i kulturowych”. Claudia Roth zaproponowała kompromis. W ciągu dnia napis z biblijną sentencją będzie niewidoczny, ale po zapadnięciu zmroku – o ile dobrze zrozumiałem pomysł pani minister – wysuwany będzie swego rodzaju kołnierz, na którym elektronicznie wyświetlane będą wybrane rozmaite sentencje z mądrości wszystkich kultur świata.

Czy takie rozwiązanie zakończy spór? Równie dobrze można się spodziewać, że pojawi się pomysł, aby na szczycie kopuły symbol krzyża był zmieniany, dajmy na to na półksiężyc, znak yin i yang czy gwiazdę Dawida. ©

DOŻYWCIE DLA PROROSYJSKICH MORDERCÓW

Rosja miała całkowitą kontrolę nad siłami separatystycznymi we wschodniej Ukrainie w czasie, gdy nad tym terytorium zestrzelono samolot malezyjskich linii lotniczych MH17 – orzekł w czwartek holenderski sąd w Badhoevedorp pod Amsterdamem, skazując zaocznie na dożywocie trzech prorosyjskich separatystów. Sędziowie uznali ich za współwinnych strącenia w 2014 r. samolotu odbywającego lot MH17 (wrak na zdjęciu). Zginęło wówczas 298 osób. (jap) ©



FOT. ALEXANDER KHODOTEV/VIAFP/EPSTEIN NEWS

dwaj panowie **g**



Ach, te złe języki! Nie wiedzieliśmy, że tyle ich w PiS! Co gorsza, wszystkie należą do ważnych ludzi, którzy zamiast spokojnie pić wino w miniony wtorek, musieli odpisywać na rozpaczliwe SMS-y rodziny i znajomych, pytających, czy już nas ruskie atakują i trzeba w związku z tym pilnie wyjeżdżać z kraju. Ten kawałek rozrywki zawdzięczały wyśmienitej polityce komunikacyjnej kancelarii premiera po wybuchu w Przewodowie. Chcieliśmy przypomnieć, że w PiS PR-owcy premiera Mateusza cieszą się od lat wielką renomą. A teraz jest ona jeszcze większa.

PR PR-em, ale liczą się konkrety. A tu ciekawostka. Jak opowiadają wiewiórki, pierwszymi osobami, do których zadzwonili Amerykanie, żeby zapytać, o co chodzi, byli wicepremier i szef MON Mariusz Błaszczak oraz prezydent Andrzej Sebastian. Dobrze wiedzieć, że nasi najlepsi sojusznicy mają orientację w terenie. W związku z tym wiedzą, gdzie warto dzwonić, a gdzie nie bardzo.

Lis z Koniem, to znaczy z Giertychem, u których proces postępującej niesiołozacji postępuje w zastraszającym tempie, oskarżyli PiS o sfabrykowanie wybuchu w Przewodach. Po co? Aby ukryć własne „złodziejstwo” przy pomocy czegoś „oryginalnego i drastycznego”. Uprzedzając ewentualne enuncjacje Koniolisa o tym, że PiS najechał Ukrainę, od razu zaznaczamy, że jednak nie. PiS wysłała na Ukrainę broń, PeŁo wysłała jedynie Sławka Nowaka. Widać więc od razu, kto pomagał, a kto szkodził.

Tymczasem w prokuraturze. Po czym poznać, że zbliża się kampania wyborcza? Pierwszym zwiastunem jest zalew zawiadomień o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez lokalnego polityka starającego się o ponowną elekcję. Nasze wiewiórki w prokuraturze zauważały ostatnio wyraźny wzrost liczby tego typu zawiadomień. Większość anonimowych. Po prawdzie jednak ustalenie tożsamości nadawców nie jest trudne. Zwykle są to bowiem towarzysze partyjni usiłujący zawczasu wysłać kolegę z listy. Po czym to rozpoznać? Ano po tym, że zawiadomienia tej samej treści przesyłane są równocześnie do partyjnej centrali układającej listy.

Nie wszyscy mają dostęp do tej skarbnicy mądrości, więc wystąpimy w roli streszczających. A także edukatorów, bo niektóre zawiadomienia mają charakter kuriozalny. Informujemy więc donosicieli, że w myśl Kodeksu karnego ani cudzołóstwo, ani homoseksualizm nie są w Polsce czynami karalnymi. Ponadto zwracamy uwagę, że w świetle prawa nie jest pedofilią związek dorosłego mężczyzny z pełną 16-latką. Inna sprawa, że w partyjnej centrali zapewne taka wiadomość nie zostanie przeoczona.

Skoro o seksie. Do poziomu Koniolisa stoczył się ostatnio Zły Donald z Sopotu, rzucając bon mot, że Kaczyński nie zna się na seksie. Wstrętni internauci wyciągnęli w odpowiedzi fragmenty z książki „Między nami” autorstwa Małgorzaty Tusk oraz zdjęcia Wojciecha Fułka. Ton komentarzy był jednoznaczny – zachodzono w głowę, czemu pani Tuskowa nie zdecydowała się jednak zostać ze znacznie przystojniejszym Fułkiem. Ku refleksji dodamy, że w samej PeŁo wśród wielu towarzyszy walki partyjnej żarcik Donalda nie wywołał aplauzu.

Przechodzimy do kwestii niemieckiej (w sumie płynnie, bo wprost od Donalda). Mało kto zauważył

skandalik w Bundeswehrze wytknięty przez „Bild”. Otóż niektórym żołnierzom fasującym mundury wydano je z naszymi SS. Skojarzenie jest jednoznaczne, choć akurat tym razem chodziło nie o Schutzstaffel, lecz o rozmiar: „super short”. „Bildowi” skojarzyło się z gloryfikacją zbrodni niemieckich, i dobrze. Nas intryguje inny fakt: Jak tu się bać armii, która bierze w kamasze wojaków w rozmiarze XS?

Uprzedzając powszechne oburzenie powyższą notką, która zostanie oskarżona o size shaming, czyli prześladowanie niewinnych ze względu na mikry rozmiar, musimy od razu coś ujawnić. Otóż niedawno znane postacie ze świata ekspercko-politycznego, o których odchudzaniu napisaliśmy, zarzuciły nam fit shaming, czyli naśmiewanie się z chudych. Wyznajemy więc, że jeśli już, to chudym zazdrościmy, a wieści dietetyczne ze świata polityki podajemy wyłącznie, by zachęcić do podobnych działań szerokie rzesze czytelników.

Są jednak sprawy, którym należy się poważny shaming. Otóż w Brukseli pojawiła się grupa wyborców na zaproszenie eurodepa Richarda H. Czarneckiego. Okazją była w wystawa ku czci trenera tysiąclecia, Kazimierza Górskiego. Wśród gości rej wodził niejaki Janusz Jesionek. Tak ekspresyjnie zwracał na siebie uwagę, że ktoś wpadł na pomysł, by przeciągnąć go przez Internet. I wyszło, że to legenda: kierownik drużyny reprezentacyjnej Orłów Górskiego, działacz PZPN, wreszcie były ambasador w Słowenii. Niestety, jest i dalszy ciąg kwerendy – w inwentarzu IPN. Cóż, okazało się, że facet rejestrowany był jako ucho komunistycznej wojskowej bezpieki, czyli II Zarządu Sztabu Generalnego.

Sprawa ma dwa aspekty. Richardowi H. Czarneckiemu życzymy w przyszłości większej ostrożności w doborze gości. Jeśli nie wystarczy chwila zadumy, to zawsze można poprosić wiewiórkę o pomoc w kwerendzie. No i drugi powód do zadumy: Jakąż przenikliwością wykazali się wojskowi bezpieczeństwa, gdy przed laty nadali Jesionkowi pseudonim Dyzma? Cała historia wyszła bowiem na jaw może nie tyle przy talerzyku sałatki, ile jednak wskutek zachowania na przyjęciu. ©©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Prawo i pięść

Trybunał Konstytucyjny opublikował uzasadnienie wyroku, wydanego w ubiegłym roku, który – w skrócie – potwierdził, że na terenie Rzeczypospolitej Polskiej konstytucja jest prawem nadrzędnym nad orzeczeniami organów Unii Europejskiej, z wyjątkiem tych obszarów, w których państwo polskie w zawartych traktatach jasno scedowało swe kompetencje na instytucje wspólnotowe.

Nie ma w tym żadnej sensacji: logicznie wynika to z konstytucji, z traktatów UE, a także z kilku wcześniejszych wyroków UE z czasów, kiedy o objęciu władzy przez PiS nawet największym optymistom się nie śniło. To, że mimo to lewicowo-liberalne jaczejki rozjaźgotwały się o „prawnym polexicie”, „haniebnym orzeczeniu trybunału

Przyłębskiej” i „międzynarodowym skandalu”, w żaden sposób nie wynika z troski o praworządność, a jedynie z ochoczego sekundowania przewodniczącej KE von der Leyen, która wyrok sprzed roku określiła jako „zakwestionowanie podstaw Unii Europejskiej” i stanowczo potępiła (wykazując się tym samym albo nieznanomością, albo zupełnym lekceważeniem dla umów międzypaństwowych, które owe podstawy tworzą, a które jasno określają Unię jako konstrukcję opartą na zasadzie delegowania określonych kompetencji przez państwa narodowe na wspólnotę, a nie nadrzędności wspólnoty nad państwami).

Ale wszyscy wiemy, że tu już od dawna prawo nie ma nic do rzeczy – chyba że za prawo uznamy „pewną taką vis maior” (jak uza-

sadniał swe bezprawne działania prof. Rzepliński – który właśnie, dziś się okazuje, jako przewodniczący TK „podstawy” zakwestionował). „Pewna taka” siła wyższa jest w Brukseli rozumiana jako konieczność „pogłębienia integracji” prawem i lewem. A że prawem się nie da, to lewem – np. bezprawnym obcinaniem Polsce należnych funduszy.

Z całego jazgotu, który wobec wybuchu w Przewodowie mógł państwu umknąć, jakiś sens miał tylko jeden wątek: dlaczego uzasadnienie opublikowano właśnie teraz, po 13 miesiącach od wyroku? No cóż, chciałbym, żeby się okazało, że miało to jakiś związek z bojem toczonym w KE o odblokowanie owych funduszy przez ministra Szyńkowski-ego vel Sęka... ©©



MAREK JUREK

OD POZACZĄTKU

Tragiczny test

Najprawdopodobniej przypadkowe uderzenie rakiety w Hrubieszowskiem przez przypadek właśnie stało się testem naszego bezpieczeństwa. Pisałem kiedyś, że potoczna wiedza sprowadza cały traktat waszyngtoński do artykułu piątego, na dodatek w jego „wersji” gazetowej, a nie oryginalnej. Teraz nasza opinia dowiedziała się, że zanim uruchomiony zostanie artykuł piąty, jest jeszcze czwarty, czyli „wspólne konsultacje” w sytuacji zagrożenia, a i on nie działa automatycznie. Dlatego władze zastanawiały się, czy o te „wspólne konsultacje” po uderzeniu rakiety w ogóle wnioskować.

Tym bardziej do wykonania artykułu piątego (pomocy

w wypadku agresji) nikt nie będzie się bardzo spieszył. Choć chodzi tam wcale nie o automatyczną pomoc zbrojną, ale o podjęcie działań, które poszczególne państwa (i ewentualnie sprzymierzeni razem) „uznają za konieczne, łącznie z użyciem siły zbrojnej”. Działania te, „z użyciem siły zbrojnej” – jeśli to „uznają za konieczne”, podjęte być mają nie tyle dla przywrócenia naruszonego stanu rzeczy (to może przy okazji również), ile przede wszystkim dla „przywrócenia i utrzymania bezpieczeństwa obszaru atlantyckiego”. O tym, że w wypadku zagrożenia bezpieczeństwa, niezależnie od obowiązujących je sojuszy,

państwa myślą przede wszystkim o sobie – wiemy dobrze. Ale nie zawsze wiemy o tym, że daje im do tego prawo również sam traktat waszyngtoński.

I na koniec – jak pisał Herbert – żeby wiadomo było. W sytuacji, gdy Putin jest zdecydowany kontynuować i eskaluje swoją agresję, nie ma innej drogi do pokoju, jak kontynuowanie przez Zachód presji na Rosję i przekazywanie broni Ukrainie. Co w niczym jednak nie zmniejsza rosnącej ceny wojny. Właśnie się o niej dowiedziały rodziny zabitych w Przewodowie. Co jesteśmy im winni, aby śmierć ich bliskich nie poszła na marne? Sądzę, że przede wszystkim świadomość tego, o czym wyżej napisałem. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Znany celebryta odchodzi od Kościoła



c e z a r y k r y s z t o p a

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O hipokryzji

Nowy włoski rząd przez wiele dni nie wpuszczał do swoich portów czterech statków międzynarodowych organizacji pozarządowych z blisko tysiącem migrantów, podjętych z łodzi i stateczków u wybrzeży Libii. W końcu Włosi przyjęli trzy statki, a czwarty popłynął do Francji.

Francuzi w odwecie zawiesili umowę z Włochami o przyjęcie 3,5 tys. innych przybyszów. Na Italię spadły gromy. Pioruny miotali przede wszystkim Francuzi, a także Niemcy, Norwegowie i Unia Europejska. Włochy oskarżone zostały o złamanie prawa morskiego, unijnego i międzynarodowego, a także o haniebne, nieludzkie traktowanie migrantów. Słowem – presja moralna, polityczna i prawna.

A Włosi znów nie chcą przyjmować wszystkich migrantów ze statków zagranicznych organizacji humanitarnych. Wyliczyli, że przyplęnęło nimi 15 proc. z 90 tys. wszystkich, którzy w tym roku przez morze dotarli do Italii (resztę Włosi przyjęli natychmiast, nierzadko ratując ich na morzu). Włochom chodzi generalnie o to, by migrantów ze statków zagranicznych NGO rozdzielać solidarnie między państwami Unii. Pod tym postulatem, wraz z apelem o kompleksowe rozwiązanie problemu migracji, w liście do UE podpisały się Malta, Grecja i Cypr. Problemem jest też to, że tylko co trzeci migrant otrzymuje azyl lub inną formę ochrony. Pozostałych „unijni partnerzy” nie chcą widzieć

na oczy. Są wyłącznym problemem Italii.

Włosi argumentują, że np. Francja przyjęła w tym roku 45 tys. migrantów, a więc o połowę mniej niż Italia. W ramach solidarności z Włochami Francuzi zaprosili do siebie zaledwie 76 przybyszów z Afryki.

Francuzi krzyczą, że nie wolno odrzucać migrantów, bo to niehumanitarne. Jednak sami migrantów, którzy nielegalnie przekraczają granicę włosko-francuską, wylapują, nie stroniąc od przemocy, i odstawiają ciupasem do Italii. Wniosek jest prosty: Włosi muszą przyjmować nielegalnych migrantów ze statków NGO, a Francja niekoniecznie. Paradoks chce, że chodzi o tych samych ludzi. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

NA ZŁOŚĆ
KACZYŃSKIEMU

Kojarzą Państwo Agnieszkę Szpilę? No właśnie ja też nie kojarzyłam, przynajmniej do niedawna. Niestety teraz już wiem i cóż – mogłabym bez tej wiedzy żyć. Ale do sedna: po mocno niefortunnnych słowach prezesa PiS na temat „dawania w szyję”, jak można było się spodziewać, rozpętała się burza. Dyskusja na temat ważny, czyli kryzys dziecięcości, szybko zamieniła się w absurd – m.in. dzięki wypowiedziom takich krynic mądrości, jak wspomniana Szpila, pisarka, „ekofeministka”. – Uważam, że to, co zrobił Kaczyński, i ten rehot, sprzyjają temu, aby teraz podjąć taką decyzję – świadomie kieruję apel do Polek i mieszkanki Polski, aby rzeczywiście zawiesić rozmnażanie się – nawoływała w studiu „Dzień Dobry TVN”. – To jest moment, w którym nie wygramy tej walki, nie obalimy tej władzy, jeśli rzeczywiście same nie będziemy używać naszych ciał jako narzędzia politycznego – kontynuowała. Cytując klasyka: „I byłoby to wszystko śmieszne, gdyby nie było takie smutne”.

BEZ KLASY

Śmieszno-smutna jest za to opera mydlana, która rozgrywa się ostatnio na Instagramie. W rolach głównych: Paulina

Smaszcz, Maciej Kurzajewski i cały świat. Temat: Zawiedziona miłość i zemsta. Opis fabuły: Kurzajewski po długim ukrywaniu się ujawnił, że jest w związku z Kasią Cichopek. To rozwścieczyło ekszonę prezentera, Paulinę. Ta „kobieta petarda”, „women capital expert” i „facylitator” (proszę nie pytać, sama tak się przedstawia) pod postem jednego z internautów sugerujących, że były chyba nie jest jej obojętny, nazwała Kurzajewskiego „Pinokiem”. „Dopóki Pinokio nie przestanie kłamać i nie

przeprosi moich synów, będę ujawniać jego kłamstwo za kłamstwem” – zapowiedziała. Nie wnikać, za co ma przeprosić i jakie to kłamstwa. To wyższy stopień wtajemniczenia. Szkoda tylko dzieci.

PAULINO, ODPUSĆ

Ta sama pani Smaszcz ma też poważny konflikt z samozwańczą ekspertką ds. ślubów, czyli Izabelą Janachowską, która to postanowiła skrytykować jej postawę wobec nowego związku byłego męża. „Kobieta petarda” stwierdziła w rewanżu, że Janachowska „strzeliła sobie dzidziusia” z mężem milionerem. Była Kurzajewskiego nie certoli się w tańcu i w kolejnym wpisie posądziła ekspertkę ślubną o „rolowanie męża finansowo”. – Nawzajem się bardzo szanujemy i chyba to jest najważniejsze. Poza tym ja jestem szczęśliwa i on jest szczęśliwy, więc takie opowieści po latach chyba nie mają sensu i są niepotrzebne. Jeżeli ktoś jest szczęśliwym człowiekiem, to chyba nie wraca do tego, co było. Więc Paulino, odpuść. Żyj swoim życiem – odpowiedziała Iza. Nie pozostało nic innego, jak dołączyć do apelu.

NAJWIĘKSZA ULGA
DLA INSTAGRAMA

Halo, halo? Słuchać mnie dobrze? Mam nadzieję, ponieważ chodzi o sprawę wielką. Piotr Kraśko wrócił na Instagram. Powtórzę: Piotr Kraśko wrócił na Instagram. I to w wielkim stylu. Jak donosi serwis z uroczym pieskiem w tytule, dziennikarz po miesiącach ciszy udostępnił post. W nagraniu wyjaśnia meandry wyborów połówkowych w USA. „Piotrek, jesteś genialnie utalentowany! Masz dar, wiedzę, warsztat! Słuchanie Ciebie to ulga i frajda” – zachwyci się Agata Młynarska. Z kolei jeden z obserwatorów napisał: „Wreszcie właściwy człowiek na właściwym miejscu. Doceniam wiedzę i profesjonalizm”. Jakże to proste! Zniknąć z Instagrama, potrzymać fanów w niepewności i nagle wrócić. I nikt już nie pamięta o jeździe bez prawa jazdy i niepłaceniu podatków. Genialne. Kraśko powinien to opatentować. ©©



FOT. TRICOLORS/FEST NEWS



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, sprawdźmy, czy pamiętacie wszystkie podstawowe fakty o Kaczafim, które definiują go jako polityka: jest niski, mieszka z kotem, nie ma konta w banku ani prawa jazdy, śmiesznie mówi, nosi niedopasowane garnitury i jeździ na wakacje z Brudzińskim.

Nuda? Powtarzalność? Schemat? Jeśli odpowiedzieliście trzy razy tak, to myślicie pewnie w taki sam sposób jak Donald Tusk, który w nagraniu zamieszczonym w Internecie powiedział, iż Glapiński zna się na gospodarce tak, jak Kaczyński na seksie.

Swoją drogą, jaką ścieżką podążał umysł przewodniczącego, który zdołał w jednym zdaniu pomieścić takie zjawiska jak seks, Glapiński, gospodarka i Kaczafi? My rozumiemy intencję żartu, iż obaj się, hehe, nie znają, ale widzimy tu pewne niebezpieczeństwo. Ktoś, kto mógłby być nastawiony do Glapińskiego przychylnie, mógłby odebrać te słowa nie jako błyskotliwą, inteligentną i ciętą ironię, ale jako, no cóż, pochwałę.

Znacie nas od lat i wiecie, iż bardzo szanujemy Pana Tuska. Jednak uważamy, iż zamieszczając nagrania w Internecie, musi być bardziej ostrożny, iż PiS-owcy też mają Internet, jakimś cudem potrafią z niego skorzystać, a fakty to oni już interpretują po swojemu.

Pewnie zastanawiacie się, czy bojkotujemy mundial w Katarze, otóśh odpowiedź oczywiście brzmi: tak, of kors. Niemniej nie chodzi wyłącznie o powody polityczno-społeczne, lecz

także, a może przede wszystkim, o totalnie niezdolne zachowanie Nowego z Tarnowa, który, jak się pewnie domyślacie, jest wielkim kibicem piłkarskim.

Zaczęło się w środę, kiedy spokojnie chillowaliśmy sobie z pumpkin ale, Netflixem i jakimś serialem oznaczonym

Zwołamy silnych ludzi, a nieuczciwici, zdelegalizowani populiści będą stali z obiektem ze strachu przed liberalną demokracją!



tagiem LGBT, aż tu nagle dzwoni telefon, odbieramy, a tam Nowy się drze: „PIO PIO PIO!”. Sprawdziliśmy neta, okazało się, iż reprezentacja tego kraju wygrała z pinoczetowskim Chile, a jedynego gola strzelił niejaki Piątek.

Od tamtej pory Nowy dzień w dzień przychodzi do korpo wystrojony w jakieś białoczerwone dziwne stroje, kapelusze, maluje sobie twarz w kolorze flagi tego kraju, czym oczywiście ją zawłaszcza, i trenuje przyśpiewkę „Nic się nie stało, Polacy, nic się nie stało”.

To wszystko byłoby jeszcze w miarę do zniesienia, bo po pierwszym meczu pewnie humor mu się zepsuje i będzie chodził wnerwiony i stroszył na wszystkich wasy. Gorzej, iż pod groźbą kary dyscyplinarnej chce nas zaciągnąć

do oglądania meczu z Meksykiem, a jak wspominaliśmy – ogłosiliśmy bojkot tego mundialu, a szczególnie reprezentacji kraju, w którym nie szanuje się mniejszości, kobiet i opozycji, a więc Polski.

Dlatego też widzimy wyjścia dwa: pójdziemy, obejrzymy, ale nie będziemy się cieszyć, albo pójdziemy i w ramach manifestacji będziemy oglądać z zamkniętymi oczami. Jak myślicie, co lepsze?

Do Sejmu wpłynął projekt ustawy (nie zgadnienie czy xD), aby skrócić tydzień pracy do 35 godzin z 40 i żeby były wolne piątki. Oznacza to, iż w pozostałe cztery dni będzie trzeba pracować więcej niż osiem godzin i nie mamy przekonania, iż autorzy projektu sobie to wszystko jakoś przeliczyli.

W każdym razie, przy całej naszej sympatii do wolnych piątków i lewicowych projektów, wolelibyśmy mieć właśnie wolne piątki, ale tydzień pracy liczący np., no niech będzie, 10 godzin. Z czego wiadomo, dwie godziny to kawa i toaleta, dwie godziny pogadanie z frendami z teamu, reszta to parę maili i intensywnie uporczywie wpatrywanie się w Excela.

Reszta tygodnia dotychczas roboczego to byłby czas na rozwijanie swoich pasji – spanie, seriale i eksplorowanie przestrzeni miejskiej. Taką zmianę poparlibyśmy całymi swoimi osobami. ©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOAM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

A jak odpadnie klamka?

No nie wiem, Waldek, nie wiem... Chińczy?

Mati, nikt inny nie chciał tego z nami robić. Chcesz mieć tego swojego elektryka czy nie?

Ja? Zwariowałeś? Jeszcze na łeb nie upadłem, żeby jeździć takim gic na baterijkę. Ile on tam ma mieć zasięgu?

Ze czterysta, jak jest ciepło i wolno jedziesz. Ale ja pytałem w ogólnym sensie, nie czy chcesz mieć na własność.

Przecież chyba nikt normalny by tego nie chciał.

A, no to tak. Dobrze by było coś tam w końcu wyprodukować,

choć ze sto sztuk, upchnęłoby się po ministerstwach, a pismaki przestałyby się czepiać. Bo cały czas się przywalają: gdzie ta mizera?

No to musimy robić z Chinolami, inaczej się nie da.

Ale chińskie... A jak na przykład klamka będzie odpadać?

Powiemy, że to tak ma być. Żeby nie ukradli. ©

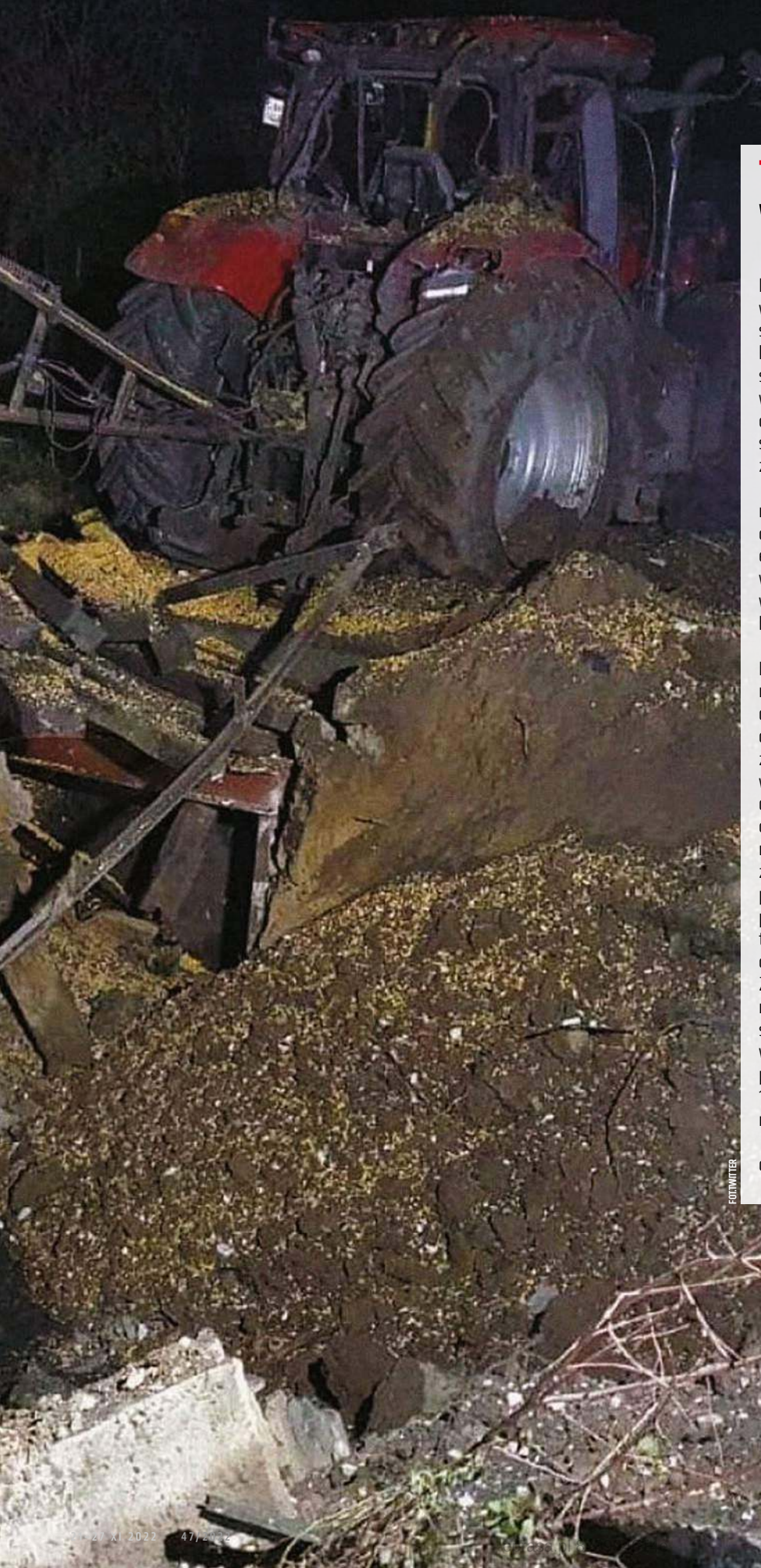
Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„[...] w przyszłym roku będziemy mieli prawdopodobnie ostatnią szansę na ocalenie Polski przed nieszczęściem i katastrofą”.

TOMASZ LIS, publicysta, o wyborach parlamentarnych, na Twitterze





TRAGEDIA W PRZEWODOWIE

Dwóch 60-letnich obywateli Polski zginęło, gdy we wtorek 15 listopada ok. godz. 15.40 szczątki rakiety spadły w miejscowości Przewodów w powiecie hrubieszowskim. Rakieta produkcji sowieckiej spadła na teren suszarni zbóż, gdy akurat na wagę wjechał ciągnik z przyczepą z kukurydzą. Dokładne okoliczności tragicznego wydarzenia ma wyjaśnić śledztwo, w którym biorą udział również eksperci z innych krajów, w tym z Ukrainy.

Chociaż pierwsze nieoficjalne informacje mówiły o tym, że rakieta była rosyjska, to okazało się, iż pocisk, który spadł w Polsce, był elementem ukraińskiego zestawu antyrakietowego S-300. Ukraińcy mieli wystrzelić pocisk w celu strącenia rosyjskiej rakiety, której celem była elektrownia pod Lwowem.

– Na ten moment wiemy, że 15 listopada Rosja, która przeprowadziła zmasowany atak rakietowy na terytorium Ukrainy, doprowadziła do sytuacji, w której ukraińskie siły przeciwlotnicze musiały podjąć działania obronne. Materiały zgromadzone przez nasze i sojusznicze służby wskazują, że powodem tego zdarzenia były działania obronne Ukrainy przeciw działaniom ofensywnym Rosji. Nic nie wskazuje na to, że mamy do czynienia z bezpośrednim zagrożeniem dla naszego kraju – oznajmił rzecznik polskiego rządu Piotr Müller. Zdanie na temat pochodzenia rakiety po stanowczym komentarzu prezydenta USA Joe Bidena zmienił także ostatecznie ukraiński przywódca Wołodymyr Zełenski, który jeszcze w środę upierał się, że nie ma wątpliwości, iż to nie był pocisk ukraiński. Podczas czwartkowej wideokonferencji w Singapurze na temat tragedii w Przewodowie powiedział tylko krótko: „Nikt na świecie nie ma 100 proc. pewności, co się tam wydarzyło. Ja też nie mam”.

W reakcji na wydarzenia polski rząd podjął decyzję o podniesieniu gotowości polskiej armii.

(jap) ©

FOTOWITER



Rafał A. Ziemkiewicz

Perspektywę – umownie to tak nazywając – „trzeciej wojny światowej” przybliży umiarkowanie Zachodu, a nie manifestowanie gotowości do „pełnoskalowej” konfrontacji z kremlowskim reżimem

Tragiczna śmierć dwóch przypadkowych mieszkańców nadgranicznego Przewodowa wskutek eksplozji rakiety bojowej to jeden z takich przypadków, w których każdy widzi to, co chce, i uznaje za dowód swoich tez – nawet skrajnie sprzecznych z tezami, których słuszności wypadek dowiódł według innych. Jest to zresztą o tyle łatwiejsze, że w przestrzeni publicznej krążą różne wersje wydarzenia – od „Rosja napadła na Polskę” do „Ukraińcy celowo wystrzelili rakietę, by obciążyć Rosję i wciągnąć nas do wojny”.

W chwili, gdy zamykamy numer, najbardziej prawdopodobne wydaje się domniemanie, że eksplozja w Przewodowie była jednym z przypadków, które na wojnie – a od granicy broniącej się przed rosyjskimi ostrzałami Ukrainy miejscowość dzieli zaledwie kilka kilometrów – zdarzają się nieuchronnie. Rosjanie próbowali zniszczyć rakietą równie nieodległy od granicy, tylko znajdujący się po przeciwnej stronie węzeł komunikacyjny, ukraińska obrona przeciwlotnicza wystrzeliła antyrakietę i w jakiś nieprzewidziany sposób obie (w pierwszych doniesieniach mowa była wyraźnie o dwóch rakietach) spadły po polskiej stronie granicy. Ta, która przy tym eksplodowała i spowodowała śmierć polskich obywateli, była, sądząc po sile wybuchu, rakietą przeciwlotniczą, a więc ukraińska.

Taka wersja wypadków przyjęta została przez polski rząd i poparta autorytetem szefów NATO oraz liderów większości państw zachodnich, z prezydentem USA na czele. Mimo że wszyscy zgodnie podkreślają, że bez względu na to całkowitą odpowiedzialność za zdarzenie ponosi rosyjski agresor – wersję tę stanowczo odrzuca Ukraina, upierając się, że doszło do celowego ataku Rosji na kraj NATO. Gdyby tak było, NATO musia-

Prędzej czy później



Rakieta, która spadła w Przewodowie, to przypadek. Ale może u nas spaść coś wystrzelonego przez Rosję. Co wtedy?

FOT. TWITTER@POLSKAPOLICJA

łoby uruchomić artykuł piąty i wejść do wojny, do czego główne kraje sojuszu nie czują się obecnie przygotowane.

Rzecz w tym, że Rosja doskonale sobie ze skutków świadomego zaatakowania Polski zdaje sprawę i w chwili obecnej, gdy szczyt na Bali dowiódł jej kompletnej izolacji międzynarodowej, a jako taka odbudowa jej sił zbrojnych w najbardziej optymistycznym wariantcie jest zadaniem na pół roku, ściąganie sobie na głowę wojny z NATO byłoby dla Kremla samobójstwem. Gdyby nawet okazało się, że rakietę, która zabiła Polaków, wystrzelona została z Rosji, to trudno uwierzyć, by świadomie wycelowano ją w miejscowość i obiekt, mówiąc ogłęd-

nie, pozbawione większego znaczenia strategicznego.

BIDEN TO NIE REAGAN

Do chwili, gdy te słowa do państwa dotrą, upór Ukrainy zapewne już pod naciskiem zachodnich sojuszników zmieni i wycofa się ona z kwestionowania wyników polskiego śledztwa oraz żądań udziału w nim. Nie przeszkodzi to w głoszeniu rozmaitych teorii spiskowych – że np. NATO celowo udaje, że się nic nie stało, bo zwyczajnie stchórzyło albo nie chce, żeby ta wojna zakończyła się za szybko. Że USA nie są zdecydowane iść na ostro – to inna sprawa. Można sobie wyobrazić, że gdyby w Białym Domu zasiadał dziś

Reagan, natychmiastową odpowiedzią Ameryki byłoby zagranie w ulubiony przez Rosjan sposób: uderzenie w jakiś niestrategiczny element rosyjskiej infrastruktury wojskowej z jednoczesnym ogłoszeniem, że to przypadek. Niestety, Joe Biden nie jest ulepiony z takiej gliny, a w jego administracji nie ma ludzi, którzy rozumieliby, że z Rosją tylko w taki sposób da się rozmawiać.

Dlatego wojna nadal będzie prowadzona według dotychczasowej zasady: korzystać z uporu i bohaterstwa Ukraińców do powolnego upuszczania Rosji krwi. Ponieważ nie mamy na zmianę tej strategii wpływu, zachowanie polskich władz – nader ostrożne, wręcz na pograniczu kunktatorstwa – należy ocenić pozytywnie. Tak zresztą zostało ocenione i przez Waszyngton, i przez większość jego sojuszników oraz szefostwo NATO. Jedynie polska opozycja, jak zwykle, uderzyła w tony historyczne, ogłaszając „straszną klęskę”, „kompromitację” itd., mnożąc wszelkie możliwe i niemożliwe oskarżenia – od tego, że PiS nie zdołał zestrzelić lecącej na Polskę rakiety, do insynuacji, że wszystko było celową PiS-owską prowokacją, mającą dać pretekst do „całkowitej militaryzacji Polski” i ostatecznego zniszczenia demokracji (tu, jak zwykle, „do pieca” dali mecenas Giertych i coraz bardziej przypominający go w szaleństwie Tomasz Lis).

MOŻE BYĆ GORZEJ

Można więc odetchnąć z ulgą? Nie radziłbym. Sytuacja może się powtórzyć w znacznie trudniejszym do opanowania wariancie – łatwo przecież można sobie wyobrazić, że następnym razem spadnie na nas w końcu, choćby i omyłkowo, rakietą nie tylko wyprodukowaną w Rosji (bo, jak wiadomo, obie strony takich używają), lecz także przez Rosjan wystrzeloną. Trudniejsze będzie wtedy znalezienie należytej odpowiedzi politycznej, trudniej też będzie odrzucić oskarżenia, że polska obrona przeciwnolotnicza nie umiała przechwycić wrogiej rakiety, którymi na pewno będzie próbowała ugrać coś opozycja.

Wierzę zapewnieniom naszych generałów, że byliby w stanie podobnym wypadkom zapobiegać, ale pod jednym warunkiem: Polska musiałaby prowadzić aktywną obronę przeciwnolotniczą co najmniej kilkadziesiąt kilometrów od naszych granic, nad terytorium Ukrainy (a Bogiem a prawdą i Białorusi). Na taką konieczność zwracano już zresztą od dawna uwagę, może w nie mediach, ale na pewno w gremiach fachowych.

Zachodnie gospodarki powinny przejść na „wojenny” tryb produkcji uzbrojenia. To mogłoby zburzyć u Putina poczucie bezpieczeństwa

Według niektórych źródeł problemem jest jakoby uzyskanie zgody strony ukraińskiej. Nie wydaje mi się to prawdziwą przeszkodą – Ukraina, jak zresztą pokazała także sprawa Przewodowa, jest gotowa wykorzystać każdą okazję, by wciągnąć nas i całe NATO do aktywnej wojny z Rosją, co jest zresztą z jej punktu widzenia w pełni zrozumiałe i oczywiste. Problemem musi być właśnie to, że aktywność naszej OPL na podejściach do polskiej granicy wydatnie zwiększyłaby prawdopodobieństwo eskalacji konfliktu w kierunku „trzeciej wojny światowej”, której zachodnie społeczeństwa panicznie się boją, a zachodnie rządy nie mogą tego strachu ignorować.

Tylko że w istocie bardziej perspektywę tej – umownie to tak nazywając – „trzeciej wojny światowej” przybliża umiarkowanie Zachodu, niż gdyby manifestował on gotowość do „pełnoskalowej” konfrontacji z kremlofskim reżimem. Nie przypadkiem przywołałem tu Reagana, który rzekomo przypadkowym żartem z „próbą mikrofonu” („właśnie podpisałem dekret o delegalizacji ZSRS, rakietę już są w drodze”) autentycznie przeraził sowieckie kierownictwo do tego stopnia, że zaczęło się godzić na kolejne strategiczne ustępstwa, których ostatecznym skutkiem była „jesień ludów” 1989 r. i m.in. polska niepodległość.

Sfery przywódcze wokół Putina, i on sam, muszą sobie zdawać sprawę z tego, że w chwili obecnej Rosja praktycznie nie ma możliwości skutecznego uderzenia w terytorium USA, natomiast Ameryka jest w stanie zniszczyć dowolny cel w Rosji. Liczy jedynie na rozkład społeczny państw Zachodu, na sojusz z Chinami (który działa, kiedy Rosja go nie potrzebuje, ale gdy zaczyna potrzebować – przestaje, bo chiński smok nie zwykł przyjaźnić się z przegrywanymi), nade wszystko zaś na brak politycznej woli Zachodu do stanowczego przeciwstawienia się rosyjskim staraniom o zachowanie mocarstwowości. O Rosjanach można powiedzieć wiele złego, ale ich sfery przywódcze (zachowujące w kwestiach

strategicznych nieobecna bodaj nigdzie indziej historyczną ciągłość i konsekwencję) do perfekcji doprowadziły sztukę posuwania się do granicy sprowokowania katastrofy i wycofywania dopiero w naprawdę ostatniej chwili, gdy są już o włos od wybuchu.

Moja rzucona na Twitterze sugestia, że cokolwiek się stało w Przewodowie, Ameryka powinna była wykorzystać okazję do „przypadkowego” uderzenia w Rosję, która wzbudziła histeryczny wrzask potępienia (co zabawne, jednym głosem wrzasnęły tu „Gazeta Wyborcza” i środowiska związane z Konfederacją), była po trosze żartem, ale tylko po trosze. Rzecz w tym, że jeśli Rosja nie dostanie mocnego sygnału, iż cierpliwość Zachodu się kończy – to będzie się nadal starała użyć wszelkich dostępnych sposobów odwrócenia swego upadku i do eskalacji dojdzie prędzej czy później.

JAKI SYGNAŁ DAĆ ROSJI?

Co, na poważnie, mogłoby być takim sygnałem? Moim zdaniem przejście zachodnich gospodarek na „wojenny” tryb produkcji uzbrojenia. Dopóki pomoc dla Ukrainy wygląda tak, że np. ofiarując jej 18 haubic Cezar, Francja oddaje jedną trzecią (!) całej swojej dalekosiężnej artylerii i nie ma perspektywy uzupełnienia tego ekspensu przez kilka następnych lat – dopóty Putin nie czuje noża na gardle i spokojnie snuje plany kolejnych ostrzałów i zatykania dziur kolejnymi porcjami zmobilizowanego prawem i lewem armatniego mięsa.

Jego – czy jego ewentualnego następcy – poczucie bezpieczeństwa zaburzyć może tylko świadomość, że Zachód szybko zwiększa swoje możliwości wojskowe. Dokładnie tak, jak było właśnie za czasów Reagana, który „zazbroił” i zastraszył Sowiety na śmierć.

Nikt nie chce widzieć przyszłości w ciemnych barwach, każdy chciałby, żeby obecna sytuacja jakoś „rozeszła się po kościach” – ale elity społeczne nie powinny ulegać nastrojowi „jakoś to się uda”. Perspektywa zbrojnego starcia Zachodu, w tym i nas, z Rosją, w ciągu dwóch–trzech najbliższych lat jest bardzo realna. Nasi rządzący, rozbudowując armię bez oglądania się na koszty, wydają się to rozumieć i robią słusznie, ale polskich zbrojeń Rosja się nie przstraszy, jeśli nie dostrzeże w nich części szerszych przygotowań do przywołania jej do porządku.

Gorzkie odarcie ze złudzeń



Łukasz Warzecha

Obserwując politykę Polski od początku trwania rosyjsko-ukraińskiego konfliktu, można mieć wrażenie, że opiera się ona na wielu złudzeniach, chwiejnych oraz bardzo optymistycznych założeniach, które po kolei czas weryfikuje negatywnie. Ubiegły tydzień zweryfikował ostatecznie złudzenie pełnej zgodności polskich i ukraińskich interesów

Napięcie związane z tragicznym wydarzeniem w Przewodowie opadło po mniej więcej dobie, gdy najważniejsi polscy politycy – co prawda, po zdecydowanie za długiej ciszy informacyjnej – oświadczyli, że mieliśmy do czynienia nie z atakiem na polskie terytorium, lecz najprawdopodobniej z uderzeniem ukraińskiej rakiety obrony przeciwlotniczej. Te słowa były wciąż obwarowane pewną warunkowością, jednak trudno sobie wyobrazić, żeby prezydent i premier składali takie oświadczenie, nie mając faktycznie pewności. Wydawałoby się zatem, że mieliśmy do czynienia z wyjątkowo groźnym i budzącym ogromne napięcie, ale jednak tylko epizodem tej wojny.

SEKWENCJA ZDARZEŃ

Jednak z tego epizodu można wyciągnąć wiele wniosków ogólniejszych, szczególnie jeśli śledziło się uważnie bieg zdarzeń. W skrócie wyglądało to tak: przed godz. 16 we wtorek uderzenie rakiety w Przewodowie, ok. trzech-czterech godzin później nawała w mediach, pierwsze nic niewyjaśniające słowa przedstawicieli rządu dopiero po ok. sześciu godzinach od zdarzenia. Nieco później na Twitterze pojawiło się oświadczenie pana prezydenta Zełenskiego, który oznajmił, że Polska padła ofiarą rosyjskiej agresji i że jest to eskalacja. W podobnym momencie minister spraw zagranicznych Ukrainy Dmytro Kułeba również na Twitterze napisał, że twierdzenie, iż mieliśmy do czynienia z ukraińskim pociskiem, jest dziełem rosyjskiej propagandy. Nieco później na stronach polskiego MSZ pojawiło się oświadczenie, że rakieta, która spadła w Polsce, była „produkcyj

rosyjskiej” – co wiele mediów zaczęło natychmiast, niesłusznie, utożsamiać z wystrzeleniem pocisku przez Rosjan. Dopiero po mniej więcej dziewięciu godzinach, ok. północy, pan premier i pan prezydent zabrali głos. Te wystąpienia dość mocno się różniły. Mateusz Morawiecki zaserwował właściwie wyłącznie jazdę obowiązkową, z której kompletnie nic nie wynikało i która nie brzmiała specjalnie uspokajająco. Andrzej Duda nie tylko był konkretniejszy – choć żadnych ostatecznych informacji nie podał – lecz także delikatnie, acz wyraźnie zdystansował się od słów Wołodymyra Zełenskiego oraz bardzo mocno podkreślił, że choć pocisk był produkcji rosyjskiej (potem okazało się, że raczej sowieckiej), to nie ma pewności, kto go wystrzelił.

W nocy naszego czasu prezydent Joe Biden oznajmił, że wszystko wskazuje na to, iż rakieta nie została wystrzelona przez Rosjan. Następnego dnia ok. południa pojawiły się informacje, o których pisałem na początku tekstu, podane już na podstawie prac polskich i amerykańskich ekspertów na miejscu zdarzenia. Wówczas jedynym odzewem ze strony ukraińskiej było żądanie szefa Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy Ołeksija Daniłowa, aby Polska dopuściła na miejsce tragedii ukraińskich ekspertów, ponieważ Ukraina ma „mocne dowody na rosyjski ślad”. W odpowiedzi Andrzej Duda stwierdził, że miejsce uderzenia i szczątki pocisku były badane przez Polaków i Amerykanów i jest to już faktycznie międzynarodowe dochodzenie, a dołączenie do niego specjalistów z innego państwa wymagałoby wspólnej zgody. Można było to odczytać jako podaną bardzo delikatnie, ale jednak odmowę spełnienia ukraińskiej prośby. Stanowisko

Daniłowa podtrzymał później pan prezydent Zełenski.

ROZBIEŻNOŚCI

Przytoczenie tego szczegółowego kalendarium zdarzeń jest konieczne, ponieważ, patrząc z dystansu, zobaczymy w tym schemat faktycznych interesów, a także wyciągniemy wnioski dla Polski. Najistotniejszy z nich – nie odkrywczy, ale mimo wielu miesięcy trwania wojny wciąż niedocierający do wielu – jest taki, że interesy Ukrainy i Polski w tej wojnie nie są identyczne. Pośpieszne oświadczenie pana prezydenta Zełenskiego bardzo szybko straciło aktualność, ale też trzeba sobie zadać pytanie, z czego wynikało. Czy ukraiński prezydent tak bardzo chciał wykorzystać okazję, aby doprowadzić do jeszcze głębszego zaangażowania Polski w wojnę, że nie poczekał na oficjalne stanowisko strony polskiej? Czy może – czego przecież wykluczyć nie można – miał już wiedzę, że dwóch Polaków zabiła raketa ukraińska, i starał się przekierować podejrzenie na inne tory?

Jeszcze bardziej rozbieżność widać było następnego dnia. W jakimś stopniu działanie polskich władz przypominało postępowanie w pamiętnej sprawie propozycji przekazania Ukrainie polskich migów 29 z marca: okazało się, mimo licznych wpadek i opóźnienia w komunikacji, jednak wstrzemięźliwe i ostatecznie rozsądne. Kijów natomiast, zamiast na tym etapie przeprosić za wypadek, który faktycznie w warunkach wojennych może się niestety zdarzyć, oraz zadeklarować pomoc dla rodzin ofiar, brnął w trwanie przy swojej wersji, domagając się nawet dopuszczenia do badania zdarzenia. Co było otwartą deklaracją braku zaufania do wniosków wyciąganych wspólnie przez Polaków i Amerykanów.

Rozjazd interesów miał tutaj dodatkowo smaczek: polskie władze, trwające od początku wojny przy maksymalnie pro-ukraińskim kursie, starały się ewidentnie ratować wizerunek i swój, i Ukrainy, całą odpowiedzialnością obarczając Rosjan. Co zresztą jest zasadne, bo przecież trudno odmówić Kijowowi prawa do prowadzenia obrony przeciwlotniczej, a przy tym natężeniu ataków błędy są nieuniknione.

Niektóre mogą mieć niestety tragiczne skutki. Ukraina natomiast zachowywała się w zasadzie konfrontacyjnie, niwecząc w dużej mierze wysiłki Warszawy. Wielu Polaków mogło dojść do wniosku, że po tym wszystkim, co Polska dla Ukrainy już zrobiła i robi cały czas, to po prostu czarna niewdzięczność.

A nie zapominajmy, że są w tym wszystkim jeszcze Amerykanie. Pan prezydent Biden ogłosił, że pocisk nie został najpewniej wystrzelony przez Rosjan, nawet szybciej niż polscy premier i prezydent. Wygląda to tak, jakby Waszyngton bardzo szybko zdecydował się odegrać w sprawie rolę mitygującą i pacyfikować wojownicze pohukiwania Kijowa.

Ta historia powinna być dla nas ostrzegawczym memento. Niezależnie od tego, że ostatecznie się okazało, iż nie zaatakowali nas Rosjanie, byliśmy o krok od wypełnienia się ostrzeżenia, które w tekście na portalu „Foreign Affairs” w sierpniu zawarł John Mearshimer: Amerykański politolog wskazywał, że im dłużej trwa konflikt, tym większe staje się prawdopodobieństwo niekontrolowanej eskalacji, bo taka jest natura konfliktów zbrojnych. Eskalacja może być również skutkiem błędu czy nieszcześliwego zbiegu okoliczności. Wydaje się, że byliśmy o krok od takiej sytuacji.

To z kolei po raz kolejny każe postawić pytanie, czy faktycznie trwanie konfliktu jest w polskim interesie. Polski rząd uparcie – przynajmniej deklaratywnie – podtrzymuje stanowisko, że wspiera walkę do końca, czyli do wyzwolenia wszystkich ukraińskich terytoriów, z Krymem włącznie. Jeśli jednak spojrzymy na szerszy obraz, to nasze stanowisko wydaje się coraz mniej przemyślane.

Demokraci co prawda uniknęli klęski wyborczej, ale stracili najpewniej przewagę w Izbie Reprezentantów. To oznacza, że radykalnej korekty kursu USA wobec Ukrainy nie będzie, ale zmiana nastrojów na bardziej izolacjonistyczne, wynikająca z badań amerykańskiej opinii publicznej, jest jednak faktem. Donald Trump, który oficjalnie zgłosił już swoją kandydaturę do republikańskich prawyborów, gra wyraźnie na tym sentymencie, twierdząc – mocno chyba jednak na wyrast – że gdyby to on był prezydentem, to do wojny w ogóle by nie doszło. Tu można wątpić, skoro – jak wiemy – Władimir Putin nie ostrzegł o rozpoczęciu działań nawet swojego bliskiego sojusznika, Pekinu.

Mimo to premier Węgier, Viktor Orbán, miał dużo racji, gdy w połowie paździer-

nika, podczas debaty w berlińskim think tanku, stwierdził, że jedyną osobą mogącą wynegocjować pokój jest Donald Trump, a nie Joe Biden. Ten ostatni bowiem posunął się już za daleko w oskarżeniach wobec Putina. Inaczej mówiąc – za wiele zainwestował w konfrontacyjną postawę wobec Rosji, żeby móc prowadzić z nią jakiegokolwiek rozmowy. Z Orbánem wypada się zgodzić co do tego, że negocjatorem na pewno nie może być Biden. Czy mógłby nim być Trump – to inna sprawa. Nie ulega zaś wątpliwości, że Orbán trafnie zauważył, że właściwe rozmowy mogą prowadzić tylko Waszyngton z Moskwą, a nie Kijów.

Sam Orbán, podobnie zresztą jak Trump, wskazuje od początku na ogromne koszty wojny, w tym także po stronie ukraińskich cywilów, co wywołuje rozjuszenie partii wojny, zwłaszcza w Polsce. Ta grupa polityków i komentatorów upatruje szansy w jakiejś wielkiej zmianie geopolitycznej, która miałaby się dokonać w następstwie hipotetycznego pokonania Rosji. Tyle że, jak widać po sytuacji na Ukrainie, Rosja co prawda swoich pierwotnych celów nie osiągnęła, ale też wydaje się daleka od przegranej. Możemy się oburzać na niszczenie przez Rosjan infrastruktury energetycznej Ukrainy, ale faktem jest, że są to działania skuteczne. Choć gdyby wierzyć wielu komentatorom, to Rosjanie już od paru miesięcy nie powinni mieć ani jednej rakiety w swoim arsenale. W zachodnim dyskursie nikt rychłego upadku Rosji nie wieszczy. Jeśli czyta się regularnie choćby wspomniane wcześniej „Foreign Affairs” – najbardziej prestiżowy magazyn o sprawach międzynarodowych, raczej bliższy podejściu demokratów niż republikanów (choć wyważony) – to w kolejnych analizach pojawia się stwierdzenie, że Rosja, owszem, osłabnie, ale dopiero w długim okresie, a jej odporność na trudne warunki jest bardzo wysoka. Taką tezę przedstawili choćby w ostatnim tegorocznym wydaniu pisma Andrea Kendall-Taylor i Michael Kofman w tekście „Russia’s Dangerous Decline. The Kremlin Won’t Go Down without a Fight” („Groźny upadek Rosji. Kreml nie zawali się bez walki”).

Po drugie – im dłużej trwa konflikt, tym bardziej nie tylko rośnie możliwość niekontrolowanej eskalacji, lecz także pogarsza się sytuacja gospodarcza. Dla Polski oznacza to rosnące problemy z finansowaniem rozbudowy armii. Na takie kłopoty dopiero co wskazywali, podliczając wartość podpisanych kontraktów zbrojeniowych, analitycy banku Crédit Agricole.

Po trzecie – i to powinien być najważniejszy punkt – przy okazji wydarzenia w Przewodowie ujawniła się iluzoryczność bajek o polsko-ukraińskim dozgonnym i nienaruszalnym przymierzu. Ale uważni obserwatorzy dostrzegali oznaki wcześniej. Kilka dni przed atakiem Witold Jurasz omówił na portalu Onet wywiad, którego doradca Wołodymyra Zełenskiego Aleksiej Arystowycz udzielił rosyjskiej emigracyjnej dziennikarce mieszkającej w Nowym Jorku, Julii Łatyninie. Tu cytuję z tekstu Jurasza: „Wybiegając w przyszłość, Arestowycz stwierdza, że problemem w relacjach polsko-ukraińskich może być to, który kraj – Polska czy Ukraina – ma być liderem w Europie Wschodniej, przy czym z całej wypowiedzi wynika, że dla Arestowycza oczywiste jest, że to Kijów zajmie pierwsze miejsce jako lider regionu. Doradca kancelarii prezydenta Zełenskiego odnosi się również do kwestii rzezi wołyńskiej. Mówiąc o niej, stwierdza, że władze Polski wykazały się dalekowzrocznością. Polska, według relacji Arestowycza, miała »zgodzić się zapomnieć o tak zwanej rzezi wołyńskiej« i uznać, że jest to »zamknięta karta« w relacjach dwustronnych i że o sprawie »nie będziemy rozmawiać«.

Połączmy tę kropkę choćby z pojawiającymi się w środę, po tragicznym wtorku, jawnie już prowokacyjnymi tweetami, wysyłanymi z konta @EuromaidanPR. Ich autorzy oskarżali Polskę o kapitulancę, tchórzliwość, a polskiego prezydenta – o uległość wobec USA. Nie mówimy tu o jakimś przypadkowym koncie. @EuromaidanPR utworzono w 2014 r., konto obserwuje 117 tys. osób i jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych ukraińskich głosów na Twitterze, przedstawiając się jako „niezależne obywatelskie media”.

WERYFIKACJA

Obserwując politykę Polski od początku trwania rosyjsko-ukraińskiego konfliktu, można mieć wrażenie, że opiera się ona na wielu złudzeniach, chwiejnych oraz bardzo optymistycznych założeniach, które po kolei czas weryfikuje negatywnie. Ubiegły tydzień zweryfikował ostatecznie złudzenie pełnej zgodności polskich i ukraińskich interesów.

Jak dotąd ofiarą tej wojny padło dwóch polskich obywateli. Ale i to o dwóch za wiele. Polski rząd powinien zadbać, żeby nie było już żadnej kolejnej ofiary, a to można osiągnąć jedynie poprzez pokój i nieuleganie prowokacjom. Również tym ze źródłem na Ukrainie.



FOTADORB STOCK

Gra w rosyjską ruletkę

Polacy nie są w stanie zaakceptować, że nasi sojusznicy wolą realizować interesy własnych państw, zamiast zajmować się polskimi marzeniami o zniszczeniu Rosji. Tragedia w Przewodowie, gdzie zablakana rakietą pozbawiła życia dwóch polskich obywateli, uzmysławia nam, że wojna nie jest geopolityczną zabawą, w której można wszystko racjonalnie wyliczyć, tylko nieprzewidywalną nawałą, która w każdej chwili może wymknąć się spod kontroli. Tak naprawdę kwestia dotyczy tego, na ile, i czy w ogóle, przeciągający się konflikt jest w interesie Polski. W kontekście działań wojennych, które zaczęły przekraczać polską granicę, jest to pytanie o pierwszorzędny znaczeniu.

RYZYKOWNA DROGA

W polskich marzeniach, o których można poczytać każdego dnia w mediach, Rosja znajduje się na skraju upadku i już niedługo zostanie zdruzgotana. Putin – jak co chwila informują portale – jest śmiertelnie chory, na Kremlu rządzi jego sobowtór, a sama Rosja łąda dzień rozpadnie się na małe państewka. Z niedawnych badań SW Research dla rp.pl wynika, że tylko 20 proc. Polaków jest za tym, by Ukraina jak najszybciej rozpoczęła negocjacje pokojowe, natomiast aż



Jan Fiedorczuk

Polakom nie zależy na zakończeniu wojny, tylko na pokonaniu czy wręcz zniszczeniu Rosji. Problem w tym, że oprócz nas i Ukraińców nikomu nie zależy na realizacji takiego scenariusza – ani prawicy (Trump, Orbán, Le Pen), ani liberałom i lewicy (Biden czy Scholz). Przeciągająca się wojna to niebezpieczna gra, nad którą możemy wkrótce stracić kontrolę

60 proc. uznaje, że takie rozmowy można podjąć dopiero po wycofaniu się rosyjskich żołnierzy z okupowanych terenów. Kontynuacja konfliktu w tej zero-jedynkowej logice leży, być może, w interesie Kijowa, lecz nie Warszawy. Polacy tak naprawdę nie chcą stabilizacji sytuacji i zakończenia wojny, tylko upadku Moskwy. Stąd biorą się marzenia części prawicy o budowie wielonarodowej Rzeczypospolitej, federacji polsko-ukraińskiej albo chociaż Międzymorza, jak również cała ta – fatalna – moda na geopolitykę, która traktuje państwa niczym pionki na mapach, a narody – jako bierne masy, ludzki kapitał do budowy imperiów.

Obecnie, dzięki członkostwu w NATO, Polska jest bezpieczna. Wbrew pojawiającym się głosom wojna rosyjsko-ukraińska – dzięki Bogu – nie jest naszą wojną.

Jest to konflikt dwóch państw, z czego żadne nie należy do sojuszu północno-atlantyckiego. Realnym zagrożeniem pozostaje jednak sytuacja, gdy NATO przestanie nas ochraniać, a stać się tak może w dwóch przypadkach – po samodzielnym wejściu Polski do wojny (do czego namawia nas nieustannie frakcja „jastrzębi”) albo gwałtownej eskalacji konfliktu. Polityka jest najbardziej nieprzewidywalną dziedziną życia i czasami jedna zblakana rakietą może postawić świat w ogniu. Joe Biden oceniał niedawno, że ryzyko wojny atomowej jest największe od czasów kryzysu kubańskiego, a dosłownie kilka dni temu dyrektor CIA Bill Burns przestrzegał Rosję przed użyciem broni jądrowej. Użycie bomby atomowej albo rozlanie się konfliktu na państwa NATO zaprowadziłoby nas

do świata, o którym nic nie wiemy i nie jesteśmy po prostu w stanie przewidzieć dalszego rozwoju wypadków, gdy potencjalnych zmiennych jest zbyt wiele. Gra na zniszczenie Rosji, gra na kontynuację wojny i jej dalszą eskalację jest w rzeczywistości grą w rosyjską ruletkę.

Punktem granicznym wydaje się być kwestia Krymu oraz zaanektowanych obszarów, nad którymi rozpina się obecnie parasol rosyjskiej doktryny nuklearnej. Problem polega na tym, że wątpliwe jest, by ewentualna wojna atomowa toczyła się na terytorium Rosji czy USA, gdyż to zbyt ryzykowny scenariusz dla obu mocarstw. Taki konflikt będzie miał miejsce prędzej na terytoriach „pomiędzy” gigantami, czyli na Białorusi, w państwach bałtyckich czy Polsce. Dokładnie tak, jak amerykańskie plany z czasów zimnej wojny zakładały nuklearne zbombardowanie terytorium PRL.

Z tej perspektywy choćby niedawna wypowiedź byłego szefa MON Antoniego Macierewicza, który nawoływał NATO do wkroczenia na Ukrainę, musi budzić niepokój. To droga, która wprost prowadzi do trzeciej wojny światowej, a tej Polska po prostu nie przetrwa. Fakt, że Rosja zapewne też nie, jest marnym pocieszeniem.

POLITYKA I INTERESY

Zniszczenia Rosji, o którym marzą Polacy, nie życzy sobie właściwie nikt na świecie, a już niewątpliwie nie życzy sobie tego najbliższy – do niedawna – sojusznik naszego rządu Viktor Orbán. Gdy przebijemy się przez jego bojowniczą retorykę serwowaną elektoratowi i skupimy się na samym meritum, to wyłania się następujący obraz: Węgry zgadzają się na kolejne pakiety unijnych sankcji przeciwko Rosji oraz przyjętych kilkaset tysięcy uchodźców z Ukrainy. Jednak jednocześnie Węgry wzbraniają się przed jawnym opowiedzeniem się po którejkolwiek ze stron i nie przesyłają broni Ukrainie, jak również nie udostępniają swojego terytorium do przesyłu broni z innych państw. Ponadto Orbán opowiada się za rozpoczęciem negocjacji między Kijowem a Moskwą, a następnie – już po zakończeniu wojny – powrotem do dawnych interesów.

O potrzebie powrotu do negocjacji mówi również Donald Trump. Były prezydent USA w typowo dla siebie bezceremonialny sposób oświadczył nawet, że gdyby dalej rządził, to do żadnej wojny

nigdy by nie doszło (te słowa zresztą powtórzył szef węgierskiego MSZ Péter Szijjártó).

Orbán i Trump to dwa nazwiska, które w naturalny sposób najbardziej wybijają się na wierzch w temacie negocjacji z Rosją, jednak tak naprawdę wpisują się one w szerszy trend zachodniej polityki. Pytanie o to, czy mają rację, można rozszerzyć na wiele innych postaci, w tym prominentnych polityków Zachodu – elity amerykańskie czy europejskie. Wtedy okaże się, że całe zagadnienie ma zdecydowanie szerszy kontekst. Rosja pozostaje dla większości państw Zachodu trwałym podmiotem na arenie międzynarodowej. Z Putinem u władzy czy nie Kreml pozostanie po wojnie istotnym graczem, którego nie sposób będzie izolować. Nieważne, jak bardzo byśmy tego chcieli.

Kilka miesięcy temu głośno było o słowach byłego sekretarza stanu Henry'ego Kissingera, który przestrzegał Zachód przed dążeniem do „druzgocącej porażki” Rosji. Ten antywojenny trend jest widoczny szerzej w Partii Republikańskiej, gdzie do głosu w ostatnich tygodniach zaczęli ponownie dochodzić politycy odwołujący się do tradycji amerykańskiego izolacjonizmu. Podobne głosy pojawiają się jednak również u demokratów, czego przykładem list 30 kongresmenów do Joe Bidena, w którym politycy domagali się dyplomatycznego zaangażowania i współpracy z Rosją w celu zakończenia wojny (list następnie wycofano, gdyż rzekomo nie był zweryfikowany). Ostatecznie sama administracja Joe Bidena zaczęła naciskać na Wołodymyra Zełenskigo, aby ten zaczął dopuszczać do świadomości konieczność rozpoczęcia negocjacji z Putinem. I jedynie w Polsce nie potrafimy zaakceptować tego scenariusza. Dla nas jest to rozgrywka zero-jedynkowa – wszystko albo nic. Z naszej perspektywy Rosja jest imperium zła, z perspektywy Zachodu – partnerem w biznesie, któremu chwilo-wo odbiło.

Intencje amerykańskich polityków są dość oczywiste i sprowadzają się do manewru określanego mianem „odwróconego Sixon’a”, czyli zawarcia taktycznego sojuszu z Rosją przeciwko Chinom. Ta strategia zaczęła się już za administracji Obamy, który dokonał zwrotu na Pacyfik i starał się porozumieć z Moskwą. Również węgierska polityka prorosyjska nie zaczęła się 24 lutego, tylko stanowiła

wieloletni trend. Orbán od lat uzależniał swój kraj od Moskwy, dlatego nagle zdziwienie polskiego rządu musi wydać się niezrozumiałe.

Gdy mowa o Orbánie, to znowu warto spojrzeć szerzej, by zauważyć, że jego narracja idealnie uzupełnia się z wielką niemiecką strategią. Nie jest wykluczone, że z tego zbliżenia niedługo wyniknie zgoda na odblokowanie węgierskiego KPO. Blokowanie dostaw broni jest oczywiście z polskiego punktu widzenia błędem, gdyż w naszym żywotnym interesie jest, aby Ukraina obroniła się przed najeżdżcą, jednak problem polega na tym, że Węgry nie kierują się polskim punktem widzenia. Dokładnie tak samo jak Niemcy.

POLSKI INTERES

Działania Węgier, USA czy Niemiec można różnie oceniać, jednak ciężko mieć pretensje do obcych państw za to, że realizują własne interesy. Przez lata w Polsce załamywano ręce nad romantycznym postrzeganiem polityki, mówiąc, że w stosunkach międzynarodowych liczą się twarda siła i interesy. A jednak, gdy przyszedł prawdziwy kryzys, to sercami Polaków ponownie zawładnęła romantyczny podmuch. Truizmem jest stwierdzenie, że Budapeszt i Waszyngton (i Berlin, i Paryż etc.) dążą cynicznie do realizacji własnych interesów, jednak przynajmniej w kwestii deeskalacji konfliktu nasze interesy się tymczasowo zbiegają.

III RP jest beneficjentem obecnego rozdania geopolitycznego i powinna dążyć do podtrzymania obecnej koniunktury i stabilizacji sytuacji międzynarodowej w naszym regionie. Wszelkie zabawy w rewizjonizm, zmianę granic i układu sił w Europie to dla nas gra w rosyjską ruletkę – nie mamy pojęcia, co nas czeka. Po raz pierwszy od XVIII w. (nie licząc krótkiego epizodu II RP) dysponujemy podmiotowym państwem, a wojna z Rosją nie toczy się na naszym terytorium. Bołączką naszego narodu jest to, że od trzech wieków funkcjonuje niczym miłośnik sercowy – rozrasta się i zapada, rozrasta i zapada; następuje krótkotrwała stabilizacja i załamanie. Ta dychotomia uniemożliwia jakikolwiek długotrwały wzrost, akumulację kapitału czy budowę instytucji. W tej perspektywie trwałość III RP czy – szerzej – porządku postzimnowojennego zyskuje znaczącą wartość.

Groźna choroba apostazji



Paweł Chmielewski

Na proteście wobec Kościoła zawsze można zarobić – zwłaszcza w katolickim kraju. Być może dlatego mamy do czynienia ze zjawiskiem medialnego przechwalania się tzw. apostazją

Medialną burzę wywołał ostatnio lubiany przez młodzież muzyk Dawid Podsiadło. Ogłosił, że „ma problem z Kościołem”, a to w związku z przypadkami pedofilii i próbami oddziaływania przez hierarchów na sprawy publiczne. Stąd też, jak zadeklarował, pragnie „poprosić o apostazję”. W ślad za nim poszedł inny artysta, Tomasz Organek, ogłaszając, że z Kościo-



Medialną burzę wywołał ostatnio lubiany przez młodzież muzyk Dawid Podsiadło. Ogłosił, że „ma problem z Kościołem” FOT. PAWEŁ SKRABAI/REPORTER

diach społecznościowych, że nie planuje ochrzcić dziecka, a sama „musi zrobić porządek” w kwestii swojej przynależności do Kościoła. Piosenkarka Margaret kilka lat temu oznajmiła, że nie zgadza się z moralnością głoszoną przez Kościół, a poza tym jest „osobą niewierzącą”, więc za „fair” uznała wystąpić z Kościoła.

Przypadki „celebrytów” manifestujących brak więzi z Kościołem można byłoby jeszcze mnożyć, a podejrzewam, że lista będzie się konsekwentnie wydłużać. W ciągu ostatnich kilkunastu lat opluwanie katolicyzmu stało się w naszym kraju tak powszednie, że dziś zwykłe dezawuowanie Kościoła nie wystarcza. Trzeba bardziej zaszokować.

Jak pokazuje przykład Podsiadły, na razie to działa – i najpewniej będzie mieć niemałe skutki. Poczynania „celebrytów” łatwo byłoby zbagatelizować jako niepoważne. Nie można jednak zapominać, że w przestrzeni symbolicznej siła rażenia tak radykalnej antykościelnej manifestacji jest naprawdę duża. Chodzi o przełamanie pewnej bariery, powiedzenie Kościołowi „nie” w sposób, który przedstawia odejście od katolicyzmu jako normalne, ba, wręcz modne. Ile młodych ludzi zachęconych przez Podsiadłę czy Margaret pomyśli, że byłoby w sumie „fajnie” przestać chodzić do Kościoła albo chociaż na lekcje religii?

PORZĄDKOWANIE POJĘĆ

Ferment wywołany przez rzekomą apostazję Podsiadły warto jednak dobrze wykorzystać – choćby po to, by uporządkować pojęcia. Na razie nawet w samym Kościele wokół problemu panuje znaczny chaos. W 2015 r. Konferencja Episkopatu Polski opracowała dekret „w sprawie wystąpień z Kościoła oraz powrotu do wspólnoty Kościoła”. Dokument określa apostatę jako osobę, która „całkowicie porzuca wiarę chrześcijańską”, a czyni to „występując z Kościoła katolickiego i wstępując do wspólnoty religijnej niechrześcijańskiej lub pozostając poza jakąkolwiek wspólnotą religijną”.

Takie przedstawienie fenomenu jest jednak mało pomocne. Użyte przez Episkopat sformułowanie opisujące apostazję jako „całkowite porzucenie wiary chrześcijańskiej” jest wprawdzie w pełni zrozumiałe; zostało zaczerpnięte z Kodeksu prawa kanonicznego. Rzecz jednak w tym, że prawo kanoniczne nie precyzuje, w jaki sposób to porzucenie ma się manifestować. W istocie formalne wystąpienie z Kościoła

– czyli to, co przedstawia się medialnie jako apostazję – nie jest wcale do apostazji potrzebne. Przykładowo najbardziej chyba znany apostata w historii, rzymski cesarz Julian, nie musiał składać żadnego oświadczenia u prezbitera czy biskupa, by zyskać swój niechlubny przydomek Apostaty. Będąc chrześcijaninem z urodzenia i wychowania, zaczął kultywować pogaństwo. Odszedł od chrystianizmu – i to właśnie było apostazją.

W naszych czasach moglibyśmy wskazać na inną osobę u władzy. Byłby to prezydent Warszawy, Rafał Trzaskowski. W 2020 r. w jednym z wywiadów został zapytany o wiarę. Odparł, że wierzy „w Boga Spinozy”. Jeżeli traktować to jako poważną deklarację, to oznacza to wyparcie się Chrystusa, czyli apostazję. Nie ma też wątpliwości, że np. ten czy inny satanistyczny muzyk jest apostatą (o ile tylko jest ochrzczony); nie trzeba mu przechodzić żadnej formalnej procedury – negowanie zbawczego dzieła krzyża i wychwalanie diabła w zupełności wystarczą.

Dlatego apostatką jest bez wątpienia cytowana wyżej Margaret: nie tylko, stosując język z dokumentu KEP, „wystąpiła z Kościoła”, lecz także odzegnała się od wiary. Prawdopodobnie to samo można powiedzieć o Arturze Barciś, skoro na wzmiankę o żarliwej wierze zareagował okrzykiem: „Coś okropnego!”.

Czy Agnieszka Włodarczyk, którą media określiły apostatką, jest nią w istocie? Nie wiadomo, ale apostatą nie jest za to najpewniej sam inicjator naszej kontrowersji, Dawid Podsiadło. Jest schizmatykiem, a być może i heretykiem, ale nie apostatą. Informując o swoich planach, stwierdził bowiem, że ma wprawdzie problem z Kościołem, ale „nie ma problemu



Artur Barciś w jednym z wywiadów wyznał, że z Kościołem „pożegnał się już dawno” FOT. PIKIBITLEWSKI/ONS

łem nic go nie łączy oprócz wspomnień i zamierza „wydostać się z tej instytucji”.

Takie manifestacje to nie nowość. Przykładowo już wcześniej popularny aktor Artur Barciś w jednym z wywiadów wyznał, że z Kościołem „pożegnał się już dawno”, a przypisywanie mu żarliwej wiary określił mianem „czegoś okropnego”. Aktorka Agnieszka Włodarczyk, oczekując na poród, napisała w me-

z wiarą". Jeżeli to szczerze, to znaczy, że wierzy, ale chce tę wiarę przeżywać poza wspólnotą Kościoła, bez łączności z tymi, którzy mieliby tuszować pedofilie etc. Mamy więc schizmę (trochę, jak starożytnych donatystów: oni też uważali, że Kościół się skompromitował, więc założyli własny). Podsiadło powiedział też, że nie podoba mu się, iż Kościół miesza się do polityki i światopoglądu. To oznaczałoby, że uznaje ścisłą separację pomiędzy sferą wiary a sferą życia społecznego, a nawet indywidualnego. Byłaby to już nie schizma, ale herezja. Wciąż jednak nie apostazja.

DALEJ OD KOŚCIOŁA, BLIŻEJ CHRYSUSA

Ktoś powie, że to akademickie rozważania pozbawione głębszego sensu, bo to, co się liczy, to fakt, że ktoś zrywa z Kościołem. To jednak nadmierne uproszczenie, wręcz niebezpieczne. Dobrze pokazuje to przykład Niemiec, gdzie coraz więcej katolików wypisuje się z Kościoła, żeby... chronić wiarę. Brzmi jak absurd? Bynajmniej. Jak wiadomo, za Odrą każdy katolik zobowiązany jest płacić podatek kościelny. W imieniu Kościoła pobiera go państwo. Jedynym sposobem na to, by uniknąć płacenia, jest odwiedzenie państwowego urzędu i złożenie deklaracji informującej o opuszczeniu wspólnoty Kościoła. Niemieccy biskupi nie nazywają tego apostazją, ale wystąpieniem (niem. Austritt), bo wiedzą, że bynajmniej nie o wiarę tu chodzi.

W każdym razie zgodnie z ich nauczaniem każdy, kto się na taki krok zdecyduje, zaciąga karę ekskomunikacji. Ma to sens o tyle, że podatek kościelny jest niewielki; istnieją też liczne ulgi i w istocie nikomu on specjalnie nie wadzi. Ktoś, kto nie chce go płacić i „występuje” z Kościoła, dokonuje zatem nie tyle rozpaczliwego aktu ratowania własnych finansów, ile manifestuje chęć zerwania z biskupami lub wyrażenia swojego protestu wobec ich polityki. Jest to zatem akt schizmatyczny. Jako że procedura jest prosta, a zachodzi dodatkowa motywacja finansowa, co roku z Kościoła wypisuje się mnóstwo osób – ostatnio było to rekordowe 370 tys. Dyskusja jest zresztą o tyle istotna, że włączyła się w nią sama Stolica Apostolska, uznając, że nie należy wiązać bytności w Kościele z obowiązkami płacenia podatków. Benedykt XVI apelował, by nie nakładać ekskomunikacji na „występujących”.

Na pierwszy rzut oka to kontrowersyjny apel, skoro podatek nie jest dotkliwy. Problem jednak w tym, że, jak pisałem



Agnieszka Włodarczyk, oczekująca na poród, napisała w mediach społecznościowych, że nie planuje ochrzcić dziecka. FOT. DANIEL WYSOCKI/ONS

wcześniej, część katolików w Niemczech nie chce płacić podatku, by nie wspierać swoimi pieniędzmi biskupów, których uważa za... heretyków. Bo i rzeczywiście: jak ortodoksyjny katolik może co miesiąc przekazywać jakąś kwotę na kurie, która promuje błogosławienie par jedнопłciowych albo Komunię dla protestantów? Co jest lepsze: utrzymywanie jedności z heretykiem czy formalnoprawne jej zerwanie, czyli w teorii schizma skutkująca ekskomuniką, ale dokonana w imię... jedności z nauką Chrystusa? W Niemczech są nawet księża (sic!), którzy namawiają do „wystąpienia” z Kościoła w imię wierności Ewangelii... Sytuacja, przynajmniej, wyjątkowo trudna.

HERETYZM PO POLSKU

Wróćmy jednak do Polski. Warto bowiem zastanowić się, jak ta sprawa wygląda w naszym kraju: to znaczy, czy nad Wisłą występują prawdziwi apostości – i to w większych ilościach niż członkowie tego czy innego stowarzyszenia ateistów. Ci bowiem, którzy wzorem Dawida Podsiadły „wypisują się z Kościoła”, stanowią ledwie zauważalny margines: zgodnie z dostępnymi danymi to 2, może 3 tys. osób rocznie. Wprawdzie wielokrotnie więcej niż jeszcze kilkanaście lat temu, ale wciąż mało. I pewnie szybko się to nie zmieni, bo procedura, którą dla „wypisania się” z Kościoła przewidział KEP, jest na tyle żmudna i angażująca, że mało komu chce się przez nią przechodzić. To nie znaczy jednak, że problemu nie ma. Wprost przeciwnie.

Nie wiadomo do końca, ile jest w Polsce osób niewierzących. Z danych publikowanych przez CBOS wynika, że tak postrzega

się ok. 9 proc. Polaków (z czego, co ciekawe, 2 proc. nadal praktykuje). Znaczna część z nich to najprawdopodobniej osoby ochrzczone. Oznaczałoby to, że mieszka w naszym kraju kilka milionów apostatów w ścisłym tego słowa znaczeniu – osób, które nie wierzą w Chrystusa, niezależnie od tego, czy się z Kościoła „wypisały” czy nie. To grupa niewątpliwie duża i wydaje się, że należy dołożyć wszelkich starań, by do niej w jakiś sposób trafić. Pozostawiam to jednak w tym miejscu programom duszpasterskim biskupów i roztropności każdego z czytelników, którzy najpewniej sami znają kogoś niewierzącego, mogą zatem podjąć próbę jego racjonalnego przekonania do słuszności wiary.

Chciałbym zwrócić uwagę na inną grupę, tę, która wydaje się istotniejsza z perspektywy cywilizacyjnego sporu o kształt Polski. Chodzi o tych, którzy stoją na skraju apostazji: wierzących, ale na sposób – świadomie lub nie – schizmatyki i/lub heretyki. A takich osób w naszym kraju doprawdy nie brakuje. Aby się o tym przekonać, wystarczy spojrzeć na statystyki dotyczące uczęszczania na niedzielą Mszę Świętą. Według informacji udostępnianych przez Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego, to niespełna 40 proc. zobowiązanych do tego katolików. Dane instytucji świeckich są analogiczne.

Mamy zatem do czynienia z sytuacją, w której ponad połowa katolików nie wypełnia nakazanego przez Kościół obowiązku niedzielnego. Część, jak można się spodziewać, czyni to z lenistwa (kazania są przecież takie długie...). Duża część jednak lekceważy Mszę, bo uważa, że tak można albo że nie ma to po prostu większego znaczenia. Innymi słowy, odrzucają oni autorytet Kościoła katolickiego, który poucza, że znaczenie, owszem, ma – i to fundamentalne.

W sensie formalnym mamy do czynienia z być może dość miękką, ale jednak postacią schizmy: przekonaniem, że nie trzeba być posłusznym prawowitej hierarchii i następcom apostołów, bo hierarchia ta po prostu się w tej kwestii myli. Co do tego, że biskupi, a może po prostu Kościół, bywają w błędzie, jest zresztą przekonana bardzo duża część Polaków, przynajmniej jeżeli wierzyć CBOS: według badania z 2021 r. aż 40 proc. Polaków regularnie praktykujących (sic!) dopuszcza życie w konkubinacie, 41 proc. akceptuje antykoncepcję, 33 proc. rozwody, a 24 proc. – akty homoseksualne.

W dziedzinie nauczania moralnego Kościoła mamy zatem do czynienia z niezwykle poważnym rozjazdem między tym nauczaniem a opinią wierzących i praktykujących katolików. Nie są apostatami, nie są też schizmatykami (chodzą na Mszę!) – ale formalnie rzecz biorąc, są heretykami. Przecież herezja dotyczy nie tylko takich prawd wiary jak zmartwychwstanie Chrystusa, lecz także nauczania na temat nierozdzielności małżeństwa mężczyzny i kobiety.

Taka postawa większości znajduje swoje odzwierciedlenie wśród młodszych pokoleń. Obecnie jedynie połowa nastolatków w wieku 17–19 lat deklaruje udział w lekcjach religii, a co czwarty Polak w wieku 18–24 lata twierdzi, że jest niewierzący. Nawet jeżeli część z tych osób zmieni swoje zapatrywania, to pytanie, jak wychowują swoje dzieci. Czy w ogóle je ochrzczają? Choćby i tak – co powiedzą im na temat wiary, skoro sami nie przeszli pełnej ścieżki szkolnej katechezy? Być może dokształcać się na YouTube, oglądając przypadkowe filmiki o katolicyzmie.

A może sami decydują, co jest katolickie, a co nie? W gruncie rzeczy dlaczego nie mieliby tak właśnie zrobić? Możemy ubolewać nad niewdzięcznikami, którzy odrzucili dziedzictwo katolickiej Polski, obalili pomnik św. Jana Pawła II i odwrócili się od Kościoła, ale warto zadać sobie pytanie, na ile za ten stan rzeczy odpowiedzialność ponoszą same władze kościelne. I nie chodzi mi bynajmniej o typowe antyklerykalne zarzuty, choćby była w nich i część prawdy. Rzecz przecież w tym, że dzisiaj postawy schizmatyczne i heretyczne rozprzestrzeniają się jak zaraza, bo nikt tak naprawdę nie nazywa ich po imieniu.

Dlaczego młody katolik o liberalnych inklinacjach nie miałby np. opowiedzieć się za aborcją – skoro za aborcją opowiada się katolik Donald Tusk, a biskupi nie powiedzą na ten temat nawet jednego słowa? Nie liczę ogólnych „oświadczeń KEP” publikowanych w sieci, które traktują o każdym i o nikim zarazem. Szef partii politycznej aspirującej do przejęcia w Polsce władzy deklaruje, że pozwoli na legalne zabijanie dzieci nienarodzonych, ba, że zgody na to czyni nawet warunek wstępny przyjęcia na listy wyborcze. Tu trzeba konkretnie!

A przecież politycy to tylko część problemu. Na łamach „katolickich” czasopism w czasie „strajków kobiet” publikowano artykuły głoszące poparcie dla

legalnego dzieciobójstwa. Celował w tym „Tygodnik Powszechny”. Efekt? Władze archidiecezji krakowskiej wypowiedziały „Tygodnikowi” umowę na najem lokalu. Znakomicie, ale „Tygodnik” dalej podpisuje się jako „katolicki”... To przykłady pierwsze z brzegu. Bo w istocie na pęczki jest już nie tylko polityków i publicystów dezawuuujących zasady wiary, lecz także... katolickich księży. Choćby ostatnio w jednym z popularnych miesięczników dla tzw. inteligencji katolickiej pewien kapłan sugerował, że Chrystus nigdy nie zmartwychwstał. I co? I nic, oczywiście.

ZAWIESZONA DOKTRYNA

Kościół w imię „inkluzywności” przestaje definiować ortodoksję i herezję. W sytuacji, w której wszystko uchodzi płazem, wszystko staje się dozwolone. Za łamanie prawa odpowiada ten, który je łamie, ale jeżeli czymś powszechnym jest bezkarność, to odpowiedzialność spada również na wstrzymującą się od nazywania rzeczy po imieniu władzę. Ta całkowita inercja nie jest bynajmniej polską specyfiką. Radykalnym przejawem zanikania kryteriów wiary i niewiary jest proces synodalny papieża Franciszka, który dąży do „odnowy” Kościoła. W ramach tego procesu postanowiono „wysłuchać się” w głosy wszystkich ludzi, którzy są po prostu zainteresowani sprawą katolicyzmu. Nieważne jak: czy chcą wzmacniać wierność względem nauczania kościelnego czy też wprost przeciwnie – dążą do jego destrukcji. Głosy są równoważne

i znajduje to swój dramatyczny wyraz w dotychczasowym przebiegu synodu.

Pod koniec października Watykan opublikował podsumowanie tego wysłuchiwanie. Propozycje: zaakceptować homoseksualizm, zmienić kapłaństwo, dać władzę w ręce świeckich, dopuścić kobiety do diakonatu i głoszenia kazań, przebudować liturgię... Mówiąc krótko: protestantyzacja, którą firmują kardynałowie „wsluchujący się w głos ludu”.

Czego zresztą się spodziewać, skoro biskupi na całym świecie coraz mniej mają instrumentów, by przeciwdziałać herezjom, nawet gdyby tego chcieli? Franciszek przecież zawiesił doktrynę: za jego pontyfikatu dopuszczalne stało się to, co wcześniej takie nie było – udzielanie Komunii Świętej rozwodnikom i protestantom, błogosławienie związków jednopłciowych, popieranie legalnej aborcji... Nie wiadomo więc: karać kościelnie takich heretyków czy gratulować im odkrycia „czystej wiary”? Wszystko to, za co w normalnej sytuacji biskupi powinni ogłaszać ekskomunikę, jest dzisiaj traktowane jako przejaw otwartości i poszukiwania nowej formy bycia Kościoła w świecie. To sytuacja ciężko schizofreniczna.

Wypisanie się z Kościoła przez tego czy innego celebrytę, nawet jeżeli znajduje jakichś naśladowców wśród grupki antyklerykalnych nastolatków, nie ma w kontekście prawdziwych problemów katolicyzmu większego znaczenia. Wydaje się, że jedną z rzeczy, którą trzeba zrobić przede wszystkim, jest odzyskanie jasności tego, co jest katolickie, a co katolickie nie jest. Na dłuższą metę nie do utrzymania jest wspólnota Kościoła złożona z grup, które mają całkowicie sprzeczne poglądy na najistotniejsze zagadnienia doktrynalne i bioetyczne. Tymczasem dzisiaj mierzymy wielkimi krokami właśnie w tę stronę: Kościoła mętności, w którym między ortodoksją a herezją nie ma już dosłownie żadnych granic. Wiara w to, że Franciszek porządzi już tylko kilka lat, a po nim wszystko wróci do normy, może okazać się całkowitym złudzeniem. Dopóty nie ma w Polsce biskupów głoszących herezję jak w Niemczech, dopóki nie ma i katolików „wypisujących się” z Kościoła w obronie wiary. Kto zagwarantuje, że to się jednak nie zmieni? A wtedy kto tu będzie prawdziwym apostatą?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.



Piosenkarka Margaret kilka lat temu oznajmiła, że nie zgadza się z moralnością głoszoną przez Kościół. FOT. JERZY DĄBROWSKI/ONS

Historia uległości





Jakub Wozinski

Wbrew retoryce odwołującej się do nieusuwalnego antagonizmu między centralizacyjnymi dążeniami Brukseli a własną wizją Polski obóz Zjednoczonej Prawicy w zdumiewająco łatwy sposób godzi się na rozpędzający się proces erozji suwerenności polskiego państwa

W czasie wrześniowego Forum Ekonomicznego w Karpaczu Jarosław Kaczyński wypowiedział słowa, które stały się później pożywką dla lewicowych mediów. Określając Unię Europejską jako wroga kulturowo, prezes PiS dał idealny pretekst, aby związani z totalną opozycją dziennikarze i politycy mogli przez następne dni ostrzegać przed próbami „wyprowadzenia Polski z Europy” i podkreślać rzekomo antyzachodni kurs rządowej formacji.

Ostre wypowiedzi pod adresem Berlina i Brukseli padały także na licznych spotkaniach z wyborcami, które Kaczyński odbywał przez ostatnie tygodnie. Mówił m.in. o łamaniu traktatów europejskich przez Unię Europejską, skrywaniu się Niemiec za maską UE, a także zapowiadał, że jego partia nie pozwoli na przekształcenie wspólnoty w sfederalizowane państwo. Odgrążanie się Niemcom i sterowanej przez nich Unii stanowiło wręcz jeden z głównych motywów przewodnich wystąpień.

Tak konfrontacyjny (przynajmniej werbalnie) kurs wobec Unii to z pewnością efekt zastosowanego przez Komisję Europejską szantażu związane z wstrzymaniem wypłaty środków z tytułu Krajowego Planu Odbudowy. Przez wiele miesięcy rząd miał nadzieję, że pieniądze zostaną wkrótce uruchomione, lecz dopiero latem stało się jasne, że Bruksela uruchomi środki jedynie wtedy, gdy w Warszawie zainstalowany zostanie nowy, sprzyjający Berlinowi rząd. W sierpniu Jarosław Kaczyński dał wyraźny sygnał do zmiany podejścia, przekonując w jednym z wywiadów, że jeśli Komisja Europejska nie wypełnia

swoich zobowiązań wobec Polski, to i Polska nie ma powodów, by wykonywać swoje zobowiązania wobec Unii Europejskiej.

Biorąc pod uwagę tego rodzaju zapewnienia, można byłoby się spodziewać, że coraz bardziej przyciśnięty finansowo do muru rząd będzie za wszelką cenę starał się powstrzymać wszelkie centralistyczne dążenia Berlina. Pomimo sukcesu wyborczego Giorgii Meloni we Włoszech wciąż przecież niezwykle daleko do zbudowania w ramach Unii politycznego frontu, który skutecznie przeciwstawiłby się idei europejskiego państwa federalnego zarysowanego w niemieckiej umowie koalicyjnej. Skoro podporządkowana Berlinowi Komisja Europejska w jawny sposób blokuje Polsce dostęp do należnych jej środków z KPO, grozi wstrzymaniem kolejnych miliardów z funduszu spójności i nie partycypuje niemal w żaden istotny sposób w kosztach utrzymywania ukraińskich uchodźców, to skrajną naiwnością byłoby zakładanie, że uzyskawszy jeszcze większe kompetencje, nie zechce ich wykorzystać przeciwko Polsce. Do czasu przejęcia sterów nad Komisją Europejską przez ugrupowania sprzeciwiające się koncepcji superpaństwa podstawową zasadą w relacjach z Brukselą powinno być blokowanie absolutnie wszystkich mechanizmów i inicjatyw zwiększających zakres kompetencji organów centralnych.

SŁOWA RÓŻNE OD CZYNÓW

Buńczuczne deklaracje to jedno, tymczasem rzeczywistość pokazuje coś zgoła przeciwnego. Ostatnie kilka lat, a w szczególności ostatnie miesiące, gdy ostrzejszy niż do tej pory spór z Brukselą stał się faktem, to niemal nieustanny festiwal prezentów Zjednoczonej Prawicy dla rosnącego w siłę europejskiego państwa federalnego. Gdyby wszystko sprowadzało się do pojedynczych wpadek, można by mówić o niefrasobliwości. Niestety, spolegliwość względem Brukseli i Berlina układa się w zadziwiający ciąg ustępstw.

Długa tradycja kontrastujących z suwerennościową retoryką ustępstw obecnej ekipy rządzącej sięga co najmniej 2007 r., gdy prezydent Lech Kaczyński podpisał traktat lizboński. Gwoli przypomnienia – zawęzał on obszary wymagające jednomyślności przy podejmowaniu decyzji przez państwa członkowskie oraz tworzył fundamenty ogólnoeuropejskich instytucji. Przez lata zarzuty, że w Lizbonie doszło do utraty części

Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen i premier Mateusz Morawiecki

FOT. WOJCIECH OLSZAK/NEWS

■ suwerenności, przedstawiciele PiS zbywali jako bezpodstawne, aż w końcu w 2021 r. rozgorzały spory z Unią o kopalnię Turów i reformę sądownictwa. W roli głównej wystąpił w nich Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej, który swój żywot rozpoczął wraz z ratyfikacją traktatu. Obnażenie fikcji niezależności TSUE powinno było skłonić wszystkich obrońców decyzji z 2007 r. do zrewidowania dotychczasowych poglądów, lecz niestety zwyciężyło naiwne przekonanie, że to tylko wypadek przy pracy na budowie „Europy ojczyzn”.

TSUNAMI USTĘPSTW

Prawdziwe tsunami uległości wobec centralizacyjnych zapędów Berlina i Brukseli zaczęło się wraz z wybuchem pandemii. W typowy dla siebie sposób Komisja Europejska postanowiła wykorzystać kryzysową sytuację do wielkiego skoku po władzę (czego przejawem były choćby wspólne zakupy szczepionek dla kilkuset milionów osób). Już 27 maja 2020 r. ogłoszono uruchomienie Funduszu Odbudowy na kwotę ponad 750 mld euro, który pod pozorem przeciwdziałania skutkom gospodarczego wstrząsu, związanego z polityką sanitarną, przedstawiał całą wspólnotę na tory przyspieszonej realizacji agendy zrównoważonego rozwoju. Zmagające się z rekordowymi deficytami i spadkami PKB rządy zgodziły się na to, aby Unia Europejska zaciągnęła swój pierwszy, historyczny dług w imieniu wszystkich państw członkowskich i wyemitowała euroobligacje. W światowych mediach wydarzenie zostaje okrzyknięte „momentem hamiltonowskim” Unii Europejskiej, tworzącym kolejny ważny fundament państwa federalnego (nic tak nie scala w jedno państwo jak wspólny dług).

Premier Mateusz Morawiecki nie dość, że entuzjastycznie poparł ideę wspólnego długu oraz wspólnych unijnych podatków, to na dodatek uruchomił kampanię marketingową zachwalającą wywalczenie w Brukseli dla Polski rekordowej kwoty 770 mld zł dla Polski. W czasie grudniowego szczytu szef Rady Ministrów zawarł jednak kompromis, na mocy którego środki należne Polsce miały podlegać zasadzie warunkowości. Morawiecki zgodził się na to, aby płatności z budżetu UE mogły być wstrzymywane w oparciu o stwierdzenie naruszenia zasad praworządno-

ści i – cóż za niespodzianka! – Komisja Europejska nie omieszczała wkrótce ich stwierdzić. Mało tego, jak ujawniła niedawno „Gazeta Prawna”, polski rząd zgodził się na uwarunkowanie wypłaty środków zgodnością z zapisami Karty praw podstawowych (zawierającej m.in. zapisy promujące tęczową agendę), choć inne kraje w swoich umowach na to nie przystały.

Na feralnym unijnym szczycie z grudnia 2020 r. polski rząd wyraził także zgodę na przyspieszenie klimatycznej agendy UE. Na efekty tego wydarzenia również nie trzeba było długo czekać. Już w lipcu 2021 r. Komisja Europejska z dumą przedstawiła swój program „Fit for 55”, zakładający intensyfikację działań na rzecz osiągnięcia zeroemisyjności w wielu obszarach. Rząd

Na feralnym unijnym szczycie w grudniu 2020 r.

polski rząd wyraził zgodę na przyspieszenie klimatycznej agendy UE

Morawieckiego zgłosił zaledwie kilka zastrzeżeń, m.in. co do propozycji zakazu sprzedaży aut spalinowych od 2035 r. Pomimo wcześniejszych deklaracji, że Polska nie zgodzi się na krok grożący wręcz ruiną polskiej gospodarki, rząd ostatecznie nie zablokował go i zatwierdził zgodnie z planami Parlamentu Europejskiego i Komisji Europejskiej. Dotychczasowe wysiłki na rzecz zbudowania koalicji państw przeciwnych zakazowi były w znacznej mierze pozorowane i nie przełożyły się na namacalne efekty.

Uległość wobec unijnej polityki klimatycznej znajduje również przełożenie na nawarstwianie się problemów w innych obszarach, jak choćby w rolnictwie. Realizowany przez wspólnotę Zielony Ład w rolnictwie zakłada nie tylko postępujące uzależnianie produkcji rolniczej od brukselskiej biurokracji, lecz także znaczące ograniczanie potencjału produkcyjnego całego sektora. Cały projekt firmuje zaś swoją osobą komisarz rolnictwa Janusz Wojciechowski, który stanowisko zdobył dzięki wysiłkom partii rządzącej.

Osobną kwestię stanowi zatwierdzony ostatecznie jesienią 2020 r. plan wygaszenia polskich kopalni węgla do 2049 r.

Decyzja, traktowana przez premiera jako „przełomowa”, z pewnością bardzo współgrała z politycznymi i biznesowymi celami Berlina, tymczasem obecnie bardzo ograniczyła polskiemu państwu i obywatelom pole manewru.

KAMIEŃ MIŁOWE ULEGŁOŚCI

Wiosną tego roku okazało się ponadto, że w ramach trwających od miesięcy rozmów z Komisją Europejską na temat uruchomienia środków należnych Polsce z tytułu Krajowego Planu Odbudowy rząd zgodził się zrealizować określone „kamienie milowe”, o których nie wiedzieli nawet niektórzy politycy partii rządzącej. Zawierały one m.in. zgodę na wspomniany już zakaz sprzedaży aut spalinowych, wprowadzenie w dużych miastach stref niskoemisyjnego transportu oraz wycofanie się z reform w zakresie sądownictwa. Premier Morawiecki starał się od początku bagatelizować ich znaczenie, ale w praktyce od dłuższego czasu Polska sumiennie wprowadza je w życie.

Na mechanizm powiązania wypłaty środków od spełnienia określonych żądań można by patrzeć wyłącznie przez pryzmat rosnącego apetytu na władzę w Brukseli, jednakże kłopoty sprowadził na siebie sam Morawiecki. Gdyby od samego początku przedstawił opinii publicznej zakres roszczeń drugiej strony, przedstawiałoby to całą sprawę w zupełnie innym świetle. Zamiast tego Polacy po czasie dowiedzieli się, że szef rządu w tajemnicy przyjął bardzo liczne zobowiązania, które przekształcają się powoli w schemat szczegółowych wytycznych rządzenia płynących z innego kraju.

Gdyby opowieść o budzących ogromny niepokój ustępstwach wobec Brukseli i Berlina zakończyć już w tym miejscu, to zupełnie wystarczyłoby to do zobrazowania skali problemu. Delegowany przez obóz Zjednoczonej Prawicy do rządu krajem Mateusz Morawiecki najwidoczniej jednak ma ogromne kłopoty z nauką na własnych błędach, gdyż w obecnym roku kalendarzowym przyczynił się do budowy europejskiego superpaństwa także i w innych obszarach.

SIŁY POKOJOWE BRUKSELI

Tuż po rosyjskiej agresji na Ukrainie Niemcy ożywił na nowo swoją kampanię na rzecz wzmocnienia filaru obronności wspólnoty. Do tej inicjatywy ochoczo przyłączył się premier Morawiecki, który

w wywiadzie dla dziennika „Berliner Morgenpost” opowiedział się już w lutym za stworzeniem silnej europejskiej armii zintegrowanej z NATO tak, aby UE mogła się stać „graczem globalnym”. Ku ucieście Niemców w marcu zawarte zostało porozumienie ministrów obrony krajów członkowskich, na mocy którego do końca 2025 r. mają powstać liczące 5 tys. żołnierzy siły szybkiego reagowania. Choć nie jest to szczególnie imponujący kontyngent, to decyzję sprzed pół roku zgodnie przyjęto na całym świecie jako przełomową dla UE, a kanclerz Olaf Scholz w ostatnim czasie coraz wyraźniej akcentuje potrzebę rozwinięcia segmentu obronności wspólnoty. Czyżby nad przestrzeganiem zasad samorządności i rządów prawa miały kiedyś czuwać specjalne siły pokojowe?

Spory niepokój mogą budzić także niedawne poczynania rządu na odcinku polityki energetycznej. Trwający kryzys energetyczny jest wykorzystywany przez zwolenników budowy scentralizowanego państwa europejskiego do powierzenia Komisji Europejskiej specjalnych kompetencji pod pretekstem uzyskania lepszej pozycji na rynku dla wszystkich krajów członkowskich. Po niedawnym szczycie w Brukseli Ursula von der Leyen zakomunikowała, że przywódcy poparli wprowadzenie w UE wspólnych zakupów gazu i w tym celu budowę specjalnych „konsorcjów zakupowych”. Poparcia udzieliła oczywiście także Polska, której rząd nie widzi najwyraźniej żadnego ryzyka związanego z utratą pełnej kontroli nad procesem pozyskiwania strategicznego surowca.

Przedstawiająca siebie jako obrońcę cywilizacji zachodniej formacja rządowa jest wobec Unii na tyle uległa, że nie zdołała nawet przeciwstawić się forsowaniu ideologii LGBT. W czerwcu rząd przyjął uchwałę w sprawie ustanowienia tzw. Krajowego Programu Działań na Rzecz Równego Traktowania na lata 2022–2030. Zastanawiając się chęcią dbania o zasadę równego traktowania obywateli, rządzący zaakceptowali dokument otwierający niebezpiecznej ideologii wiele furtek do oddziaływania na stosunki społeczne w miejscach pracy czy też w systemie oświaty. Dokument ów zapewnia także tęczowym ekstremistom specjalną ochronę prawną, m.in. rozszerzając walkę z tzw. mową nienawiści.

Kapitulacją wobec środowisk LGBT należy także nazwać przyzwolenie na

Każde cząstkowe zrzeczenie się decyzyjności w poszczególnych obszarach nie tworzy pozornie wielkiego zagrożenia, **lecz wzięte wszystkie razem – jak najbardziej**

to, aby Bruksela ukarała gminy, które sprzeciwiły się tęczowej indoktrynacji, odebraniem środków. W czerwcu rząd oficjalnie podpisał się pod dokumentem ustalającym warunki realizacji unijnego budżetu na lata 2021–2027, a jednym z nich było właśnie rozmyślnie pozbawienie odważnych samorządów należnych im środków.

Istota problemu leży w tym, że rozpatrywane samo w sobie każde cząstkowe zrzeczenie się decyzyjności w poszczególnych obszarach nie tworzy pozornie wielkiego zagrożenia, lecz wzięte wszystkie razem – jak najbardziej. Jak zauważył sam Jarosław Kaczyński, za maską wszystkich unijnych organów, urzędów i ciał sądowniczych kryje się ostatecznie jeden ośrodek władzy w Niemczech. Oddając po kolei części składowe suwerenności, ryzykuje się przekroczeniem masy krytycznej, w którym wroga polskiej niepodległości strona, posiadając wielką liczbę środków nacisku, może wręcz uzyskać kontrolę nad wydarzeniami w kraju. Ryzyko realizacji takiego scenariusza jest tym większe, że jak pokazuje przykład akceptacji dla genderowej indoktrynacji, rząd Zjednoczonej Prawicy coraz bardziej godzi się na to, aby zwolennicy europejskiego państwa federalnego narzucali swoje zasady życia społecznego, które podkopują instynkty samozachowawcze polskiej suwerenności.

STRACH PRZED ZAKRĘCENIEM KURKA

Motywy przewodnim niemal wszystkich kolejnych kapitulacji rządzącej ekipy wobec Brukseli jest oczywiście głęboko podszyty lęk przed utratą dostępu do unijnych funduszy. Wizja ich wstrzymania wydaje się decydom na tyle porażająca, że skłonni są pójść na coraz bardziej upokarzające dla ich prawicowej tożsamości ustępstwa. Skoro jednak już praktycznie od kilku

lat wiadomo, że Komisja Europejska jest skłonna sięgnąć w konflikcie z Polską po najbardziej radykalne środki, łączenie z całkowitym zakręceniem kurka z pieniędzmi, to czemu rządzący wciąż nie przygotowali się na to finansowo? Dlaczego nie zaczęli oszczędzać na czarną godzinę, tylko wciąż kontynuują swój fiskalny pokaz fajerwerków? Dlaczego sami wzmoгли słynną kampanią „770 mld zł dla Polski” nie pogłębił społeczny entuzjazm wobec coraz bardziej problematycznych unijnych dotacji – zamiast go chłodzić i szukać innej formuły dogonienia najbogatszych państw?

Zmagając się od samego początku swoich rządów z właściwie nieustanną nagonką ze strony Brukseli, obóz rządzący żyje zapewne w fałszywym przekonaniu, że czyni wszystko, co może, aby przeciwstawić się eurokratom. Biorąc nadto pod uwagę niedawną uchwałę polskiego Sejmu o dochodzeniu od Niemiec spłaty reparacji, wśród decydentów być może panuje nawet przekonanie, że tak naprawdę to Polska coraz bardziej ogrywa tych, którzy się kryją „za maską Unii”. Fakty pozostają jednak nieubłagane, a chronologiczne zestawienie niewytlumaczalnych niekiedy ustępstw wobec Brukseli pokazuje coś zgoła innego.

Wiele osób żyje złudnym przekonaniem, że powstaniu europejskiego państwa federalnego towarzyszyć będzie kiedyś oficjalna likwidacja państw członkowskich, połączona z wielkimi politycznymi wiecami i politycznymi przetasowaniami. O wiele bardziej prawdopodobny wydaje się jednak scenariusz, w którym Unia Europejska, stosując metodę drobnych i konsekwentnych kroków, przejmie w końcu „pakiet kontrolny” nad Starym Kontynentem z zachowaniem formalnej niezależności państw członkowskich. Poszczególne państwa, w tym Polska, będą nadal tworzyć własny budżet i wybierać własny skład parlamentu oraz prezydenta, lecz płynące w zamian za unijne środki i kredyty wytyczne, w połączeniu z orzeczeniami unijnych trybunałów oraz zaleceniami innych organów, będą stopniowo stawały się nadrzędne wobec woli lokalnych władz. Opis ten nie dotyczy zresztą, niestety, przyszłości, lecz procesu, który w ostatnich miesiącach nabiera prędkości pomimo zapewnień rządzących, że potrafią grać z Brukselą twardo i zdecydowanie.



Z Robertem Bąkiewiczem, prezesem Stowarzyszenia Marsz Niepodległości
rozmawia Ryszard Gromadzki

Politycy Konfederacji mają fobię na punkcie PiS



FOT. MATEUSZ MAREK/PAP

RYSZARD GROMADZKI: Co dalej z Marszem Niepodległości? Robert Winnicki, lider Ruchu Narodowego i poseł Konfederacji, powiedział ostatnio, że tegoroczna edycja marszu była ostatnią, którą pan organizował.

ROBERT BĄKIEWICZ: Robert Winnicki ocenia sytuację, która będzie miała miejsce za dwa miesiące. Jego wypowiedź być może wynika również z pewnego konfliktu wewnętrznego, który jest w stowarzyszeniu Marsz Niepodległości. Jaka faktycznie będzie decyzja walnego zgromadzenia Stowarzyszenia Marsz Niepodległości, trudno w tej chwili przesądzać, no chyba że Robert Winnicki ma zdolności wróżbiarskie, ja takich nie posiadam (śmiech). Jednak jestem dobrej myśli.

O jakim konflikcie w Stowarzyszeniu Marsz Niepodległości pan mówi?

Moje środowisko jest niezależne od partii Ruch Narodowy. To wywołuje pewne napięcia, dlatego że ta partia chciałaby mieć wpływ na wiele elementów życia społecznego, w którym działają środowi-

ska narodowe. Powiem nawet mocniej: od lat mam wrażenie, że Winnicki i jego załoga zwalczają wszelką niezależność po naszej stronie „barykady” bardziej niż wrogów stojących naprzeciwko nas. Myślę, że to główna oś konfliktu. Kolejną sprawą, która nas różni, jest ta, że w okresie dwóch ostatnich kadencji, w czasie których jestem prezesem stowarzyszenia, nie jest ono zorientowane tylko na jedno wydarzenie w roku, czyli Marsz Niepodległości. Stowarzyszenie działa w sposób ciągły, realizując różne cele statutowe, chociażby budując własną telewizję, organizując inne imprezy, współpracując z kombatanami itd. Po trzecie, stowarzyszenie dysponuje obecnie zasobem aktywów, którymi wcześniej nigdy nie dysponowało. Wreszcie sam Marsz Narodowy, który zapewne zarówno partia Ruch Narodowy, jak i Konfederacja, w której skład wchodzi, chciałyby w większym stopniu wykorzystywać dla własnych celów politycznych. Nie muszę podkreślać, że Marsz Niepodległości jest marszem Polaków, a nie marszem partyjnym.

À propos zasobów, którymi dysponuje stowarzyszenie: pana oponenci w środowisku narodowym mówią, że pochodzą one z różnych grantów i dotacji ze strony władzy, której pan dał się skorumpować.

Ten zarzut jest wobec mnie powtarzany jak mantra. Niezależność wobec Ruchu Narodowego i Konfederacji jest przez moich krytyków oceniana jako kolaboracja z PiS. Nie zgadzam się z tymi ocenami. Zawsze uważałem, że powinniśmy ubiegać się o dotacje, zresztą różne podmioty związane z Robertem Winnickim czy Młodzieżą Wszechpolską dostają potężne granty – chociażby 2 mln bezpośrednio od premiera Morawieckiego, bez żadnego konkursu. W Sejmie mieliśmy różne głosowania, które też można odczytywać jako przejaw politycznej korupcji ze strony Konfederacji. Tego rodzaju argumenty są używane po to, żeby obniżyć moją wiarygodność.

Kłótnie w środowisku narodowym raczej nie przysporzą wam poparcia ze strony wyborców.

Oczywiście ten spór będzie osłabiał nasze środowisko, być może będzie

wręcz wyniszczający. Mogę powiedzieć tylko tyle, że mam dobrą wolę i jestem gotowy do rozmów oraz otwarty na porozumienie. Niestety, wydarzenia, które miały miejsce ostatnio, utwierdzają mnie w przekonaniu, że koledzy, w tym Robert Winnicki, dążą do totalnej konfrontacji. Trudno inaczej odbierać kolaborację Ruchu Narodowego z TVN. Jeśli prominentny działacz Ruchu Narodowego Witold Tumanowicz idzie do tej stacji, żeby w jej materiale bronić Marszu Niepodległości przed środowiskiem Roberta Bąkiewicza, to trudno to inaczej komentować. Mimo to jestem wciąż otwarty na rozmowy i negocjacje. Z drugiej strony ślubu ze Stowarzyszeniem Marsz Niepodległości nie brałem, mam w życiu co robić. Gdyby zdarzyła się taka sytuacja, że znaleźlibyśmy się poza stowarzyszeniem, to myślę, że otworzyłaby się przestrzeń do podjęcia wielu różnych inicjatyw.

Na przykład współpracy politycznej z PiS?
Ostatnio działacze tej partii, pytani o pana start w przyszłorocznych wyborach z list Prawa i Sprawiedliwości, odpowiadali, że te listy są otwarte dla każdego.

Nie rozmawiałem z politykami PiS na temat żadnych list. Stawiam na własną podmiotowość polityczną. Więcej, jestem gotowy współpracować nadal z szeroko pojętym Ruchem Narodowym, ale pod warunkiem, że te środowiska też będą chciały współpracować. Małżeństwo na siłę nie ma sensu. Od wielu lat podejmowane są próby społecznej anihilacji mojego środowiska. Ze względu na dobro Marszu Niepodległości i samego stowarzyszenia długo nie komentowałem ataków kierowanych w moją stronę, a także działań, które nie były widoczne dla szerszej publiczności, a jednak miały miejsce. Z tych powodów moje zaufanie do Roberta Winnickiego i jego otoczenia jest ograniczone.

Powiedział pan, że stawia na własną podmiotowość polityczną. Czy to oznacza, że w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych wystartuje pan pod swoim szyldem?

Nie podjąłem takiej decyzji. Nie powiem, że nigdy o tym nie myślałem czy nie rozważałem tego typu działań, bo rozważałem. Wypchnięcie mnie ze Stowarzyszenia Marsz Niepodległości sprawi, że będę miał więcej czasu i być może wtedy chętniej podejmę tego rodzaju decyzję. Ale dziś nie mogę udzielić jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie.

Media Narodowe, główne aktywo medialne należące do Stowarzyszenia Marsz Niepodległości, mają być teraz dostępne w telewizjach kablowych. Z jakim przyjęciem ze strony operatorów kablowych spotkała się telewizja z narodowym przekazem?

Pomysł budowy własnych mediów, który przedstawiłem w 2016 r., był wtedy blokowany przez środowisko Roberta Winnickiego. Dla mnie kwestia dotarcia z ideą, z którą mogłaby się identyfikować ogromna rzesza Polaków, była absolutnie kluczowa. Ideą, której nie znają, bo jest stygmatyzowana i obryzdzana. Wejście Mediów Narodowych do „kablówek” jest próbą przekroczenia pewnej bariery, wyjścia z niszy, do której środowiska narodowe zostały zapędzone. Już teraz mamy deklaracje ze strony operatorów kablowych, które zapewnią nam dostęp do 200 tys. gniazd. Chcemy na koniec przyszłego roku dojść do poziomu 2 mln

Nasze środowisko stara się budować własną narrację. Przypomnę, że to my zrealizowaliśmy projekt „Stop 447”, na bazie którego Konfederacja dostała się do Sejmu

gniazd. Jesteśmy też po rozmowach z jednym z operatorów kablowych z Litwy, zainteresowanych naszym kanałem. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to Media Narodowe będą też odbierane przez naszych rodaków w Republice Litewskiej.

Wróćmy do polityki. Krzysztof Bosak z Konfederacji przestrzegał niedawno przed scenariuszem, w którym środowisko narodowe zostanie skanibalizowane przez Prawo i Sprawiedliwość, jak niegdyś Liga Polskich Rodzin. Jeśli przyjąć interpretację Bosaka, to stąpa pan po kruchym lodzie...

Politycy Konfederacji mają jakąś fobię na punkcie PiS. Przez kilka lat obecności w parlamencie ich polityka skupia się prawie wyłącznie na atakowaniu ekipy rządzącej. Z jednej strony to dobrze, że taka krytyka jest, jeśli jest ona merytoryczna. Jednak jeśli to jest jedyny sposób na pozyskiwanie głosów wyborców, w obliczu różnych kryzysów międzynarodowych, takich jak wojna na Ukrainie czy wynikających z działań Unii Europejskiej wobec Polski, to wydaje mi się, że jest to polityka niesku-

teczna. Polityka, której sufitem jest pułap 10 proc. poparcia w wyborach, a w tej chwili nawet szacowany na poziom w okolicach granicy progu wyborczego. Politycy Konfederacji nie są zainteresowani, żeby odgrywać jakąś rolę w naprawie naszego państwa, wpływie na rzeczywistość polityczną. Oni są zainteresowani utrzymaniem pewnego poziomu poparcia, który jest pochodną uprawianej przez nich krytyki władzy. Powiedzmy sobie szczerze: tego rodzaju krytyka nie wymaga ciężkiej pracy. Taka krytyka w demokracji zawsze znajduje poparcie. W demokracjach władza zawsze się zużywa i po pewnym czasie zawsze jest gorzej odbierana. Oczywiście nie odrzucam merytorycznej i potrzebnej krytyki PiS. Jednak jeśli ma być tak, że „walimy” tylko w PiS i nie widzimy innych zagrożeń ze strony Lewicy czy Platformy Obywatelskiej, jeśli nie budujemy własnej narracji, a płyniemy cały czas w kontrze do wojny na Ukrainie czy, wcześniej, do polityki w sprawie COVID-19, to nie jest to dobra strategia. Nie twierdzę, że w tych sprawach Konfederacja nie miała racji, ale skupianie się tylko na tym, a nie na tworzeniu własnych tematów, na pewno nie pomoże skutecznie wpływać na rzeczywistość polityczną.

Robert Bąkiewicz jest już gotowy budować własną narrację polityczną?

Nasze środowisko stara się budować własną narrację. Przypomnę, że to my zrealizowaliśmy projekt „Stop 447”, na bazie którego Konfederacja dostała się do Sejmu. To, że Konfederacja jest w Sejmie, to również zasługa tego, że jej politycy mogli pokazywać się w telewizjach Media Narodowe oraz w Realu24. Praca wykonana de facto przez organizacje społeczne miała istotny wpływ na to, że politycy Konfederacji osiągnęli sukces, którym niewątpliwie było wprowadzenie 11 posłów do Sejmu po wyborach w 2019 r. w tak zamkniętym systemie politycznym, jaki mamy w Polsce. To my stworzyliśmy narrację, która trafiła do Polaków, zwracając uwagę na bezprawność żydowskich roszczeń majątkowych w stosunku do mienia bezdziedzicznego. Odpowiadając wprost na pana pytanie – Robert Bąkiewicz i jego środowisko podejmują tematy, które wymagają politycznego zdefiniowania, i będziemy robili to nadal, mimo że dla polityków Konfederacji ten, kto nie idzie z nimi łeb w łeb, zaprzedał się Prawu i Sprawiedliwości.



O dawaniu w szyję



Tomasz Rowiński

Prezes PiS się nie pomylił – negatywne efekty emancypacji kobiet, np. w postaci przejmowania przez nie złej skłonności wielu mężczyzn do pijaństwa, trzeba uznać za przyczynę niskiej dzietności

Jeśli mnie pamięć nie myli, to Rafał Matyja, jeden z najciekawszych komentatorów polskiej polityki ostatnich dekad, już w czasach pierwszych rządów PiS określił Jarosława Kaczyńskiego mianem „mistrza sytuacji”. Choć lata mijają i wielu chciałoby odesłać prezesa na emeryturę, ten raz po raz udowadnia, że nie utracił zdolności rozgrywania emocji nie tylko polskiej klasy politycznej, lecz także politycznej publiczności.

Jego wypowiedź na temat związku kryzysu demograficznego i nadużywania alkoholu przez kobiety była oczywiście na swój sposób wulgarna – w stylu przypominającym przasne i knajpiane gawędziarstwo – ale jednocześnie w jednej chwili odwróciła uwagę niemal wszystkich w Polsce od bieżących, poważnych problemów, z którymi mierzy się nasz kraj. W kął poszły wojna, inflacja, reforma sądownictwa, uchodźcy, przezbieranie polskiej armii, wszystko – cokolwiek sobie pomyślicie. Słowa o „dawaniu w szyję” naprawdę przykryły całą polityczną rzeczywistość. Opozycja w jednej chwili porzuciła dotychczasowe narracje i zaczęła zmasowaną kampanię obrony... „niewieściej cnoty”, parafrazując szeroko wyszydzone powiedzonko prof. Pawła Skrzydlewskiego, doradcy ministra Przemysława Czarneka.

Można się zastanawiać, czy Jarosław Kaczyński celowo postanowił wziąć pod włos publiczność czy po prostu od czasu do czasu udaje mu się, niejako mimochodem, zrestartować mentalne ścieżki opinii publicznej. Jedno jest pewne, że po prostu

to robi. Naprawdę jest coś zabawnego w tym, że udaje mu się to z taką łatwością. A cała scena polityczna, niczym baletnicy i baletnice na znak reżysera, zaczyna przebierać nóżkami wedle podanego przez Kaczyńskiego rytmu i melodii.

Biorąc jednak pod uwagę, że kilka dni później prezes PiS wspomniął tym razem o szaleństwie świata, w którym 12-latkę ogłaszają się lesbijkami, należałoby uznać, że Kaczyńskiego wciąż cechuje głębokie rozeznanie w emocjonalnym terenie Polaków, a gierki z publicznością wciąż są dla niego pewnego rodzaju pożyteczną rozrywką i rozgrywką. Jeśli faktycznie zmierzył taką zmianę nastrojów i zestawów tematów przerabianych przez komentariat, to trzeba powiedzieć, że mu się udało.

Reakcja na „12-letnie lesbijki” – proszę wybaczyć użycie tego zwrotu, ale taką właśnie zbitkę ukuły media – była słabsza, ale i tak portale reprezentujące liberalnego mieszczańskiego kołtuna zjeżyły się, jakby obrażone zostały największe społeczne świętości. Efekty gawędziarstwa szefa obozu rządzącego były zresztą zdumie-

wające także pod innym względem. Na długie dni media zajęły się rzeczywistym przecież problemem, którym jest rosnące spożycie alkoholu wśród kobiet. W ramach dyskusji odpryskowych do szerszej opinii publicznej mogły przeniknąć takie kwestie jak nieodwracalne skutki FASD, czyli zespół poalkoholowych zaburzeń płodowych. Zespół ten pojawia się u dzieci jako efekt spożywania alkoholu przez kobiety w ciąży. Sprawy zaszły jeszcze dalej, pojawiły się publikacje i komentarze na temat rzadko podejmowanego aspektu warunkującego zły stan polskiej demografii, czyli społeczne rozjeżdżanie się kobiet i mężczyzn.

ZNÓW PRZEGRZANY TEMAT

Kaczyński upiekł na tym ogniu jeszcze więcej pieczeni. Histeria w obronie rzekomo obrażanych kobiet, którą postanowili wywołać politycy, publicyści i komentatorzy opozycji, została, jak to zwykle bywa w naszych debatach, przegrzana. Tak długo opozycja próbowała wydobywać dzięki wypowiedzi Kaczyńskiego „polityczne złoto”, że zaczęła się ośmieszać. W konsekwencji media społecznościowe zostały wręcz zalane linkami do tekstów publikowanych w liberalnych mediach sygnalizujących istnienie w Polsce poważnego problemu, jakim są alkoholizm i ryzykowne picie wśród kobiet, szczególnie młodych. Dzięki temu każdy, kto chciał, mógł zobaczyć hipokryzję nie tylko opozycji, lecz także wielu opiniotwórczych kobiet. Została ona wydobyta na wierzch, ogłoszona wszem wobec i rozstrzelana śmiechem.

Obrazu zniszczenia dopełniła informacja z 14 listopada br. o 31-letniej kobiecie w ciąży, która w stanie wskazującym na znaczne spożycie rozbiła samochód, a potem urodziła pijane dziecko.

Dzień później na Przewodów spały rakiety i w ogóle wszystko poszło w zapomnienie. Oczywiście wpływu na te zbiegi okoliczności „mistrz sytuacji” już nie miał. Gdyby jednak nie zagrał, toby nie wygrał. Jak widać, szczęście sprzyja lepszym graczom.

PROBLEM Z PICIEM

Słowa Kaczyńskiego odnośnie do picia alkoholu przez kobiety warto przytoczyć zresztą w całości, ponieważ jakkolwiek w kwestii „ściśłości danych” ściśła ona nie była, to jednocześnie szybko można się zorientować, że nie zawierała tak znacznego potencjału kompromitacji, jak się zdawało opozycji.

„Jeżeli na przykład utrzyma się taki stan, że do 25. roku życia dziewczęta, młode kobiety piją tyle samo, co ich rówieśnicy, to dzieci nie będzie. Pamiętajcie, że mężczyzna, żeby popaść w alkoholizm, musi pić nadmiernie przeciętnie przez 20 lat. Jeden krócej, drugi dłużej, bo to zależy od cech osobniczych, a kobieta tylko dwa” – mówił Kaczyński. – Ale jak do 25. roku życia daje w szyję, to, trochę żartuję, ale nie jest to dobry prognostyk w tych sprawach.

Owszem, opinia w sprawie tego, kiedy popada się w alkoholizm, jest zdecydowanie anegdotyczna, ale już większa podatność organizmów kobiecych na działanie alkoholu nie jest specjalnie nowym odkryciem.

Przykładem przelicytowania były choćby działania Lewicy, która złożyła do Komisji Etyki Sejmowej wniosek o ukaranie lidera PiS. Równie głośna stała się wypowiedź pisarki Agnieszki Szpili. „Kaczyński i ten rechat, i to wszystko sprzyja temu, aby teraz podjąć taką decyzję [...] i świadomie kieruję apel do Polek i mieszkanki Polski, aby po prostu rzeczywiście zawiesić rozmnażanie się” – perorowała w TVN autorka. I kontynuowała: „To jest moment, w którym nie wygramy tej walki, nie obalimy tej władzy, jeśli rzeczywiście same nie będziemy używać naszych ciał jako narzędzi”.

Oczywiście może jeszcze daleko do tego, by mówić, że w naszej cywilizacji panuje matriarchat – w końcu feministki mają teraz ostry spór z osobami transseksualnymi o to, kto jest większą ofiarą społeczeństwa i powinien być bardziej uprzywilejowany, ale otwarta dyskusja o słabościach płci pięknej zaczyna być owiana nastrojem tabu. Coraz częściej krytyka skierowana w ich stronę jest traktowana jako obraza ich godności.

Ponowną karierę zrobił tekst opublikowany w 2013 r. na portalu telewizji TVN 24 poświęcony picu alkoholu przez kobiety, zatytułowany „Młode Polki piją jak mężczyźni”, w którym można przeczytać, że „w ostatnich latach obserwujemy [...] niepokojący trend wśród młodych kobiet, zwłaszcza między 18. a 29. rokiem życia. Coraz więcej z nich pije alkohol w dużych ilościach, czasem nawet większych w porównaniu z rówieśnikami płci męskiej. Zjawisko to odzwierciedla stopień liberalizacji norm społecznych”. Eksperti cytowani w tekście zwracali uwagę na wzrost zagrożenia ryzykownym stylem picia, tzw. binge drinking, polegającym na wypijaniu dużych ilości alkoholu w krótkim czasie.

Czy Kaczyński chciał swoją wypowiedzią zwrócić uwagę, że PiS, może nie zbyt konsekwentnie, ale jednak dąży do podnoszenia cen mocniejszych alkoholi sprzedawanych w małych butelkach? Być może – ceny wódek w „małpkach”, czyli piersiówkach do 300 ml, są coraz wyższe. Po Nowym Roku będą sięgać 10–12 zł za sztukę w porównaniu z jeszcze niedawnymi niespełna 5 zł. Choć przemysł alkoholowy narzeka, że opodatkowanie tego rodzaju produktów uderza w jego interesy, to bez wątpienia małpki generują społeczne zagrożenie. Są łatwiejsze do ukrycia w miejscu pracy niż np. butelka piwa, a równocześnie zawierają większą dawkę alkoholu. Jednym zdaniem: niosą znaczny potencjał uzależniający.

W roku 2019 na portalu wp.pl opublikowany został artykuł o alkoholizmie kobiet, w którym terapeutka Monika Dreger bez ogródek relacjonowała sprawę. „Kilka lat temu rozmawiałam z zaprzyjaźnioną panią ze sklepu. Kobiety przychodzą rano w garsonkach, wyszykowane do pracy, kupują »małpkę«, wchodzą w krzaki i piją”. Być może mamy do czynienia z jakimś rodzajem wyparcia problemu przez kobiety. Tak jak agresję wśród wielu z nich wywołuje powiedzenie, że aborcja nie jest OK, być może z analogicznym przypadkiem zetknęliśmy się w sytuacji, gdy ważny polityk publicznie zauważył istnienie problemu alkoholowego wśród Polek.

Jarosław Kaczyński kilka dni po swojej wypowiedzi postanowił się nieco wytłumaczyć i – nomen omen – trzeźwo wtedy zauważył, że „organizm mężczyzny i organizm kobiety inaczej reagują na alkohol”. – Naprawdę nie chciałem nikogo urazić. Chciałem tylko powiedzieć pewną prawdę o pewnym szkodliwym zjawisku – powiedział. I dodał: – Jestem głęboko za stuprocentowym równouprawnieniem kobiet i mężczyzn, we wszystkich dziedzinach życia, ale to nie oznacza, że kobiety mają udawać mężczyzn, a mężczyźni kobiety.

I w tym sensie prezes PiS ma rację. Negatywne efekty emancypacji kobiet, np. w postaci przejmowania przez nie złej skłonności wielu mężczyzn do pijaństwa, trzeba podać jako przyczynę niskiej diety. To bowiem jest pokłosiem coraz mniej licznych i coraz mniej trwałych związków, które tworzą kobiety i mężczyźni, a alkohol pozostaje jednym z najpoważniejszych destruktorów życia społecznego.



Łukasz Zboralski

Kobiety uważają, że to mężczyźni są faworyzowani w społeczeństwie. Na pewno nie w edukacji. Tu jest już naukowy dowód, że nauczyciele wystawiają wyższe stopnie dziewczętom. I nie ma to związku z wiedzą

Zwielu badań od dawna wiadomo, że dziewczynki i chłopcy mają różne predyspozycje. Z porównywania testów edukacyjnych prowadzonych w krajach OECD wynika, że dziewczęta osiągają średnio zawsze lepsze wyniki w naukach humanistycznych, sprawności językowej, umiejętności czytania. Chłopcy okazują się lepsi w matematyce. Przy czym im lepsi uczniowie, osiągający wyższe wyniki edukacyjne, tym te różnice są jeszcze większe.

Tylko jedno się w tym nie zgadza od lat. Bo jak to możliwe, że mężczyźni są lepsi w dziedzinach naukowych – więcej ich niż kobiet pracuje w zawodach o wysokich zarobkach – a jednocześnie przeciętnie to kobiety średnio mają lepsze oceny szkolne, więcej kobiet kończy wyższe uczelnie i średnio są one lepiej wykształcone?

KOMPETENCJE CZY PREFERENCJE?

Na to pytanie spróbowali sobie odpowiedzieć badacze, którzy swoje ustalenia opublikowali niedawno w „British Journal of Sociology of Education” (Ilaria Lievore, Moris Triventi, „Do teacher and classroom characteristics affect the way in which girls and boys are graded?”, Uniwersytet w Trydencie).

Nie byli zresztą pierwsi. W 2008 r. badacz w Izraelu udowodnił, że dziewczęta dostają wyższe stopnie w testach, gdy nauczyciel wie, kogo ocenia (w testach, w których nieznana była tożsamość, dostawały niższe oceny). Podobne badania w Szwecji pokazały, że wśród dzieci o tym samym poziomie kompetencji nauczyciele są skłonni dawać wyższe stopnie dziewczętom. Takie same wnioski płynęły z analiz dotyczących portugalskich, francuskich i niemieckich szkół

średnich. Również badania na czeskich 15-latkach wskazały faworyzowanie uczennic w zakresie nauczania języka i matematyki.

Włoscy badacze – jak można podejrzewać – nie doszli do odmiennych wniosków. Naukowcy z Uniwersytetu w Trydencie przyjrzyli się wynikom standaryzowanymi testami a ocenami wystawianymi przez nauczycieli. Porównali wyniki blisko 40 tys. uczniów klas 10 w testach językowych i matematycznych z ocenami, które uczniowie dostawali na sprawdzianach w klasach. W testach oczywiście dziewczęta radziły sobie lepiej w naukach humanistycznych, władaniu językiem i czytaniu, a chłopcy – w matematyce. Jednak gdy oceniali to nauczyciele w szkołach, to... uczennice

okazywały się lepsze we wszystkich przedmiotach. Średnia ocen z języka dziewcząt wyniosła 6,6 na 10, a chłopców 6,2. Z matematyki średnia dla dziewcząt wyniosła 6,3, a dla chłopców 5,9.

Jedno jest więc pewne. To jest cecha systemu szkolnego. Nie jakieś zaburzenie, przypadek. Uczniowie w szkole są na gorszej pozycji niż uczennice.

Pozostawało pytanie: Dlaczego? Tu włoscy badacze stawiali wiele tez, które, patrząc na dane, po kolei obalali. Zastanawiali się np., jaki wpływ mogła mieć na to płęć samego nauczyciela, posiadanie przez niego córek czy liczność klasy. Okazało się, że żaden z tych czynników w tej sprawie akurat nie był decydujący. Uczennice muszą być więc premiiowane z innego powodu.





FOT. ANDRZEJ STOK

Druga teoria mówi o czymś innym – o pewnego rodzaju rekompensacie dla kobiet. Ponieważ obecnie dużo mówi się o dyskryminacji, różnicach w zdolnościach poznawczych itd., nauczyciele mogą chcieć zawyżać oceny uczennicom, by uniknąć ich „dyskryminowania”. Mówiąc wprost – po prostu je przeceniają i robią to z rozmysłem. Czasem też mogą próbować zachęcić je do przedmiotów, z którymi standardowo mają trudniej, i dlatego dawać im np. zawyżone oceny.

– Nie znam takich badań z Polski, nie widziałem, ale to ogólnie znane fakty – mówi „Do Rzeczy” dr hab. Maciej Jakubowski, prezes Evidence Institute, były wiceminister edukacji. – Zwróć tylko uwagę, że to wciąż dotyczy stereotypów. Nieprawdziwie bardzo silnie stereotypowo postrzegamy chłopców jako lepszych w matematyce. Tymczasem w standardowych testach oni są minimalnie tylko lepsi od dziewcząt i dużo zależy od wyników w poszczególnych krajach. W wielu badaniach w Polsce wynikało, że ta różnica jest nieistotna. Z kolei istotna była różnica w czytaniu i zdolnościach językowych. Tu dziewczynki mają przewagę, ale w pewnym wieku ona przecież też zanika i wśród dorosłych tej różnicy już nie ma – wskazuje. I dodaje: – Oczywiście lepsze ocenianie dziewcząt przez nauczycieli też ma związek ze stereotypami. One są po prostu postrzegane jako grzeczniejsze, pilniejsze w nauce.

CHŁOPCY MAJĄ POD GÓRKĘ

Niezależnie od pobudek nauczycieli faworyzowanie uczennic w szkołach jest faktem. I nie kończy się na szkołach średnich, choć wówczas w grę zaczynają wchodzić już inne zależności. W październiku Adrian Mehic z Uniwersytetu w Lund w Szwecji opublikował w „Economic Letters” badanie dotyczące związku „piękna” studenta z jego wynikami nauki („Student beauty and grades under in-person and remote teaching”).

Ten doktorant z Lund prześledził losy 307 studentów inżynierii przemysłowej pierwszego i drugiego roku. Zebrał 74-osobowe jury, które oceniło atrakcyjność fizyczną tych osób. A potem sprawdził, jak kształtowały się ich oceny przed zdalnym nauczaniem i w trakcie zajęć on-line wymuszonych pandemią. Okazało się, że atrakcyjne fizycznie studentki dostawały lepsze oceny z przedmiotów takich jak biznes czy nauki humanistyczne. I... efekt ten zaniknął w pandemii, gdy nie

Uczennice lepiej wpasowują się w system szkolny i klasowy – są bardziej sumienne, spokojne i pracowite

spotykały się oko w oko z wykładowcami (warto na marginesie wtrącić, że efekt „ładnej twarzy” w przypadku mężczyzn utrzymywał się także po przejściu na nauczanie zdalne).

To wszystko ma swoje poważne konsekwencje dla chłopców. I są one oczywiste. Jeśli dziewczęta na poziomie szkół średnich są faworyzowane i oceniane lepiej, niż na to faktycznie zasługują pod względem wiedzy i umiejętności, to oznacza, że ich szanse na zajmowanie miejsc na uczelniach są wyższe niż chłopców. Trudno nie zobaczyć, że to nierówne traktowanie, które dla młodych mężczyzn tworzy bariery już na drugim poziomie edukacji. Dalej przecież są już dyplomy i uczelnie – a ładne kobiety, jak wskazuje wymienione już badanie, nadal będą tam faworyzowane – pomagające w znalezieniu zatrudnienia.

Teraz trzeba sobie odpowiedzieć na pewne trudne pytanie dotyczące tego, jak kobiety radzą sobie w życiu zawodowym. Do tej pory pojawiały się bowiem opinie ekspertów, psychologów próbujące udowodnić, że kobietom zawodowy sukces przychodzi trudniej dlatego, iż ich styl pracowania – wzmacniany przez szkołę – jest zupełnie inny. Są bowiem bardziej sumienne, mają wyższą samodyscyplinę, bardziej obawiają się popełnienia błędów. Jeśli jednak, na co przecież wskazują te badania edukacyjne, kobiety wcale nie są „lepsze” w szkole, tylko faworyzowane, to czy po prostu praca zawodowa nie weryfikuje boleśnie tej premii od nauczycieli?

Jak ten efekt szkolnego faworyzowania minimalizować? – Odpowiedź jest jedna: trzeba standaryzować ocenianie – wskazuje Jakubowski. – I już nie chodzi tylko o płęć. Każdy nauczyciel jest tylko człowiekiem i na jego ocenę ma wpływ także to, jak postrzega dziecko, jego zachowanie, ubiór. Oceny nauczycieli nie są obiektywne. Przecież jeśli ma do czynienia z krnąbrną uczennicą, to też będzie ją gorzej postrzegał. Trzeba więc dążyć do oceniania przez standaryzowane testy, którymi nie można manipulować – podpowiada.

Ostatecznie włoscy socjologowie uznali za prawdopodobne dwie hipotezy. Pierwsza tłumaczy faworyzowanie dziewcząt w wyniku ich lepszego dopasowania do systemu szkolnego. Środowisko szkolne i klasowe rzeczywiście są zdaniem badaczy bardziej przystosowane do „zachowań tradycyjnie kobiecych”. Uczennice podczas zajęć zatem idealnie wpasowują się w to, czego oczekują system oraz jego pracownik – nauczyciel. Są precyzyjne, zdyscyplinowane, spokojne i skromne. I to może mieć niebagatelny wpływ na ocenę od nauczyciela. Jest też oczywiście jeszcze inaczej – stereotypowo nauczyciel będzie postrzegał często uczennice jako te uporządkowane, grzeczne i staranne. Wówczas także będzie to rzutowało na lepsze ich ocenianie.



FOT. MATERIAŁY PRODUKOWE



Piotr Gociek

„Angielka” to już nie tylko antywestern. To wzorcowy przykład ciężkiej choroby Zachodu – samobiczowania

Zanim o serialu, kilka słów o literaturze. Na początku bowiem było słowo. Opowieść przygodowa jest wielkim mitem współczesnych społeczeństw – twierdził historyk literatury Martin Green, który swą obszerną analizę tego fenomenu rozpoczął od osobnej książki poświęconej robinsonadom. Widział bowiem w powieści Daniela Defoe o rozbitku na odległej wyspie początek nowej ery mitu. Opisywana przez niego liczba naśladownictw jest zastanawiająca. Później, w „Seven Types of Adventure Tale”, ten sam autor uważnie przyglądał się pozostałym wyróżnianym przez siebie typom opowieści przygodowej.

Czytany i przywoływany dziś zdecydowanie zbyt rzadko Martin Burgess Green interesował się czymś więcej niż literaturą popularną; ciekawiło go pogranicze literatury i polityki. Widział bowiem w rozmaitych typach opowieści przygodowej m.in. mity założycielskie mocarstw i zjawisk współczesności. Wskazywał na rolę mitu nazwanego od powieści Dumasa „trzema muszkietierami” w kształtowaniu się nowoczesnej Francji, wspomniane robinsonady uważał za symbol ekspansyjnego kapitalizmu (właściwie: indywidualnej przed-

siębiorczości), renesans sag w Niemczech XIX stulecia widział jako zjawisko nierozrwalnie związane ze zjednoczeniem kraju w 1870 r. Wreszcie „opowieść z pogranicza” („the frontiersman story”) wskazywał jako potężny mit założycielski Stanów Zjednoczonych, mit, którego popularność wykracza daleko poza Amerykę Północną. Green poświęcił mu sporo miejsca, poczynając, oczywiście, od powieści Jamesa Fenimore’a Coopera, od jego pięcioksięgu przygód Sokolego Oka.

W ekspansji Stanów Zjednoczonych, w losie milionów emigrantów budujących nowy kraj granica była najważniejsza: granica wędrująca coraz dalej, granica między światem białego człowieka a autochtona, granica między cywilizacją a światem dzikim i nieujarzmionym. Granica i to, co po obu stronach granicy. Cały gatunek westernu wywodzi się od tych pierwszych opowieści z pogranicza, nawet kiedy jego akcja rozgrywa się w czasach, gdy całe USA rozciągały się od oceanu do oceanu. Napędzają go bowiem napięcia powstałe w epoce ekspansji.

Serial „Angielka” („The English”), powstały we współpracy BBC i Amazon Prime (oglądać możemy go także w serwisie HBO Max), to doskonały przykład tego, jak amerykański mit jest dziś kwestionowany, odrzucany i oskarżany. Hugo Blick, autor scenariusza i reżyser, to Brytyjczyk. Uwaga Amerykanie, tym razem barbarzyńcy przybywają ze starego kraju, by rozdrzeć wasz mit na strzępy.

Lady Cornelia Locke (znakomita rola Emily Blunt) trafia do Ameryki, szukając zemsty. Jest rok 1890, zatem to sam środek „pożłacanego wieku” („The Gilded

Age”), okresu niebywałego rozwoju USA, które właśnie zmieniają się w światowe mocarstwo przemysłowe. Tej prosperity nie oglądamy, bo scenariusz prowadzi nas daleko na zachód, ku dawnym terytoriom indiańskim. Wojny z Indianami także się zakończyły, wiemy, kto wygrał. Ci, którzy ocalili, próbują zaadaptować się do życia wśród białych. Jest wśród nich sierżant Eli Whipp (gra go Chaske Spencer), członek plemienia Paunisów, który przez wiele lat służył w amerykańskiej kawalerii jako zwiadowca. Teraz dosyć ma wojowania, chce skorzystać z możliwości, które daje obywatelom USA Homestead Act, czyli otrzymać 160 akrów ziemi, na których będzie spokojnie gospodarzył.

DŁUG ZA OCALENIE ŻYCIA

Losy lady Locke i sierżanta Whippa zostają związane w pierwszym epizodzie sześcioczęściowej opowieści – wypadki tak się potoczą, że oboje zostaną swoimi dłużnikami za ocalenie życia. To, co następuje później, jest jednocześnie opowieścią kryminalną (szukamy wyjaśnienia zagadki „kto, jak i dlaczego” – bo Cornelia tropi człowieka, który zabił jej syna), platoniczną love story (dlaczego platoniczną jest ważnym elementem zagadki), jak i opowieścią z pogranicza, tyle że malowaną w smolistej czarnych barwach. To już nie jest nawet antywestern, w którym wszyscy byli odrznięci, brudni i źli (czy też, jak to ujmował reżyser Sergio Leone, świat pełen postaci moralnie dwuznacznych); to odrzucenie w całości mitu ekspansji, mitu nowego świata, mitu założycielskiego Ameryki. A także coś więcej: wyrzucenie do kosza logiki oraz ważnych lekcji historii.

Z jakimiż kłopotami zmaga się para głównych bohaterów? Niemal każda postać pojawiająca się na ekranie to postać odrażająca, chciwa i okrutna. Wyjątek uczyniono dla małego epizodu z lekarzem oraz dla szeryfa nowo powstającej osady w Wyoming (Roberta Marshalla gra Stephen Rea). Odrażający są żołnierze i dezenterzy, właściciele knajp, woźnice dyliżansów, właściciele ziemscy. Nawet zwykli farmerzy czy świeżo przybyli imigranci są typami podejrzanymi. Ci pierwsi, bo albo gospodarują na ziemi ukradzionej Indianom, albo są bandziorami w przebraniu. Ci drudzy, bo przybyli do nowego kraju z niewłaściwych powodów, przyczyniając się do jego tragedii. Jest w tym serialu scena, w której przywódca grupy rozmodlonych niemieckich osadników mówi, że ziemia nie należy ani do Indian, ani do rządu USA, tylko do Boga. A oni przybyli tu z bożej woli, bo gdyby Bóg tego nie chciał, to przecież by ich tu nie doprowadził.

Spójrzmy na Indian – mamy tu cztery istotne postacie. Sierżant Whipp, vel Ranny Wilk, to postać pozytywna w najlepszym typie szlachetnego dzikusa znanego z powieści Coopera, tyle że nie jest dzikusiem; bywa dużo bardziej ludzki i cywilizowany od białych przybyszów. Pojawia się na moment Indianin bandyta, który razem z białymi grasantami morduje osadników – na tle swych kumpi wygląda szlachetnie. Mamy też Indianina, który, udając farmera, żyje z rabowania wędrowców, ale jest usprawiedliwiony, bo ziemia, którą dostał od rządu, jest zbyt skalista, by ją uprawiać. I jego szefa, także Indianina, który zorganizował cały zbrodniczy biznes na większą skalę. On też jest usprawiedliwiony, bo jego bliscy zginęli 15 lat wcześniej podczas krwawej łaźni, którą Indianom zgotowali biali. Tyle że abyśmy nie mieli wątpliwości co do tego, kto ewentualnie odpowiada

za jego zbrodnicze skłonności, nosi on cały czas na szyi wielki chrześcijański krzyż.

BIAŁY JEST TRUCIZNĄ?

Dochodzimy do rzeczy najważniejszej, to znaczy jakie przesłanie konstruuje z tego wszystkiego twórca serialu. Najpierw jednak trzeba przypomnieć fakty, byśmy nie wyszli na ludzi, którzy je ignorują. Czy Indian spotkał okrutny los z rąk białego człowieka? Oczywiście. Czy Zachód był miejscem pełnym ludzi okrutnych, chciwych, bez honoru? Oczywiście, że był. Czy walka o przetrwanie, ziemię, wodę, pastwiska była krwawa? Jasne, że tak. Ale przecież nie była to cała prawda.

Z woli Hugo Blicka otrzymujemy jednak niepokojącą nadinterpretację. Kilkakrotnie słyszymy z ust bohaterów „Angielki”, że to Ameryka, dzikie miejsce, uczyniła ich gorszymi: krwawymi, morderczymi, okrutnymi. Prawdziwy nowy Amerykanin jest bestią, nawet rdzenny Amerykanin zamienił się w bestię właśnie wskutek przybycia białych. Biały jest trucizną, biały jest chorobą (pod koniec serialu – jest chorobą dosłownie). Jakie są składniki tej trucizny? Oczywiście chciwość, oczywiście religia, oczywiście chęć ekspansji.

Zabawne to trochę w ustach Brytyjczyka, to znaczy potomka imperium, które wieki wcześniej zabrało się za krwawy podbój Ameryki, kiedy jeszcze żadnych Stanów Zjednoczonych nie wymyślono. Ale zgodne jest z wymogami współczesnych mód ideologicznych, wedle których cywilizacja białego człowieka zasługuje jedynie na biczowanie. A właściwie samobiczowanie, bo to właśnie współczesna zachodnia lewica uważa za jedno ze swych naczelných zadań, czemu



REŻ. HUGO BLICK
„ANGIELKA”
AMAZON PRIME
VIDEO, BBC TWO

znakomitą książkę poświęcił Pascal Bruckner. W tomie „Tyrania skrucy. Rozważania na temat samobiczowania Zachodu” pisał: „Cały świat – Afryka, Azja, Bliski Wschód – puka do drzwi Europy i chce przekroczyć jej progi, podczas gdy państwa europejskie kiszą się we własnym wstydzie”. A tą nadmierną skłonnością już nie tylko do samobiczowania, lecz

także do autodestrukcji Zachodu nazywał wprost zepsuciem moralnym.

W ramach tego samobiczowania serial Hugo Blicka jest przykładem wręcz wzorcowym. To, co miejscowe, musi być lepsze; to, co nadeszło – musi być gorsze. Biali skazali świat i padają tego ofiarą, ale nie ma co ich żałować, bo bardziej są sprawcami. Sprawcami podwójnymi – skazili cudzą ziemię i własną duszę. Wyrazem piękna, wolności, tradycji i okazją do wzruszenia ma być scena, w której dzielny Ranny Wilk uczy Angielkę indiańskich nazw gwiazd i gwiazdozbiorów. Ona jest oczywiście zachwycona... Ale właściwie dlaczego? Czemu greckie nazwy gwiazdozbiorów miałyby być gorsze od indiańskich? Dlaczego opowieści o tym, że ziemię dał komus Manitou, mają być automatycznie lepsze od opowieści o tym, że Pan Bóg przywołał kogoś w jakieś miejsce? Dlaczego symbolem ludobójstwa w dziejach ma być biały człowiek, skoro wojska Czyngis-chana dokonały dzieła unicestwienia na dużo większą skalę, niż kiedykolwiek widziały obie Ameryki? Serial „Angielka” wpisuje się w następujące rozumienie historii: biały człowiek zawsze wszystko robił źle i z niewłaściwych powodów. Skoro tak, to przywitajmy się na powrót z logiką i dopowiedzmy naturalny ciąg dalszy: jeśli tak, to po prostu nie zasługuje na istnienie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

67 lat

historii filmu

2536 wydań

Filmopedia

FILM

od 1946 roku

ODWIEDŹ STRONĘ **filmopedia.org**
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej





FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE



Uciec, ale dokąd

rodzinnego domu, od miasteczka, z którego „to była jedyna droga wyjazdu”, od własnych problemów.

„Most” okazuje się ostatecznie nie kolejną historią o próbach wyjścia z traumy wojennej (w każdym razie – nie tylko o tym), lecz o dochodzeniu do chwili, w której zadajemy sobie pytania „Co zrobiłem dotąd ze swoim życiem?” oraz w chwili oświecenia widzimy i zaczynamy rozumieć, dlaczego podejmowaliśmy takie, a nie inne decyzje. Dla Lynsey olśnienie przyjdzie w chwili rozmowy z dawno niewidzianym członkiem rodziny (więcej nie zdradzę). To w samej bohaterce „Mostu” kryje się klucz do wyzdrowienia. Lekarze, pielęgniarki, fizjoterapeuci mogą nauczyć ją znów chodzić, ubierać się i prowadzić samochód, mogą dobrać odpowiednie leki podtrzymujące rozsypującą się psyche. Ale żeby naprawdę zmienić swoje życie, trzeba zacząć od rachunku sumienia. Trzeba oprócz wyrządzonych nam krzywd dostrzec i te, które wyrządzamy sami. ©©

Skoro Lawrence mogła dostać nominację do Oscara za „Joy”, to tym bardziej powinna ją dostać za „Most”.

Kino amerykańskie ma wspaniałą tradycję kręcenia poruszających opowieści o wojennych weteranach, od zapomnianego dziś (niestety) filmu Williama Wylera „Najlepsze lata naszego życia” poczynając; w ostatnich latach dotyczyły tego „Snajper” Eastwooda, „Cherry: Niewinność utracona” braci Russo czy „Pies” Channinga Tatum. Ale „Most” wbrew pozorom nie jest opowieścią o traumach tych, którzy z wojny wrócili: jest to opowieść o traumach tych, którzy na wojnę wyruszają. Co sprawia bowiem, że Lynsey chce jak najszybciej wyzdrowieć, by móc zaciągnąć się ponownie? Wojsko i wojna były dla niej ucieczką – od

Lynsey wróciła z misji w Afganistanie. Gdy widzimy ją na ekranie pierwszy raz, nie potrafi sama się ubierać czy chodzić, ale przede wszystkim nie robi wrażenia osoby, która miałaby jakąkolwiek ochotę do życia. Potem oglądamy jej walkę o powrót do normalności. W roli Lynsey występuje Jennifer Lawrence, której jeszcze takiej nie widzieliśmy. Hollywood najpierw kreowało ją na bohaterkę kina akcji young adult (seria „Igrzyska śmierci” oraz filmy z serii „X-Men”), a potem na skrzyżowanie seksbomby z gospodynią domową („Poradnik pozytywnego myślenia”, „Joy”). Teraz w filmie, którego była współproducentką, Lawrence ma okazję pokazać się od lepszej strony. Wychudzona, milcząca, psychicznie poturbowana – taka jest jej bohaterka.



★★★★★

REŻ. LILA NEUGEBAUER
„MOST” („CAUSEWAY”)
USA 2022

wyst. Jennifer Lawrence, Brian Tyree Henry, Linda Emond



NOWE SERIALE: „GODZINA DIABŁA”

Sześciuodcinkowy miniserial. Lucy (Jessica Raine) budzi się każdej nocy o tej samej godzinie: 3.33. Doświadcza niepokojących wizji; niektóre dotyczą jej i jej rodziny, inne zupełnie obcych ludzi. Wszystko to jest w tajemniczy sposób powiązane z Gideonem Shepherdem, seryjnym mordercą o specjalnych zdol-

nościach, którego po mistrzowsku zagrał Peter Capaldi. Aktora w brytyjskiej prasie okrzyknięto po tej kreacji „najbardziej przerażającym na świecie”. I wypada się z tym zgodzić. ©©

Piotr Gociek

„Godzina diabła” („The Devil's Hour”), Wielka Brytania 2022

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Adam Shankman „Rozczarowana” („Disenchanted”), USA 2022
- sezon 1 „1899”, Niemcy 2022
- sezon 6B „Rick i Morty” („Rick and Morty”), USA 2022

Smak zemsty

KINO

Zachodnią cywilizację ogarnęła obsesja zarcia, więc satyra na konsumpcjonizm, do tego utrzymana w konwencji czarnej komedii, wydaje się jak najbardziej na miejscu. Bokiem już nam wychodzą te gadki o kuchni organicznej, dietetycznej albo molekularnej. Czemu ludzkość do najbardziej prozaicznej czynności musi koniecznie dorobić ideologię? Mistrzowie patelni też są sfrustrowani. Guru gastronomii Julian Slovik w głębi duszy gardzi gośćmi jego kulturowej restauracji na wyspie. Obieca im niezapomniany wieczór i słowa dotrzyma. Szemrani koleś z korpo, bezwzględna recenzentka kulinarna, zblazowany gwiazdor – nikt nie znalazł się tu przypadkowo, lecz jeden element

od początku nie pasuje do układanki. Od czasu „Kucharza, złodzieja...” takiej uczt na ekranach nie widziano. Obiadokolacja u Slovika trwa cztery i pół godziny, na nasz użytek skrócono ją o ponad połowę. Kinowy debiut reżysera telewizyjnych seriali wypadł efektownie, jednak obsadzenie



★★★★★
REŻ. MARK MYLOD
„MENU”
 („THE MENU”)
USA 2022

wyst. Anya Taylor-Joy, Ralph Fiennes, Nicholas Hoult

w kluczowej roli aktora kojarzącego się z Lordem Volde-mortem, Czerwonym Smokiem i oprawcą z Płaszowa było pójściem na łatwiznę. Trochę się dziwię, że Fiennes tej propozycji nie odrzucił. Może rozbawił go pomysł, by królem dań uczynić amerykańskiego cheeseburgera. Obawiam się jednak, że niektórzy widzowie mogą ów żart potraktować śmiertelnie serio. ©

Wiesław Chełmiński



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DYLEMAT SKĄPCA



★★★★★
REŻ. RIDLEY SCOTT
„WSZYSTKIE PIENIĄDZE ŚWIATA” („ALL THE MONEY IN THE WORLD”)
USA 2017

wyst. Michelle Williams, Christopher Plummer, Mark Wahlberg

Fabryka, nawet jeśli dobrze płaci, jest kiepskim miejscem pracy dla artysty. Potwierdza to miniprzegląd hollywoodzkiej produkcji z udziałem polskich mistrzów kamery. O tym, że dla Dariusza Wolskiego wyczarować na ekranie Włochy A.D. 1973 to fraszka, przekonują już pierwsze kadry „Wszystkich pieniędzy świata”. Tym bardziej szkoda, że dreszczowiec Ridleya Scotta jest rozwlekły i przewidywalny jak pogoda w listopadzie. Fabuła grzeźnie w schematach, a odkrycie, że są na Bożym świecie rzeczy i ludzie nie do kupienia, trudno uznać za kopernikańskie. Spielberg z kolei uwierzył, że wszystkie dobre filmy zostały już nakręcone, więc wymyślanie czegoś nowego to strata czasu. W efekcie mimo wysiłków Janusza Kamińskiego „Czwarta władza” jest bladym cieniem „Wszystkich ludzi prezydenta”, a wyhodowany na komputerowych sterydach „Bardzo fajny gigant” antycznym kreskówkom Disneya do pięt nie sięga.

OBLICZE SZCZĘŚCIA

player



★★★★★
REŻ. ANEIL KARIA
„ZWARCIE” („THE SURGE”)
WIELKA BRYTANIA 2020

wyst. Ben Whishaw, Ellie Haddington, Jasmine Jobson

Film jednego aktora, ale jakiego! Gdyby o przyznawaniu Oscarów decydowały względy merytoryczne, Brytyjczyk byłby murowanym faworytem, ale jest, jak jest, więc nie dostał nawet nominacji. W „Zwarcu” oglądamy go praktycznie bez przerwy, często w dużym zbliżeniu. Mowa ciała od początku wskazuje, że bohater zbliża się do cienkiej, czerwonej linii. Sprawia to, jak można podejrzewać, suma drobnych zdarzeń. Komu bankomat nie pożarł karty, sąsiad nie hałasował pod oknem, kto nie pokłócił się z rodzicami, nie był świadkiem żenującego zachowania na weselnym bankiecie, niech pierwszy rzuci kamieniem. Jeśli się dobrze przyjrzeć, nasz świat jest miejscem trudnym do zniesienia. Paradoksalnie, im bardziej Joseph osuwa się w obłęd, tym lepiej sobie radzi. Na końcu wydaje się wręcz szczęśliwym człowiekiem. ©

recenzuje Wiesław Chełmiński

GRA TYGODNIA: „FOOTBALL MANAGER 2023”

Dla mnie najważniejszą zmianą jest uwolnienie Juve z wyłączności Konami i powrót Starej Damy do „FM” pod własną nazwą. A że każdy kibic Bianconerich przekonany jest – i to nie od tego sezonu – że pokieruje drużyną lepiej niż allenatore Allegri, z przyjemnością wzięłem ciężar

odpowiedzialności na siebie. Obiektywnie jednak największą nowością jest zauważenie w grze kibiców. Teraz także ich nastroje decydują o losie trenera. Możemy zobaczyć, czy są zadowoleni z wyników, polityki transferowej itp., sprawdzić, ilu z nich to ultrasi, ilu szalikowców,



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

a ilu zwykłych fanów zasiada na trybunach itd. „FM” dostępny jest w Game Pass. © © Radosław Wojtas
• Gatunek: manager piłkarski
• Platforma: PC, Mac, XBOX, NS, PS5 (wkrótce)
• Producent, dystrybutor: Sports Interactive, Cenega S.A.

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Izwinitie, pażałsta...

Pprzed witryną paryskiej księgarni 96 lat temu zastrzelony został Symon Petlura, wybitny ukraiński działacz niepodległościowy, przewodniczący Dyrektoriatu Ukraińskiej Republiki Ludowej na uchodźstwie, sojusznik Piłsudskiego w czasie wojny z bolszewikami. Zamordował go żydowski emigrant Szolem Szwarcbard, rzekomo w akcie zemsty za dokonane na Ukrainie pogromy Żydów. Proces zabójcy, który stał się jedną wielką kpiną ze sprawiedliwości, rozmaite jego aspekty i okoliczności z nim związane przypomniła w wydanej właśnie nakładem LTW powieści, zmarła niestety pół roku temu, Maryna Miklaszewska.

W „Procesie Szolema Szwarcbarda” nie tylko przedstawiła stosunkowo mało znane karty z dziejów ukraińskiego ruchu narodowego i XX-wiecznej historii Polski, lecz także – jak pisze we wstępie do książki Mirosław Szumiło – „metody działania sowieckich służb i komunistycznej propagandy, które doprowadziły do tego, że zabójca ukraińskiego przywódcy został okrzyknięty romantycznym mścicielem i żydowskim bohaterem narodowym, z ofiary zaś tego mordu uczyniono zbrodniarza”.

W postaci przybyłego na sprawę sądową z Polski Henryka Jurkowskiego zakamuflowała autorka Henryka Józewskiego, późniejszego wojewodę wołyńskiego, zwolennika zgodnego współdziałania Polaków i Ukraińców. W wysyłanych z Paryża listach do żony, będących nieskrępowanymi względami cenzuralnymi sprawozdaniami z procesu Szwarcbarda, pisał on m.in., że adwokat Henri Torrès, wspierany przez Żydów, komunistów, a najbardziej przez ambasadę sowiecką w Paryżu, „ustawia za barierką dla świadków crème de la crème humanistycznych autorytetów Francji”. „Nie masz



FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/FEST NEWS

pojęcia, jakie pustostowie zieje z ich przemówień. Taki na przykład profesor Langevin. Został poproszony o ekspertyzę, ale nie w dziedzinie fizyki, w której jest wybitnym specjalistą, a nawet odkrywcą, lecz w dziedzinie moralności!”. To on właśnie stwierdził z patosem, że „przez osobę Szwarcbarda na rue Racine przemówiło sumienie ludzkości”.

Taka właśnie była francuska elita, podobno intelektualna. Henryk J. tak ją podsumował: „Jakie egzaltowane arystokratki-poetki, jacy lewicowi pisarze typu Emila Zoli? Zola wstawił się niegdyś słuszną obroną niewinnego oficera Dreyfusa, wpędzając tym w głęboki kompleks olbrzymią część antydreyfusowskiego i antysemitckiego francuskiego społeczeństwa. Teraz, gloryfikując Szwarcbarda, obrócił tę warstwę o 180 stopni, pozwalając jej pozbyć się nareszcie owego kompleksu. Wszyscy oni robią tu za »pożytecznych idiotów«, jak mówi Lenin. Genialne powiedzenie. Przetrwaj długo”.

28 października 1927 r. paryski trybunał jednomyślnie uniewinnił jego zabójcę, który tego samego dnia wyszedł na wolność. Publiczność wznosiła okrzyki: „Vive la France!”.

W powieści poruszane są również kwestie odnoszące się do wojny w 1920 r., w której oddziały petlurowców do końca dotrzymały ustaleń ich atamana z Piłsudskim. Szerokim echem odbiła się np. obrona Zamościa, którą kierował płk Marko Bezruczko. To także w tym kontekście Henryk J. (Józewski) pytany był przez dziennikarza o pokój zawarty z Sowietami w Rydze:

„– Nie mogliśmy wynegocjować czegoś więcej?”

– A czy pan wie, że pokój w Rydze podpisywała delegacja polska, składająca się w większości z przeciwników polityki Józefa Piłsudskiego? Pracownicy redagowali po ukraińsku dokumenty – i dla kogo? Dla fałszywej, niby to ukraińskiej delegacji bolszewickiej! Pojęcia nie mieli o języku ukraińskim. Już w pierwszej godzinie rozmów strona polska uznała prawo Sowietów do reprezentowania rządu z Charkowa.

– Przecież wygraliśmy wojnę, mogliśmy dyktować warunki.

– Jest pewien rodzaj Polaków tak przyzwyczajonych do dominacji rosyjskiej, że źle się czują, kiedy nagle zostaną postawieni na pozycji zwycięzców. Wtedy baranieją. Wpadają w panikę i ogólnie robią wrażenie, jakby chcieli przeproszać. Izwinitie, pażałsta, że ośmieliliśmy się wygrać. Rosjanie oczywiście od razu to wykorzystują i trach! Z pokonanych stają się niemal zwycięzcami”.

Strona polska zobowiązała się wtedy do wydalenia z kraju 14 działaczy antybolszewickich, z Petlurą na czele, co Piłsudski nazwał „handlem żywym towarem”. I cóż mu potem pozostało? Po podpisaniu pokoju ryskiego pojechać do obozu petlurowców, pochylić głowę przed ukraińskimi żołnierzami i powiedzieć: „Ja was przepraszam, panowie, ja was bardzo przepraszam, tak nie miało być”.

Oj nie tak, nie tak. ©©



★★★★★

MARYNA
MIKLASZEWSKA
„PROCES
SZOLEMA
SZWARCBARDA,
MORDERCY
ATAMANĄ
SYMONA
PETLURY”
LTW,
ŁÓMIANKI 2022

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



Iga Świątek

Twoja przyszłość leży w Twoich rękach

Zabezpiecz siebie i swoją rodzinę z zaufanym partnerem PZU Życie.

#maszwplywnaswojezycie

Dowiedz się więcej na pzu.pl/maszwplywnaswojezycie





PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Konsekwencje złudzenia

Gminna klechda” o polskich filozofach – jak sam nazywa swą książkę autor – to opowieść niespodziewana, wyrosła z nieoczywistego pomysłu, by sylwetki nakreślone w tekstach dla portalu Culture.pl ocalić w formie drukowanej. Szaleńczy plan, bo przecież potarza się nam, że dziś ważne jest to, co w necie – tam są zasięgi, czytelnicy, współczesne spory, nowocześnieść. A jednak „Filozofowie (w trzech słowach)” mają szansę stać się w dorobku Piotra Nowaka pozycją ważną, jeśli nie przełomową.

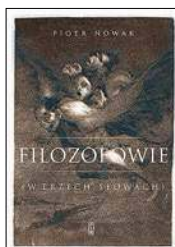
Znakomity to autor, czego dowodził w tak ważnych pracach jak „Podpis księcia. Rozważania o mocy i słabości” czy „Umieram, więc jestem”, przy okazji której okrzyknięty został „jednym z najciekawszych filozofów polskich średniego pokolenia”. „Filozofowie” to rzecz zrodzona z potrzeby porządkowania, opisywania, wspomniania (bo nie stroni i od tego); ktoś może powiedzieć, że mniej istotna od rozważań o Machiavellim czy Szekspirze (bo też w polskiej myśli czasów komunizmu wiele było pustki), ale według mnie ważna, bo może być czytana i komentowana przez szersze grono odbiorców.

Dlaczego „w trzech słowach”? Szuka Nowak kluczy do bohaterów swoich opowieści, poświęcając każdej postaci trzy kró-

ciutkie podrozdziałiki. Przy Kołakowskim: komunizm, Spinoza, Bóg. Przy Kotarbińskim: religia, poputek, osobliwość. Przy Andrzeju Walickim: Rosja, liberalizm, patriotyzm. Ocenia bezlitośnie, ocenia surowo, wytyka propagandową rolę służby reżimu, którym był Adam Schaff, „producent makulatury filozoficznej”, którego prace o dziwo – i tu dochodzimy do skrzyżowania przeszłości i przyszłości – wciąż poważnie traktowane są na Zachodzie. Po przeczytaniu rozdziału o Bogusławie Wolniewicz może z kolei uświadomić sobie niektórzy na polskiej prawicy, że go do swego panetonu przyjęli nieco... hm, bezrefleksyjnie.

Układa się ta książka w przewodnik po filozofii polskiej XX stulecia, ale jest zarazem tego stulecia historią, jest „poematem moralisty”, ale nie suchym, bo napisana została językiem pięknym i przystępnym, a przytaczane anegdoty czynią ją także pełną emocji. Puentą tego przeglądu myśli

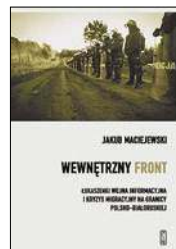
i kadru jest rozmowa Zbigniewa Janowskiego z Piotrem Nowakiem, gdzie znajdziemy sformułowania tak mocne jak „komunizm jest zatrutym owocem” oraz „dzisiejsza demokracja jest zakamuflowanym systemem niewolniczym”. Drugie wynika z pierwszego. Jak do tego doszło? Poczytajcie Nowaka. ©



★★★★★
PIOTR NOWAK
„FILOZOFOWIE
(W TRZECH
SŁOWACH)”
PIW 2022

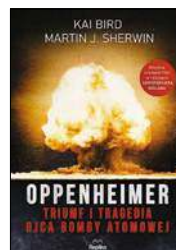
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Łukaszenki wojna informacyjna i kryzys migracyjny na granicy polsko-białoruskiej”. Wywód oparty na faktach, polscy użyteczni idioci Kremla zdemaskowani (co, niestety, nie powstrzymuje ich przed dalszym działaniem).



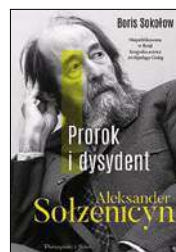
JAKUB MACIEJEWSKI
„WEWNĘTRZNY
FRONT”
PIW

„Triumf i tragedia ojca bomby atomowej”. J. Robert Oppenheimer wywarł na XX stulecie większy wpływ niż niejeden mąż stanu. „Amerykański Prometeusz” ma też dla nauki dużo większe zasługi niż rozbiście atomu.



KAI BIRD,
MARTIN J.
SHERWIN
„OPPENHEIMER”
REPLIKA

Obszerna biografia autora „Kręgu pierwszego”, postaci wciąż intrygującej. Borisa Sokołowa znamy zaś m.in. z leksykonu życia i twórczości Michaiła Bułhakowa oraz głośnej książki „Prawdy i mity wielkiej wojny ojczyznianej”.



BORIS SOKOŁÓW
„PROROK
I DYSYDENT.
ALEKSANDER
SOLŻENICYN”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA

Dwanaście opowiadań grozy zebranych z okazji 20. rocznicy powstania strony internetowej poświęconej Stephenowi Kingowi. Clive Barker, Ramsey Campbell, Jack Ketchum, no i sam King.



AUTORZY RÓŻNI
„LŚNIENIE
W CIEMNOŚCI”
ZYSK I S-KA

poleca Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA:

„ION MUD”
Lupo od 40 lat przemierza wnętrza gigantycznego statku kosmicznego. Na pokładzie mutanty walczą z droidami, niewielkie grupki ocalałych ludzi egzystują niczym w epoce kamienia łupanego, pojawiają się nowe gatunki obcego życia. Klimat jak z „Non stopu” Briana Aldissa, rysunki inspirowane twórczością



AMAURY
BÜNDGEN
„ION MUD”
WYDAWNICTWO
KURC 2022

Moebiusa, Rosińskiego czy Toppiego. Obszerna, zaskakująca i melancholijna powieść graficzna, która ucieszy nawet wymagających fanów twardej science fiction. ©

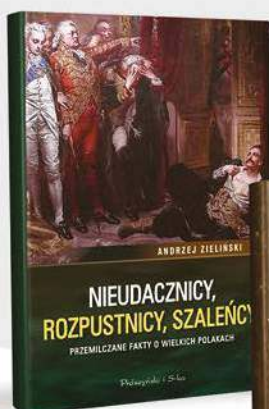
poleca Piotr Gociek

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



**W PREZENCIE
KSIĄŻKI**

ANDRZEJ ZIELIŃSKI: „NIEUDACZNICY,
ROZPUSTNICY, SZALEŃCY” ORAZ “WIELKIE
MIŁOŚCI, ROMANSE, ZAZDROŚCI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~1196 zł~~

365,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 831 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty,
przedłużymy Ci obecnie trwającą
prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 878994614e



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Putlerze, strzelaj do siebie

Twarz zbrodniarza Władimira Putina z wsuniętą w usta lufą pistoletu. Tak wygląda praca Dmytra Iva „Zestrzel się”, która stojąc przed wejściem do Zamku Ujazdowskiego w Warszawie, jest manifestem woli i życzeniem autora, podzielanym przez miażdżącą część Ukraińców i Polaków, a także zaproszeniem do wejścia do środka i obejrzenia wystawy „Ukraina. Pod innym niebem”. „Pod niebem, które stało się źródłem śmiertelnego zagrożenia. Nazwa

wystawy inspirowana jest filmem »Sky. Invasion« Daniila Revkowskiego i Andrija Raczynskiego – spektaklem nieba przeciętego rakietami, który nabiera majestatycznego, a jednocześnie straszliwego piękna” – czytamy w katalogu do wystawy. I dalej: „Rosja urządza Ukrainie raketową apokalipsę, przyznając się w ten sposób do bezsilności. Prowadzi wojnę, łamiąc zasady wojskowe – po fiasku »blitzkriegu« dopuszcza się ludobójstwa, mordując tych, którzy kochają wolność i którzy dobrze wiedzą, co znaczy nienawiść”.

Poruszająca, największa dotąd wystawa współczesnej sztuki ukraińskiej powstała w reakcji na barbarzyństwo Rosjan. Warto. ©©

GDZIE? Warszawa, Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski
KIEDY? do 12 marca 2023 r.



FOT. CSW ZAMEK UJAZDOWSKI



FOT. INFP

WIELE CZY NIEWIELE

Horror vacui (tendencja do całkowitego wypełniania pola powierzchni przedmiotu mnogością motywów ornamentalnych) w kontraście z amor vacui (operowanie dużymi, płaskimi powierzchniami bez ornamentu). Przeciwnostawne drogi myślenia, które można znaleźć w projektowaniu graficznym, ukazuje wystawa „Wiele/Niewiele. Dwie drogi myślenia w projektowaniu graficznym”. Do obejrzenia w Muzeum Narodowym w Poznaniu, a także on-line. ©©

GDZIE? Muzeum Narodowe w Poznaniu

KIEDY? do 15 stycznia 2023 r.



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Prezent dla siebie

Pprzed rokiem Springsteen sprzedał Sony Music prawa do swoich piosenek oraz oryginalne taśmy z nagraniami za rekordowe 500 mln dol. Następnie zrobił sobie przyjemność, nagrywając album ze swoimi ulubionymi piosenkami soulowymi głównie z lat 60.

Jest to dopiero druga płyta z coverami w karierze Bossa. Wszedł do studia bez zespołu towarzyszącego. Zabrał jedynie producenta Rona Aniello, który zagrał na wszystkich instrumentach. Panowie zatrudnili jedynie sekcję smyczków i instrumentów dętych. Aniello, znany m.in. ze współpracy z Shanią Twain, ze znanostwem odtworzył brzmienia wytwórni Motown, Philadelphia International czy Stax. Bruce ze smakiem wybrał 15 nieoczywi-

stych piosenek z repertuaru m.in. Temptations, Williama Bella czy Four Tops.

Mówność Springsteena do soulu nie tylko była znana, lecz także jej wpływ można odnaleźć w jego utworach. 74-letni muzyk był świadom swych ograniczeń głosowych, ale wiedział, jak wydobyć z gardła soulowy blask. Mimo to te świetnie brzmiące, wystudiowane cyfrowe cuda sprawiają wrażenie pozbawionych powietrza. Niestety, ten dwuosobowy show pokazał, że bez młodzieńczych głosów i muzyków grających wspólnie w studiu nie da się odtworzyć dawnej magii. Springsteen i Aniello niewątpliwie bawili się świetnie podczas nagrywania, ale po wysłuchaniu płyty natychmiast zapragnąłem posłuchać oryginałów. ©©



★★★★★
BRUCE SPRINGSTEEN
„ONLY THE STRONG SURVIVE”
SONY



★★★★★
TRYTONY
„TAŃCE BYDGOSKIE”
MZM
Debiutancka płyta bydgoskiego

trio z 1992 r., która zapoczątkowała yassową rewolucję. Ten jazz a nie jazz był wichrem artystycznej wolności, który niebawem przyniósł przełomowe albumy Miłości, Łoskotu i Arhythmic Perfection. Po 30 latach płyta brzmi wciąż odkrywco.



★★★★★
EZRA COLLECTIVE
„WHERE I'M MEANT TO BE”
PARTISAN
Na drugim albumie

londyński kolektyw z powodzeniem łączy potężne dawki jazz-funku ze swingującym afrobeatem, sałsą i soulem. Imprezowe rytmy zderzają się z dudniącym saksofonem, funkowymi bitami, natarczywą linią basu i szaleńczym fortepianem. Zażławiła płyta. ©©



Kazimierz Gzowski



Rudolf Modzelewski



Ernest Malinowski



Gabriel Narutowicz

Polscy architekci oraz konstruktorzy dróg, kolei i mostów



Stefan Kurpion



Stanisław Noskowski



Jan Koszycki

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI”



Ministerstwo
Edukacji i Nauki

eprasa.pl 878994614e



Z prof. Bolesławem Orłowskim,
historykiem techniki
rozmawia Piotr Włoczyk

Polskie mosty do przyszłości



PIOTR WŁOCZYK: W grudniu będziemy wspominali 100. rocznicę tragicznej śmierci Gabriela Narutowicza. Polityka nie była jednak jego głównym żywiołem?

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI: Narutowicz to bardzo duże nazwisko w historii techniki na Zachodzie. Po jego śmierci wydano nawet w Szwajcarii książkę pamiątkową z wieloma artykułami opisującymi jego osiągnięcia, również naukowe – był on bowiem profesorem politechniki w Zurychu.

Narutowicz studiował matematykę i fizykę w Petersburgu, a do Szwajcarii trafił w młodym wieku z powodu gruźlicy. Jego rodzina uznała, że najlepszym sposobem leczenia będzie właśnie pobyt kuracyjny w Szwajcarii. Do zaboru rosyjskiego nie mógł już wrócić, ponieważ w czasie studiów udzielił pomocy dia-

łaczowi socjalistycznemu I Proletariatu Aleksandrowi Dębskiemu, przez co naraził się władzom rosyjskim. Narutowicz zdobył w Szwajcarii dyplom inżynierski i wyspecjalizował się w zakresie budownictwa wodnego.

Czyli znał się – jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli – na zielonych źródłach energii.

Tak, Narutowicz był pionierem budowy elektrowni wodnych w Europie. W Ameryce takie instalacje powstawały już wcześniej, ale na Starym Kontynencie Narutowicz należał do pierwszych propagatorów tych rozwiązań. Przyszły prezydent w ciekawych okolicznościach objął katedrę w Zurychu. Początkowo bardzo się przed tym wzbierał. Zwykł bowiem powtarzać, że inżynier ma tę przyjemność, co Bóg – tworzy coś

nowego. Nie lubił wyklądać, ale wobec argumentu, że jest najlepszym specjalistą w tej dziedzinie, zdecydował się rozpocząć pracę na uczelni. Nawiasem mówiąc, to było bardzo charakterystyczne dla niego – miał bardzo silne poczucie obowiązku.

Podobnie było w polityce. Narutowicz początkowo nie chciał kandydować na urząd prezydenta, ale ostatecznie uznał, że wobec takiej, a nie innej sytuacji politycznej musi się podjąć tej roli.

Wcześniej był natomiast przez krótki czas ministrem spraw zagranicznych. Dlaczego? Ponieważ był znany w Europie i miał odpowiednią renomę, natomiast wielu polityków na Zachodzie miało wątpliwości, czy Polska nie jest przypadkiem „państwem sezonowym”. Narutowicz robił więc Polsce protekcję.



Most Kierbedzia w Warszawie od strony lewego brzegu Wisły z widocznym wjazdem na most, lata 1932–1935. Powyżej: portret Stanisława Kierbedzia, 1865 r.

FOT. NAC, BIBLIOTEKA NARODOWA

Gdzie można oglądać jego najważniejsze projekty?

Narutowicz budował elektrownie wodne nie tylko w Szwajcarii, lecz także we Francji, w Austrii, konsultował takie projekty również dla Włoch i Hiszpanii. W środowisku inżynierskim znany był właściwie w całej Europie. Jego najśłynniejszym dziełem była elektrownia w Mühlebergu pod Bernem. Była to wówczas największa elektrownia wodna w Europie. Plany miał dalekosiężne i bardzo ambitne. Postulował przykładowo wykorzystanie wody z lodowców do pozyskiwania energii. Zrealizowano to dopiero wiele lat po jego śmierci. Był to człowiek wybitny, więc nie dziwny się, że Ignacy Mościcki specjalnie pojechał do Szwajcarii, by ściągnąć go do Polski. Nawiasem mówiąc, Mościcki wcześniej

również działał w Szwajcarii. Narutowicz początkowo wzbraniał się, mówił, że nie może wracać do Polski, bo ma zamówienia opiewające na miliony franków. Mościcki odpowiedział na to krótko: „Ale Polska nie co roku powstaje”. W ten sposób nakłonił Narutowicza do powrotu i pomocy w odbudowie państwa. Po przyjeździe do Polski Narutowicz był w kilku rządach ministrem robót publicznych. Jego ministerialna pensja wynosiła mniej więcej tyle, ile płać swojej gospozi w Zurychu.

Swoją drogą to ciekawe, że w II RP trafili nam się prezydenci, którzy byli doskonałymi inżynierami.

Mościcki nie udzielał się wprawdzie w inżynierii lądowej, ale był ważnym wynalazcą. Jego największym osiągnięciem jest przemysłowa produkcja kwasu azotowego z „niczego”, czyli z powietrza atmosferycznego. Nawozy azotowe stały się bardzo ważnym ogniwem branży spożywczej, a kwas azotowy wykorzystywany był również do produkcji materiałów wybuchowych. Chociaż dziś już się raczej o tym nie pamięta, to II RP miała szczęście do kilkunastu wielkich nazwisk, które weszły do historii techniki.

Na czele tej listy będzie zapewne inż. Stefan Bryła?

Oczywiście. To od niego zaczęła się spawalnicza rewolucja w światowym budownictwie, choć były tu pewne obawy. Nity, którymi wówczas łączono konstrukcje stalowe, można było łatwo skontrolować, a tymczasem w spawalnictwie nie było początkowo takiej możliwości. Dopiero później, w połowie XX w., pojawiła się możliwość prześwietlania konstrukcji spawanych.

Dlaczego innowacja Bryły była interesująca dla świata budownictwa?

Przede wszystkim dlatego, że była tańsza od nitowania. W procesie budowy używano po prostu mniej materiału. Bryła stworzył wiele takich konstrukcji. Jego dziełem jest m.in. pierwszy na świecie drogowy most spawany na rzece Słudwi w Maurzycach niedaleko Łowicza, a także konstrukcja wieżowca Prudential w Warszawie. Budynek ten został trafiony w czasie powstania warszawskiego

120 pociskami artyleryjskimi i mimo to nie zawalił się.

Co ciekawe, Bryła był odważny nie tylko w kwestiach konstrukcyjnych, lecz także w życiu codziennym – w czasie okupacji działał w podziemiu.

Wiedział, jak budować mocne konstrukcje, ale znał się również na tym, jak je niszczyć. To właśnie on stworzył dla AK broszurę pt. „Jak niszczyć stalowe mosty”.

Niestety za swoją służbę dla Polski zapłacił najwyższą cenę – w 1943 r. został rozstrzelany przez Niemców.

Kolejnym ważnym nazwiskiem wśród inżynierów działających w II RP jest Aleksander Wasiutyński. Był on wybitnym specjalistą od kolei, a przed odrodzeniem Polski swoim intelektem przyniósł wiele zaszczytów Rosji. W Warszawie stworzył słynną linię średnicową, która wówczas spełniała w stolicy rolę metra. Wasiutyński jako pierwszy przeprowadził doświadczalne badania pracy rzeczywistej toru kolejowego podczas eksploatacji. Robił to we Włochach pod Warszawą na linii warszawsko-wiedeńskiej. Za przedstawienie wyników tych badań na Wystawie Powszechnej w Paryżu w 1900 r. dostał złoty medal. To było bardzo duże nazwisko w europejskim świecie techniki.

Jednak bez wątpienia to Ernest Malinowski jest najsłynniejszym polskim inżynierem kolejowym. Dlaczego ten geniusz inżynierii lądowej zainteresował się Andami?

Jako dziecko Malinowski wyjechał z ojcem po powstaniu listopadowym do Paryża. Ukończył tam liceum, a następ-



Feliks Jasiński, przed 1899 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

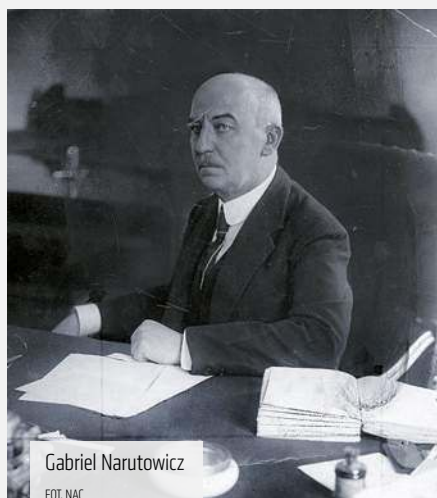


Najsłynniejsze dzieło Gabriela Narutowicza – elektrownia w Mühlebergu pod Bernem. Była to wówczas największa elektrownia wodna w Europie. FOT. CHRISTIAN KLEIS/CC BY-SA 3.0

nie Szkołę Dróg i Mostów (École nationale des ponts et chaussées), która była wówczas najlepszą uczelnią tego typu na świecie. Początkowo pracował dla francuskich firm rządowych. Był jednak pewien problem: obcokrajowcy pracujący w nich nie mieli prawa piastować stanowisk inżynierskich. Malinowski nie mógł więc tam w pełni rozwinąć skrzydeł, ale tak sięłożyło dla niego szczęśliwie, że pracujący we Francji dyplomata z Peru zakontraktował go do swojego kraju jako inżyniera rządowego. W ten sposób Malinowski trafił do Ameryki Południowej. Zobaczył tam, jak wielkie są potrzeby, jeżeli chodzi o transport kolejowy. Peru było zaludnione głównie wzdłuż wybrzeża Pacyfiku. Łańcuch Andów oddzielał wybrzeże od wnętrza kraju, gdzie wprawdzie żyło niewielu mieszkańców, ale gdzie znajdowały się ogromne zasoby naturalne, m.in. węgla i drewna. Całe to bogactwo było w pewnym sensie uwieszone. Proszę sobie wyobrazić, że Peru sprowadzało drewno budulcowe z Kalifornii, a węgiel aż z Anglii! Malinowski uznał, że trzeba to zmienić. W 1859 r. przedstawił peruwiańskiemu rządowi projekt budowy linii kolejowej przez Andy.

Jego plany wyglądały jak kompletne mrzonki?

W zasadzie tak. Andy wydawały się poza zasięgiem kolei i w związku z tym rząd nie brał projektu Malinowskiego na poważnie pod uwagę. Na szczęście dekadę później, w 1869 r., do Peru przyjechał nieco ekscentryczny amerykański biznesmen Henry Meiggs. Wcześniej budował on drogi, koleje i mosty w Chile. Gdy zobaczył projekt Malinowskiego, stwierdził, że to wcale nie jest szaleństwo i postanowił go



zrealizować. Dogadał się z rządem peruwiańskim, przekupił kogo trzeba i w roku 1871 rozpoczęto budowę Centralnej Kolei Transandyjskiej. W 1875 r. projekt ten był już właściwie ukończony, gdy w Peru uderzył kryzys, a na domiar złego umarł Meiggs. Budowę dokończyło Peruvian Corporation, brytyjskie przedsiębiorstwo, którego Malinowski został doradcą.

Malinowski był nie tylko projektantem Centralnej Kolei Transandyjskiej, lecz także jej budowniczym. Warunki budowy były ekstremalnie trudne, dużo trudniejsze od linii kolejowych, które budowano w Alpach. Centralna Kolej Transandyjska rozpoczyna swój bieg na poziomie morza, a następnie wspina się na wysokość ok. 4700 m. Malinowski zaproponował kilka innowacji. Jedną z nich było „zygzakowanie” – składy kolejowe miały lokomotywy na obu końcach i pociąg raz jechał w lewo, a raz w prawo, za każdym razem wspinając się coraz wyżej. Ten sys-

tem był bardzo komplementowany m.in. w prestiżowym czasopiśmie brytyjskim „Engineering”. Na trasie kolei trzeba było wybudować kilkadziesiąt tuneli i wiaduktów. To było wyjątkowo trudne wyzwanie. Przykładowo wiadukt Verrugas opierał się na słupie wysokim na 77 m... Linie kolejową wciąż trzeba było naprawiać, ponieważ niszczyły ją lawiny. Jak widać, to było bardzo trudne środowisko pracy.

Jak projekt Malinowskiego wpłynął na przyszłość Peru?

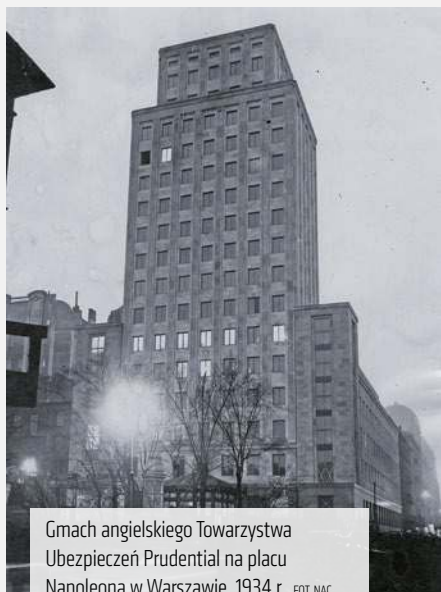
Kraj ten miał się stać dzięki kolei potęgą gospodarczą, ale niewiele wyszło z tych planów. W latach 80. wybuchła tzw. wojna o saletrę między Peru i Boliwią a Chile. Malinowski musiał uciekać do Ekwadoru, ponieważ był uważany za człowieka z elity władzy i mógł się spodziewać zemsty ze strony Chilijczyków.

Nieco zapomnianą zasługą Malinowskiego jest to, że ściągnął do Peru kilku nastu polskich inżynierów, którzy działali prężnie w tym kraju. Jeden z nich, Władysław Kluger, stworzył niezwykle ciekawy projekt nawadniania południowej części Peru kanałem przez Andy. Inny polski inżynier ściągnięty przez Malinowskiego, Edward Jan Habich, jeden z przywódców powstania styczniowego, założył w Limie pierwszą politechnikę w duchu europejskim. Zresztą potomkowie Habicha o tym nazwisku do tej pory żyją w Peru i należą do elity władzy. Peru było za sprawą Malinowskiego jednym z największych ośrodków polskiej inżynierii na świecie. Większy istniał tylko w Turcji.

Co Imperium Osmańskie zawdzięczało Polakom?

Polscy inżynierowie zaczęli tam trafiać w większej liczbie po powstaniu węgierskim w 1849 r., a następnie po powstaniu styczniowym. W Imperium Osmańskim pracowało kilkuset polskich inżynierów. W latach 90. napisałem książkę „Osiagnięcia inżynierskie Wielkiej Emigracji”, w której jest duży rozdział na temat wkładu Polaków w unowocześnienie Turcji.

Ci Polacy, którzy trafili tam po powstaniu węgierskim, zaczęli budować pierwsze w Turcji linie telegraficzne. Działo się to w czasie wojny krymskiej – łączyli w ten sposób wojenne fronty ze Stambułem. Polacy budowali w Turcji także linie kolejowe. Jednym z Polaków, którzy trafili tam po powstaniu styczniowym, był Zygmunt Mineyko. Ostatecznie Mineyko trafił do Grecji i objął tam kierownictwo nad departamentem hydrotechnicznym



Gmach angielskiego Towarzystwa Ubezpieczeń Prudential na placu Napoleona w Warszawie, 1934 r. FOT. NAC



Most żelazny na Słudwi pod Łowiczem. Projekt profesora Politechniki Lwowskiej dr. inż. Stefana Bryły, 1929 r. FOT. NAC



Doktor inżynier Stefan Bryła
FOT. NAC

w ministerstwie robót publicznych. Nawiasem mówiąc, jest on przodkiem dwóch greckich premierów – Jeorjosa i Jorgosa Papandreu.

Chyba nie będzie wielką przesadą, jeżeli powiemy, że Rudolf Modrzejewski pomógł „pospinać” Stany Zjednoczone?

Był on bardzo uzdolniony matematycznie i długo zastanawiał się, czy zostać inżynierem czy może jednak muzykiem. Wybrał ten pierwszy zawód i został

jednym z najważniejszych na świecie budowniczych mostów. W sumie zbudował w Ameryce 30 wielkich mostów. Był bardzo znaną postacią w USA i tamtejsza prasa z zachwytem reklamowała jego dokonania. Co ciekawe, ukończył tę samą paryską szkołę techniczną, co Ernest Malinowski. Modrzejewski zasłynął jako twórca nowoczesnych mostów wiszących o bardzo dużych rozpiętościach. Wiele jego konstrukcji jest wciąż użytkowana, a bodaj najbardziej znanym mostem Modrzejewskiego jest filadelfijski Benjamin Franklin Bridge, który niemal od 100 lat służy mieszkańcom Filadelfii.

Uczniem Modrzejewskiego był Joseph Strauss, który stworzył najbardziej ikoniczny most w USA.

Zauważyłem, że wielu naszych rodaków niejako z „rozpędu” dopisuje do osiągnięć Modrzejewskiego również most Golden Gate w San Francisco, ale jego autorem był oczywiście Strauss, który z powodzeniem stosował rozwiązania wymyślone przez polskiego inżyniera.

W Kanadzie z kolei wielkie mosty budował Kazimierz Gzowski.

To bardzo ciekawa postać. Gzowski początkowo marzył o karierze prawnika. Trafił on do Kanady w grupie uczestników powstania listopadowego, która została internowana przez Austriaków. Rosjanie naciskali na Wiedeń, by wydał ich w rosyjskie ręce, natomiast Francuzi nalegali, by wypuścić Polaków. Austriacy nie wiedzieli do końca, co z nimi zrobić, więc załadowali 300 Polaków na statek i wywieźli ich do USA, dając każdemu po 50 dol. na start. Modrzejewski trafił potem do Kanady. Zasłynął z budowy mostów w prowincji Ontario, a potem wziął się za budowę linii kolejowych. Zbudował dwa odcinki Grand Trunk Railway, która spięta ten ogromny kraj. Gzowski jako pierwszy zaczął w Toronto wytwarzać szyny kolejowe. To był wyjątkowy budowniczy. Kiedy zbudował jeden ze swoich mostów, poprosił garnizon wojskowy o przejście po nim z armatami, by przetestować jego wytrzymałość. Dowódca garnizonu zgodził się pod warunkiem, że Gzowski stanie pod mostem. Nasz inżynier nie miał z tym żadnego problemu – był absolutnie pewien, że nic mu nie grozi.

Z ciekawych konstrukcji Gzowskiego można wymienić most przez Niagara pomiędzy USA a Kanadą. Gzowski był bardzo dumny z tego projektu. Był on bogatym człowiekiem i finansował co roku wyjazdy reprezentacji strzeleckiej Kanady

na igrzyska imperialne do Londynu. Stał się tam znaną osobistością. Królowa Wiktoria uczyniła go swoim pierwszym honorowym adiutantem pochodzącym z dominiów. Dzięki temu mógł się tytułować „Sir”. W 1963 r., w 100. rocznicę urodzin Gzowskiego, kanadyjska poczta wydała znaczek z jego podobizną i lokomotywą w tle.

To ciekawe, że Polacy tak mocno się wyspecjalizowali w inżynierii kolejowej.

Kolej była wtedy głównym motorem napędowym gospodarek. Całe mostownictwo było projektowane właśnie pod kątem pociągów. Mosty żelazne kratowe, mocne i stosunkowo tanie, wprowadzał w Rosji Stanisław Kierbedź, który w Polsce słynie z warszawskiego mostu swojego imienia.

W Rosji również Polacy w niemalym stopniu przyczynili się do rozwoju dróg żelaznych.

Przy budowie kolei transsyberyjskiej 20 proc. inżynierów na kierowniczych stanowiskach stanowili Polacy. Kierbedź w rosyjskim rządzie odpowiadał za komunikację, ale z powodu narodowości i wyznawanej religii nie mógł mieć oficjalnego tytułu ministra. Co ciekawe, bodaj najważniejszym polskim inżynierem w Rosji był bratanek Kierbedzia, również Stanisław, który budował linię wschodniochińską. Konstruował ją w pośpiechu tuż przed wojną z Japonią. Inny z polskich inżynierów działających w Rosji, Feliks Jasiński, pracował przy budowie kolei Petersburg – Moskwa, którą przebudowywano pod kątem wyższych prędkości i obciążeń. Zbadał wówczas naukowo zjawisko wybooczenia, co okazało się po latach bardzo przydatne w pracy inżynierów projektujących... samoloty.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Bolesław Orłowski

(ur. 1934 r.) jest emerytowanym pracownikiem Instytutu Historii Nauki Polskiej Akademii Nauk, autorem m.in. „Historii techniki polskiej”, „Powszechnej historii techniki”, a także „Pocztu wielkich inżynierów”. W 2015 r. ukazał się „Polski wkład w przyrodniczo-naukę i technikę. Słownik polskich i związanych z Polską odkrywców, wynalazców oraz pionierów nauk matematyczno-przyrodniczych i techniki” wydany pod redakcją naukową prof. Orłowskiego.

Wojciech Simon

Ernest Malinowski to jeden z najwybitniejszych polskich inżynierów. Pomysłodawca, konstruktor i budowniczy uznawanej za cud techniki inżynieryjnej Centralnej Kolei Transandyjskiej, która przez dekady była najwyżej położoną linią kolejową na świecie

W ybitny inżynier, pod którego kierunkiem w XIX w. szyny kolejowe w Peru ułożono wyżej, niż sięga szczyt Mont Blanc, na świat przyszedł 5 stycznia 1818 r. w rodzinie szlacheckiej w Sewerynach na Wołyniu. Syn zamożnego ziemianina Jakuba Malinowskiego, który dzielnie walczył z Rosjanami, po powstaniu listopadowym wraz z ojcem wyemigrował do Paryża. W stolicy Francji Ernest Malinowski ukończył elitarną paryską École des Ponts et Chaussées (Szkołę Dróg i Mostów). Od 1839 r. pracował we francuskim państwowym Korpusie Dróg i Mostów. Brał udział w pracach nad konstrukcją dróg i mostów, zajmował się też budową kolei na trasie Paryż – Hawr, uczestniczył również w pracach inżynieryjnych w Algierii.

PRAWDZIWE SŁOŃCE PERU

W 1852 r. podpisał w Paryżu kontrakt jako inżynier w służbie rządowej Peru, którego władze postanowiły sprowadzić specjalistów z Europy. Jego głównym zadaniem było sprawowanie nadzoru nad rozbudową peruwiańskiej infrastruktury w celu pobudzenia lokalnej gospodarki. W Ameryce Południowej inżynier z Polski zajmował się więc wieloma różnymi projektami. Nadzorował budowę dróg, mostów, linii kolejowych. Kierował też trudną naprawą zniszczonych podczas wojny z Hiszpanią bruków w pięknym mieście Arequipa – wybrany przez polskiego inżyniera materiał musiał być bowiem wystarczająco twardy, a także harmonijnie wpisywać się w architekturę miasta.

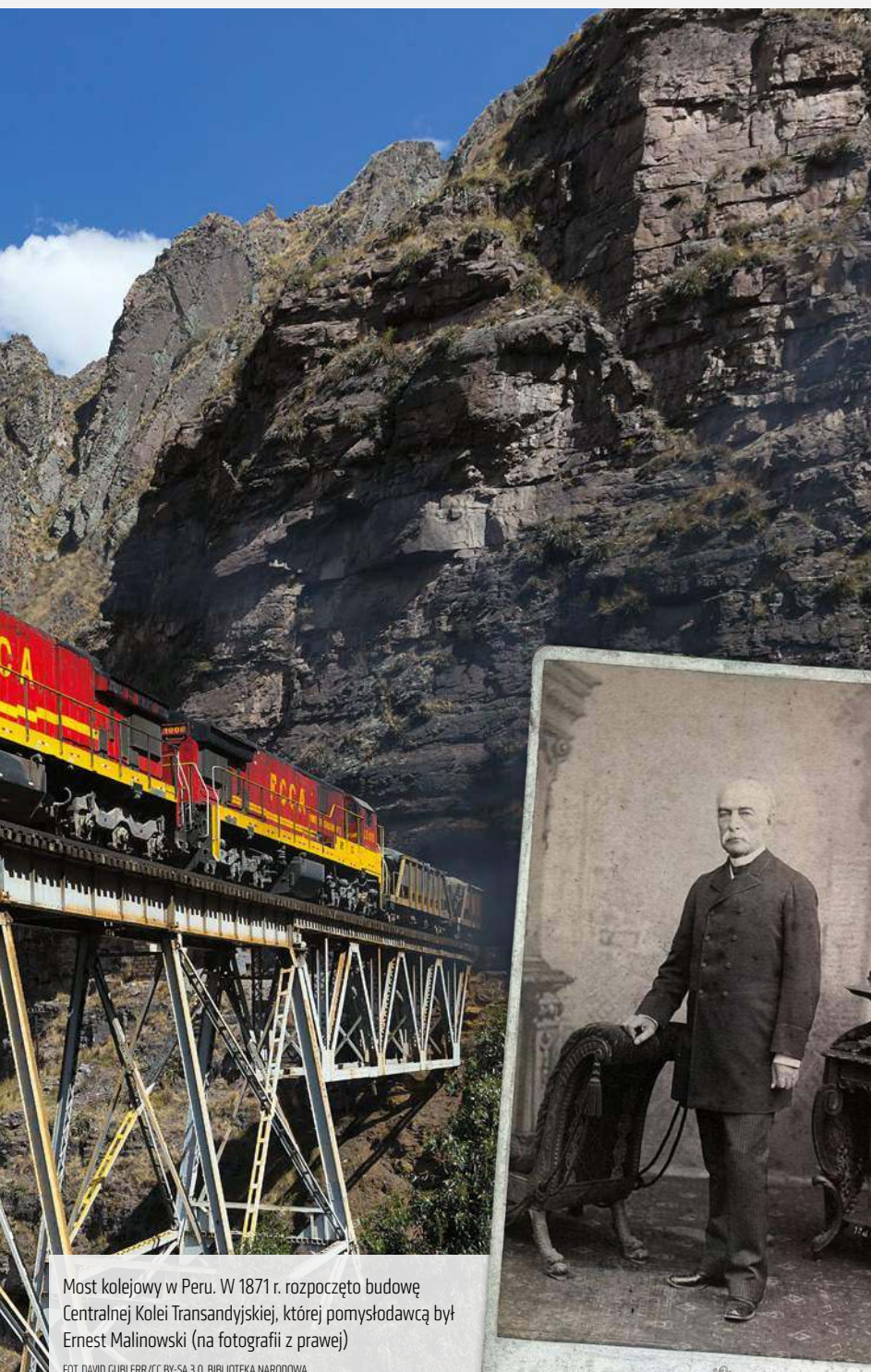
Malinowski ściągnął również do Ameryki Południowej innych polskich absolwentów paryskiej uczelni, którzy realizowali ambitne projekty infrastrukturalne.

Konstruktor kolei w chmurach



Podjął również wysiłki zmierzające do założenia w stolicy Peru uczelni wyższej kształcącej miejscowych inżynierów. Brał też udział w pracach nad modernizacją mennicy w Limie. W 1864 r. Ernest Malinowski brał udział w projektowaniu linii kolejowej z portu Chimbote do górskiej miejscowości Huaraz. Sukces projektu przyniósł mu sławę i dał doświadczenie konieczne do realizacji jeszcze bardziej

ambitnych przedsięwzięć. Zdobył tak duże zaufanie lokalnych władz, że gdy wybuchł konflikt zbrojny między Hiszpanią a Peru, rząd powierzył Polakowi obronę strategicznego portu Callao. Polski inżynier wprowadził wówczas wiele innowacji wzmacniających umocnienia obronne i zwiększające pole rażenia miejscowych armat. Dzięki niemu Peruwiańczycy wygrali tę bitwę, a Malinowski



Most kolejowy w Peru. W 1871 r. rozpoczęto budowę Centralnej Kolei Transandyjskiej, której pomysłodawcą był Ernest Malinowski (na fotografii z prawej)

FOT. DAVID GUBLERR/CC BY-SA 3.0, BIBLIOTEKA NARODOWA

otrzymał honorowe obywatelstwo i tytuł bohatera kraju.

NIEMOŻLIWE? A JEDNAK

Dziełem życia Ernesta Malinowskiego było przedsięwzięcie, które zdaniem wielu mu współczesnych było kompletnie niemożliwe do zrealizowania. W 1859 r. inżynier z Polski przedstawił władzom Peru niezwykle ambitny

projekt budowy linii kolejowej przez Andy. I chociaż pomysł zakładał połączenie stolicy z zasobnym w minerały regionem Cerro de Pasco oraz żyzną doliną Jauja, co miało umożliwić sprawny transport dóbr i znacząco przyspieszyć rozwój gospodarczy kraju, to projekt Polaka wcale nie zyskał natychmiastowej aprobaty. Przeciwnie,

Dziełem życia Ernesta Malinowskiego było przedsięwzięcie, które zdaniem wielu mu współczesnych było kompletnie niemożliwe do zrealizowania

przez wiele lat był uważany za niemożliwy do zrealizowania. Dopiero po kilkunastu latach przystąpiono do realizacji pomysłu wybitnego Polaka.

Ernest Malinowski był jednak nie tylko projektantem kolei w chmurach, lecz także jednym z jej kluczowych budowniczych. A było to

bardzo ambitne zadanie.

Centralna Kolej Transandyjska (Ferrocarril Central del Perú) była najwyżej położoną linią kolejową na świecie do 2006 r., a więc do czasu otwarcia kolejowej trasy wiodącej do Tybetu.

Już podczas przygotowań do rozpoczęcia prac polski inżynier kazał wielokrotnie spuszczać się na linach do przepaści, aby dokładnie sprawdzić warunki posadowienia elementów konstrukcyjnych i jak najlepiej opracować plan realizacji tego inżynierskiego majstersztyku. Gdy w styczniu roku 1870 w Callao rozpoczęto oficjalnie budowę linii kolejowej Lima – La Oroya, do wykonania była trasa licząca niemal 220 km, ciągnąca się od gorącego wybrzeża do krainy andyjskich śniegów.

Etap biegnący w dolinie rzeki Rímac i kończący się na stacji Chosicana położonej na wysokości 860 m n.p.m. przebiegł bez większych problemów. Im wyżej trzeba było budować, tym większe

kłopoty napotykali jednak robotnicy. Na trasie „podniebnej” linii kolejowej robotnicy ręcznie wykuli ponad 60 tuneli o łącznej długości 6 km. Najdłuższy z nich ma aż 1117 m i jest położony najwyżej na świecie (4781 m n.p.m.). Kolejny rekord – najwyżej położonego

■ węzła kolejowego na świecie – pobił element trasy wykonany na przełęczy Ticlio na wysokości aż 4818 m n.p.m.

Wybudowano również kilkadziesiąt wiaduktów oraz mostów, które zamawiano m.in. w Stanach Zjednoczonych, a także we francuskim przedsiębiorstwie Gustawa Eiffela. Most El Infiernillo (Piekiełko) powstał w kanionie między stacjami Matucana (2400 m n.p.m.) a San Mateo (3200 m n.p.m.). Niezwykle imponujący jest również wiadukt nad wąwozem Verrugas – konstrukcja zbudowana na wysokości ok. 1800 m n.p.m. mierzy 175 m długości i opiera się na słupach ze stalowych kratownic, z których najdłuższy ma 77 m. „Ciekawym był sposób ustawienia tego mostu. Rusztowanie 80 metrów wysokości wydawało się nieco za trudnym i kosztownym, zwłaszcza z braku drzewa na miejscu. Wynajęto majtków okrętowych, przyzwyczajonych do pięcia się po linach. Przepaść była nie tylko głęboka, ale stroma i trudna do przejścia nawet dla pieszego człowieka w tym miejscu. Zręczny Indianin przerzucił z procy kamyk z jednego brzegu przepaści na drugi: do tego kamyka był przywiązany szpagat, do tego szpagatu grubszy sznurek, a do tego ostatniego lina stalowa. Kamyk uchwycony pod drugiej stronie pozwolił pociągnąć szpagat, za nim sznurek, a za tym linę stalową. Kilkanaście takich lin utworzyło pomost tzw. hamakowy, który posłużył do dalszej budowy” – wspominał Władysław Folkierski, polski matematyk, inżynier kolejowy i przyjaciel Malinowskiego. Aby projekt mógł się udać, podkłady kolejowe wykonywano z niezwykle trwałej sosny kalifornijskiej. Wśród robotników byli zaś m.in. marynarze oraz lokalni Indianie, dzięki którym szybciej i sprawniej szły manewrowanie linami na dużych wysokościach oraz budowa wiszących kładek nad przepaściami.

Z PORTU DO NIEBA

Strome zbocza wymusiły wprowadzenie innowacyjnych rozwiązań, takich jak choćby zygzakowanie – umieszczone po obu końcach składu raz ciągną wagony, raz pchają je przed siebie, dzięki czemu pociąg raz jedzie w jednym kierunku, raz w drugim, sprawnie „wspinając się” na coraz większą wysokość. Mimo że sposób wymyślony przez polskiego inżyniera był bardzo dobry, to nawet wycinanie „zygzaków” w skalnych półkach było nie lada wyzwaniem. Ernest Malinowski

Ernest Malinowski stał się bohaterem narodowym Peru. Na kartach historii zapisał się bowiem jako inżynier, którego projekt wsparł gospodarkę tego państwa i komunikacyjnie zjednoczył podzielony przez Andy kraj

wykorzystał też inne techniczne pomysły, jak zwiększenie mocy parowozów czy konstruowanie wagonów ośmiokółowych.

Problemem dla budowniczych były nie tylko wysokości, strome zbocza i przepaści, lecz także śmiertelnie groźne śnieżyce, niszczycielskie lawiny śnieżne i kamienne, a także wichury oraz mgły. A przecież niektóre elementy konstrukcji trzeba było umieścić na wysokości niemal 5000 m n.p.m. Na górę cały sprzęt, narzędzia, szyny, stalowe elementy mostów oraz dynamit transportowano na barkach tysięcy robotników oraz grzbietach mułów, z których wiele nagle kończyło żywot, spadając w przepaść. Tragicznie zginęło również wielu robotników. Liczący ponad 140 km długości pierwszy odcinek z Callao do osady Chicla położonej na wysokości 4100 m n.p.m. oddano do eksploatacji w roku 1878. I już on robił niezwykle wrażenie. Pociąg na tej trasie mógł poruszać się ze średnią prędkością 16 km/godz., w wagonach mogło zaś znajdować się nawet 100 ton ładunku. Dalszą budowę wstrzymano w wyniku wybuchu wojny z Chile. Wzniesiono ją w 1890 r. Trasę do La Oroya ukończono 10 stycznia 1893 r.

O tym, jak ambitny był to projekt, świadczyć może fakt, że nawet po zakończeniu budowy tej niezwyklej kolei w chmurach w wielu miejscach świata wciąż nie chcieli uwierzyć, że taki ciąg mostów i tuneli może naprawdę istnieć. „Trzeba było dopiero każdego ministra europejskiego, każdego z admirałów angielskich lub francuskich, w miarę jak przybywali do Callao, zapraszać po kolei w tę jednodniową wprawdzie, ale pełną osłobliwości wycieczkę, by wreszcie w Europie uwierzono w istnienie nadzwyczajnego dzieła” – pisał we wspomnieniach inżynier Władysław Folkierski.

Ernest Malinowski stał się bohaterem narodowym Peru. Na kartach historii zapisał się bowiem jako inżynier, którego projekt wsparł gospodarkę tego państwa i komunikacyjnie zjednoczył ten południowo-amerykański kraj, podzielony wcześniej przez Andy na trzy odseparowane od siebie części. Jeszcze za życia doczekał więc budowy... swojego pomnika.

Zmarły 3 marca 1899 r. wybitny inżynier to również postać kluczowa dla historii kolejnictwa, jego nazwisko jest jednym z nich wymieniane jest wśród innych znakomitych twórców kolei, takich jak zmarły w 1952 r. inż. Józef Nowokuński – twórca wielkiej magistrali kolejowej Śląsk-Bałtyk – czy prof. Jan Podoski, znakomity inżynier trakcji elektrycznej i inżynier budowy warszawskiego metra.

W 1999 r. – z okazji setnej rocznicy śmierci twórcy Centralnej Kolei Transandyjskiej – Narodowy Bank Polski wydał pamiątkową monetę, Poczta Polska wprowadziła do obiegu okolicznościowy znaczek o wartości 1 zł przedstawiający portret Malinowskiego, a także wiadukt nad wąwozem Verrugas. Od 1999 r. na wysokości 4818 m n.p.m., w najwyższym punkcie trasy, stoi również pomnik z godłami Polski i Peru oraz inskrypcją po polsku i hiszpańsku, mówiącą: „Ernest Malinowski 1818-1899. Inżynier polski, patriota peruwiański, bohater obrony Callao 1866, budowniczy Centralnej Kolei Transandyjskiej”.

W 2018 r., w dwusetną rocznicę urodzin Ernesta Malinowskiego, pamięć słynnego inżyniera uczciły m.in. Polskie Koleje Państwowe: z Warszawy do Krakowa przejechał wówczas m.in. okolicznościowy pociąg „TLK Malinowski”. W marcu 2020 r. na warszawskim Dworcu Centralnym osłonięto zaś tablicę pamiątkową poświęconą twórcy kolei w chmurach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

- Bartkowiak D., „Ernest Malinowski. Konstruktor kolei transandyjskiej”, Zakład Badań Narodowościowych PAN, 1996.
- Bielski M., „Rok inż. Ernesta Malinowskiego”, „Przegląd Techniczny – Gazeta Inżynierska”, nr 16-17/2018.
- Borucki M., „Wielcy zapomniani Polacy, którzy zmienili świat”, Wydawnictwo Muza 2015.
- Bruchnalski M., Ludwik-Słomczyńska A., „Ernest Malinowski. Konstruktor kolei w Andach”, Czarna Owca 2021.
- Folkierski W., „Ernest Malinowski i kolej przez Kordyliery Andów”, „Czasopismo Techniczne” nr 10, 25 maja 1899 r.

Sir Gzowski

Wojciech Simon

Kazimierz Gzowski był jednym z najwybitniejszych inżynierów XIX w. Budował drogi, mosty, porty oraz linie kolejowe. Był też przedsiębiorcą, politykiem, filantropem, a także współzałożycielem malowniczego parku Niagara Falls oraz założycielem Wycliffe College w Toronto

O tym, jak wielki wpływ miał urodzony w 1813 r. polski inżynier na rozwój kanadyjskiej infrastruktury, świadczyć może to, że w 1879 r. królowa Wiktoria nadała mu, jako pierwszemu w ówczesnych koloniach, tytuł Honorowego Adiutanta Królewskiego, dzięki czemu Polak mógł się tytułować oficjalnie jako sir Kazimierz Gzowski.

Zanim wszedł do grona najwybitniejszych imigrantów w Kanadzie, wywodzący się z polskiej szlachty Kazimierz Gzowski ukończył Liceum Krzemienieckie (to samo, do którego uczęszczał również m.in. Juliusz Słowacki), a następnie wstąpił do Korpusu Inżynierów wojsk rosyjskich. Jego kariera w armii nie trwała długo. Jako nastolatek zdezerterował z rosyjskiej armii i wziął udział w powstaniu listopadowym jako oficer saperów pod dowództwem gen. Józefa Dwernickiego. Po krwawym stłumieniu przez Rosjan niepodległościowego zrywu musiał uciekać do Austrii, a następnie – w 1834 r. – został przez Austriaków internowany i wraz z innymi powstańcami zmuszony do wejścia na statek płynący do Stanów Zjednoczonych.

Energiczny młody Polak za oceanem utrzymywał się, udzielając korepetycji z języków obcych, a także z lekcji szermierki. Zaczął studiować prawo, podjął praktykę w kancelarii prawnej i uzyskał amerykańskie obywatelstwo, a także posadę adwokata w Beaver w Pensylwanii. Uświadomił sobie jednak, że wiedza inżynierska może być lepiej płatna niż praktyka adwokacka. Zaangażował się w prace przy konstrukcji amerykańskiej linii kolejowej biegnącej z Nowego Jorku do jeziora Erie.

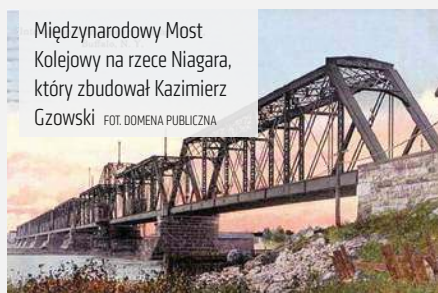
W 1841 r. Polak przeniósł się do Kanady, olbrzymiego kraju, który niczym człowiek bez kręgosłupa pozbawiony był wówczas kluczowej infrastruktury

łączącej różne miejskie ośrodki. Do prężnego rozwoju gospodarczego Kanada potrzebowała pilnie tysięcy kilometrów dróg, linii kolejowych i nowych wodnych szlaków. To właśnie inżynier z Polski stworzył wiele kluczowych elementów infrastruktury. Karierę w Kanadzie Kazimierz Gzowski zaczął od rządowej posady. Jako inżynier był odpowiedzialny za koordynowanie budowy Drugiego Kanału Wellandzkiego, który umożliwiał żeglugę pomiędzy jeziorami Ontario i Erie z pominięciem wodospadu Niagara. Inwestycja była olbrzymia i trudna ze względu na dużą różnicą poziomów w obu jeziorach.

Zaledwie rok później awansował już na stanowisko inspektora nadzoru departamentu robót publicznych i kierował budową dróg, kolei, mostów kanałów oraz portów.

W 1847 r. zrezygnował z państwowej posady i zaczął prywatną praktykę. Został głównym inżynierem przy budowie linii kolejowej St. Lawrence and Atlantic Railroad z Portland w stanie Maine nad Oceanem Atlantyckim do Montrealu w prowincji Quebec nad Rzeką św. Wawrzynia.

W latach 50. XIX. w. stał już na czele własnej firmy Gzowski & Co. Był sprawnym organizatorem, znakomitym inżynierem, a także autorem wielu pionierskich projektów. Jako pierwszy w Kanadzie założył hutę, która produkowała



Międzynarodowy Most Kolejowy na rzece Niagara, który zbudował Kazimierz GZOWSKI FOT. DOMENA PUBLICZNA



Kazimierz Gzowski

FOT. NIAGARA FALLS PUBLIC LIBRARY

szyny kolejowe – Toronto Rolling Mills szybko stała się jednym z największych firm produkcyjnych w kraju. Gzowski zbudował również dwa odcinki szlaku kolejowego Grand Trunk Railway (GTR) między Montrealem, Kingston a Toronto. W 1873 r. zbudował także ogromny Międzynarodowy Most Kolejowy na rzece Niagara między USA a Kanadą niedaleko amerykańskiego Buffalo, który udało się ukończyć bez żadnych ofiar w ludziach, co w tamtych czasach było rzadkością.

Zamożny Kazimierz Gzowski angażował się również w projekty społeczne. Był jednym ze współzałożycieli parku narodowego po kanadyjskiej stronie wodospadu Niagara, twórcą pierwszego kanadyjskiego stowarzyszenia strzeleckiego, a także pionierem wyścigów konnych. Inżynier o konserwatywnych poglądach był także współzałożycielem seminarium duchownego Wycliffe College.

Cieszył się ogromnym poważaniem Kanadyjczyków. O jego działalności jako filantropa i inżyniera głośno było nawet w Londynie. W 1890 r. królowa Wiktoria nadała mu więc brytyjskie szlachectwo i mianowała go swym honorowym adiutantem.

Zmarł 24 sierpnia 1898 r. w Toronto. Miał 85 lat. O jego osiągnięciach przypominają dziś zarówno ukończone przez niego mosty, jak i Sir Casimir Gzowski Park na nabrzeżu w Toronto, w którym znajduje się też pomnik polskiego inżyniera. Zarówno kanadyjska, jak i polska poczta wyemitowały również okolicznościowe znaczki z podobizną Kazimierza Gzowskiego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

Orłowski B., „Osiągnięcia inżynierskie Wielkiej Emigracji”, 1992.

Napoleon

budowy mostów



Urodzony w Bochni 21 stycznia 1861 r. syn pięknej aktorki Heleny Modrzejewskiej oraz żonatego z inną kobietą Gustawa Zimajera, choć zwany był piśmiotliwie Dolciem, to nie miał łatwego dzieciństwa. Pierwsze lata życia spędził, tułając się po teatralnych garderobach i za kulisami wielkich scen. Następnie został porwany przez ojca, a matka odzyskała go dopiero po kilku latach (i wpłaceniu czegoś w rodzaju okupu).

Jego los odmienił się, gdy Helena Modrzejewska wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, zdobywając błyskawicznie wielką sławę. Rudolf Modrzejewski obywatelstwo amerykańskie uzyskał podczas studiów w prestiżowej paryskiej Ecole Nationale des Ponts et Chaussées (Państwowej Szkole Dróg i Mostów), którą ukończył z wyróżnieniem. Dyplomami tej samej uczelni mogli pochwalić się również inni wielcy Polacy, jak Ernest Malinowski oraz Tadeusz Kościuszko.

Rudolf Modrzejewski uprościł jednak szalenie trudne dla obcokrajowców do wymówienia nazwisko i pozwolił nazywać

Wojciech Simon

Rudolf Modrzejewski zbudował w Ameryce 40 wspaniałych mostów. Genialnemu inżynierowi ogromną sławę przyniosły konstrukcje mostów wiszących o dużych rozpiętościach

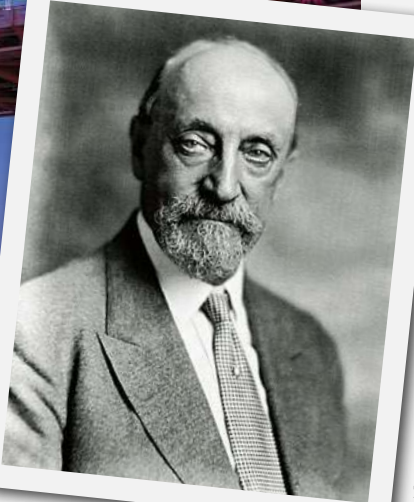
się Ralph Modjeski. Już wówczas marzył ponoć o tym, aby wziąć udział w budowie słynnego Kanału Panamskiego.

TWÓRCA NOWOCZESNEJ TECHNOLOGII

Kanału Panamskiego co prawda nie zbudował, ale stał się słynnym w całej Ameryce konstruktorem mostów. W zrobieniu kariery za oceanem pomogły mu sława i kontakty matki. Ralph Modjeski swoją pierwszą posadę otrzymał u jednego z najsłynniejszych budowniczych amerykańskich mostów George'a S. Morisona. Najpierw pracował jako majster w dziale produkującym stalowe elementy nośne mostów. Szybko piął się jednak w górę i już po siedmiu latach awansował na głównego inspektora nadzoru i jakości w firmie Morisona.

W 1892 r. postanowił zrealizować wreszcie swój amerykański sen i założyć w Chicago własną firmę Modjeski & Masters, która specjalizowała się w projektowaniu i realizacji supernowoczesnych mostów wiszących. Były to konstrukcje niezwykle modne, choć uznawane za ryzykowne, ponieważ były o wiele bardziej niż tradycyjne mosty wrażliwe na boczne uderzenia wiatru. Ralph Modjeski, wykorzystując wiedzę zdobytą na prestiżowym paryskim uniwersytecie, potrafił jednak wprowadzić wiele modyfikacji technicznych, dzięki którym jego konstrukcje do dziś służą mieszkańcom wielu amerykańskich miast. Wśród technologicznych nowinek wprowadzonych przez genialnego inżyniera polskiego pochodzenia były nowatorskie metody łączenia elementów mostów, a także zastosowanie bardziej

Bodaj najbardziej znanym mostem Rudolfa Modrzejewskiego (na zdjęciu poniżej) jest Benjamin Franklin Bridge w Filadelfii. FOT. ADOBE STOCK, LIBRARY OF CONGRESS



wytrzymałych materiałów: zbrojonego betonu oraz nowych stopów stali.

W 1896 r. jego firma zaprojektowała m.in. The Government Bridge, 490-metrową przeprawę łączącą dwa brzegi rzeki Missisipi. Zamówień przybywało, więc firma otworzyła filie w Nowym Jorku i Nowym Orleanie. W 1905 r. przedsiębiorstwo pochodzącego z Polski konstruktora postawiło m.in. Thebes Bridge na Missisipi w Illinois – pięcioprzęsłowy most o długości 1207 m, w którym najdłuższe przęsło liczy 198 m. Podjął się również odbudowy Quebec Bridge po tym, jak oryginalna konstrukcja – projektowana i wykonana przez innych inżynierów – zawałała się, powodując śmierć 75 osób. W 1910 r. zaprojektował Oregon Trunk Rail Bridge nad jeziorem Celilo oraz liczący 1924 m ośmioprzęsłowy McKinley Bridge łączący brzegi Missisipi. Istotny w jego karierze był również ukończony w 1916 r. liczący 1516 m Harahan Bridge w Memphis, w którym najdłuższe przęsło liczyło 241 m. Zmodernizował również przepiękny most przez rzekę Hudson w Poughkeepsie. Polsko-amerykański inżynier

zaprojektował również przeprawy łączące brzegi wielu innych największych rzek w Stanach Zjednoczonych, m.in. Delaware, Missouri, Ohio czy Świętego Wawrzyńca.

CZARODZIEJ MOSTÓW

Wybitny konstruktor cały czas pogłębiał też swoją wiedzę techniczną. W 1911 r. uzyskał tytuł doktora inżynierii Uniwersytetu Illinois. Pisał również prace naukowe, poświęcone głównie konstrukcji mostów.

Najwspanialsze projekty w swej karierze zrealizował w latach 20. i 30. XX w. Skonstruował most Benjamina Franklina w Filadelfii, który w chwili, gdy w 1926 r. oddawano go do użytku, był najdłuższym mostem wiszącym na całym świecie, z rozpiętością przęsła głównego wynoszącą aż 533 m. Na dziennikarzach i mieszkańcach ogromne wrażenie robiły również ogromne sprężyste stalowe pylony nośne o wysokości aż 110 m. Światowym rekordzistą filadelfijski most był przez trzy lata. W listopadzie 1929 r. oddano bowiem do użytku kolejny most wykonany według projektu inżyniera z Polski: Ambassador Bridge na rzece Detroit z rozpiętością przęsła wynoszącą aż 564 m. Przeprawa ta funkcjonuje do dzisiaj i jest uznawana za najruchliwsze przejście graniczne w Ameryce Północnej z ruchem samochodów szacowanym na ponad 10 tys. pojazdów dziennie. Stworzył również most o rozpiętości 606 m na rzece Ohio w Evansville, który ze względu na ukształtowanie wień jest uznawany za prototyp słynnego Bay Bridge w San Francisco.

Nic więc dziwnego, że zdjęcia konstrukcji polskiego inżyniera zdobyły przed drugą wojną światową liczne pocztówki. Amerykańska prasa była zaś tak bardzo zachwycona śmiałymi dziełami inżyniera, łączącego najbardziej odległe brzegi amerykańskich rzek, że ochrzciła go mianem „artysty betonu i stali”. Modjeski odebrał też wiele tytułów najlepszego konstruktora roku oraz prestiżowych nagród. W 1929 r. został wyróżniony najwyższym amerykańskim odznaczeniem dla inżynierów: John Fritz Gold Medal. Również w roku 1929 otrzymał tytuł doktora honoris causa Politechniki Lwowskiej. Miał też wielu znanych współpracowników – do jego współników należał m.in. Alfred Nobel.

Największym osiągnięciem polsko-amerykańskiego inżyniera był jednak most wspornikowy przez Missisipi w okolicach Nowego Orleanu, który do dzisiaj

pozostaje jednym z najdłuższych mostów kolejowych świata.

Brał również udział w tworzeniu liczącego ponad 13 km długości, w tym ponad 7 km ponad wodą, mostu San Francisco-Oakland Bay Bridge (Trans-Bay Bridge). Rozpiętość przęsła głównych w tym przypadku to aż 704 m. Oba projekty w powszechnym przekonaniu wykraczały poza dotychczasowe możliwości techniczne inżynierów. Były też jednym z powodów, dla których inżyniera z Polski nazywano wprost „Napoleonem budowy mostów”.

INŻYNIER... ZA FORTEPIANEM

Mimo zdobytej za oceanem sławy Rudolf Modrzejewski nie zapomniał jednak o polskich korzeniach. Chociaż dla Amerykanów był Ralphem Modjeskim, to inżynier podkreślał polskie korzenie, sporo pisał w ojczystym języku, w jego domu mówiono po polsku, kultywowano polskie tradycje i przyjmowano znakomitych polskich gości, na czele ze stałym bywalcem Ignacym Janem Paderewskim (słynny inżynier podobnie jak jego słynny gość również wspaniale grał na fortepianie).

Do dziś działa również założona przez inżyniera z Polski firma Modjeski & Masters. Uczniem inżyniera z Polski był zaś Joseph Strauss, który wykorzystując wiedzę uzyskaną od swego mistrza Ralpha Modjeskiego, stworzył najsłynniejszy bodaj most w USA: Golden Gate Bridge w San Francisco.

W 1936 r. zrezygnował z prowadzenia przedsiębiorstwa i zamieszkał w willi z ogrodem w Hollywood. Rudolf Modrzejewski zmarł 26 czerwca 1940 r. w Los Angeles. W 1999 r. Poczta Polska wydała znaczek o nominale 1,60 zł z wizerunkiem polskiego konstruktora mostów oraz jego słynnego mostu Benjamina Franklina. W maju 2008 r. hołd słynnemu konstruktorowi oddano również, nazywając jego imieniem most kolejowo-drogowy o konstrukcji kratowej w bydgoskiej dzielnicy Fordon.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

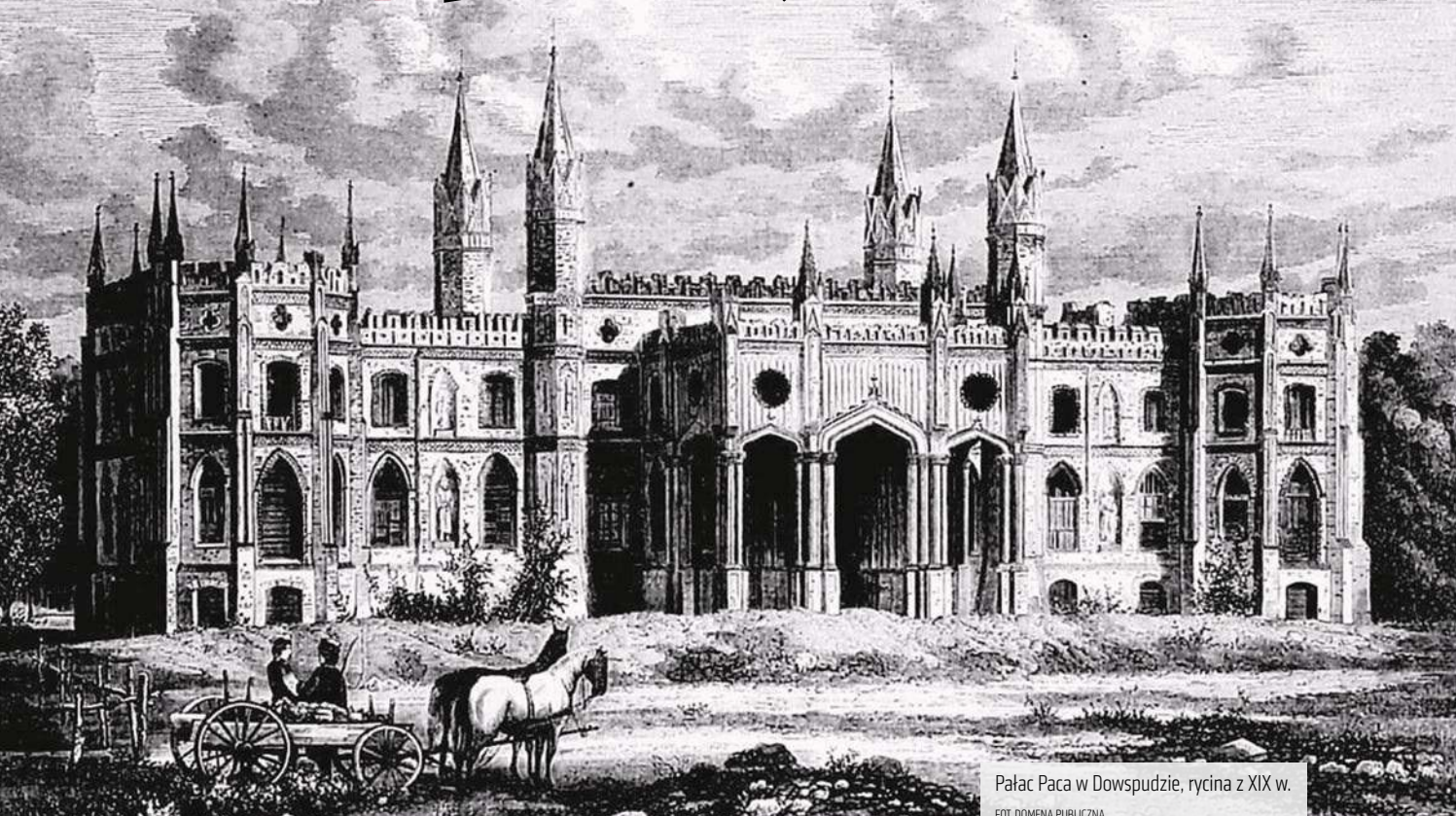
Bibliografia:

- Bolek F., „Who's Who in Polish America”, New York 1943.
- Głomb J., „Człowiek z pogranicza epok”, Katowice 1981.
- Głomb J., „A man who spanned two eras: The story of bridge engineer Ralph Modjeski”, Kościuszko Foundation 2002.
- Jankowski J., „Mosty w Polsce i mostowcy polscy”, Wrocław 1973.
- Kucharzewski F., „O pracach inż. R. Modjeskiego i wielkich mostach amerykańskich”, „Przegląd Techniczny” 1923, nr 48–49.
- Orłowski B., „Mosty Ralfa Modjeskiego”, „Polska” 1976, nr 9.
- Weingardt R., „Engineering legends: great American civil engineers: 32 profiles of Inspiration and Achievement. American Society of Civil Engineers” 2005.



Z prof. Aleksandrem Piwkiem,
historykiem architektury z Politechniki Gdańskiej
rozmawia Piotr Włoczyk

Skarby polskiej architektury



Pałac Paca w Dąbrowie Turckiej, rycina z XIX w.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

PIOTR WŁOCZYK: Co polscy architekci zawdzięczają ostatniemu królowi Rzeczypospolitej?

PROF. ALEKSANDER PIWEK: W Polsce za rządów Stanisława Augusta Poniatowskiego, który sam przejawiał zdolności projektowe, zmniejszył się znaczny dotąd udział architektów obcych. Było to istotne, ponieważ krajowa architektura była przez nich zdominowana, głównie za sprawą mistrzów z Włoch. Swoje talenty rozwijali wówczas m.in. Jakub Fontana, Stanisław Zawadzki czy torunianin Efraim Schroeger.

Szczególnie ciekawe są prace Zawadzkiego, który sztuki projektowania uczył się w Rzymie na prestiżowej Akademii św. Łukasza. W 1777 r. przybył on do Warszawy i początkowo wybrał dla siebie karierę wojskową, a ponadto zajął się m.in. projektami militarnymi w Kamieńcu Podolskim. Po przejściu do cywila zapro-



Pozostałości pałacu Paca – portyk. Zdjęcie współczesne FOT. ADOBE STOCK

jektował m.in. ciekawe pałace: w Śmiełowie, Dobrzycy i Lubostroniu. W tym czasie działał też Jakub Kubicki. Zdobył on umiejętności, pracując ze słynnym architektem królewskim Dominikiem Merlinim. Jako budowniczy rządowy wzniósł wiele dzieł, wśród których wyróżnia

się pałac w Białaczowie i przebudowa Belwederu w Warszawie. Szczególnie ciekawe jest warszawskie dzieło, ponieważ architekt musiał zmierzyć się nie tylko z istniejącym wcześniej budynkiem, lecz także z umiejętnym wkomponowaniem w niełatwe, istniejące już założenie swojego mistrza – Łazienki Królewskie.

Ta stopniowa „polonizacja” naszej architektury nie była wcale oczywistym procesem?

Oczywiście, ponieważ Włochy były architektoniczną potęgą na świecie. To tam powstawały główne nurty istotne dla architektury. Kiedy Polska była bogata, czyli w okresie renesansu i baroku, ściągano stamtąd do kraju świetnych artystów, podobnie jak czynili to inne państwa. Trend ten zapoczątkowała królowa Bona, która przyjechała do Polski z grupą architektów, którzy zaczęli lansować małą

znane lub niestosowane u nas rozwiązania budowlane, np. krużganki, attyki. To jednak rodziło pewne problemy. Dlatego w 1659 r. anonimowy polski autor wydał w Krakowie rozprawkę pt. „Krótka nauka budownicza dworów, pałaców, zamków podług nieba i zwyczaju polskiego”. Skierowana do możnych i dostatnich (za-możnych) panów, miała zwrócić uwagę na fakt, że nie wszystko, co przychodzi z Zachodu, jest przystawalne do naszych warunków.

Obecność w Polsce wielu włoskich architektów nie była zresztą dla Polaków żadną ujmą. Świadczyła raczej o tym, że jako kraj nie byliśmy „prowincją”. Aby wnieść własne treści i zmienić ten stan, młodzi artyści wyjeżdżali na studia głównie do Rzymu. Drogę tę przebył też pierwszy naprawdę uznany architekt z Podlasia, Kacper Bażanka. Po zdobyciu tam I nagrody w 1704 r. wrócił do kraju. Specjalizował się w barokowej sztuce sakralnej. Jego najwspanialszym dziełem jest niewątpliwie klasztor Norbertanek w Imbramowicach pod Krakowem. Wprowadził tam wzory włoskie świetnie zaprojektowane i wykonane.

W okresie późnego baroku prężnie działał architekt pochodzenia włoskiego Jakub Fontana. Studiował we Włoszech i we Francji, a po powrocie z zagranicy został budowniczym królewskim i Rzeczypospolitej. Dokonana przez niego przebudowa Pałacu Potockich w Radzynie Podlaskim ujawniła wielki talent architekta. Obecnie jego świadectwem są zachowana w oryginale klatka schodowa i piękna oranżeria, czyli pawilon ogrodowy.

W ówczesnej architekturze budownictwo sakralne z oczywistych względów odgrywało ogromną rolę. Jak radzono sobie z wyborem architekta?

Jeśli pozwalały na to fundusze, to zatrudniano najlepszego architekta. Nie zawsze było to jednak możliwe. W okresie późnego baroku zakony w Polsce starały się więc mieć własnych architektów. Chodziło po prostu o redukcję kosztów inwestycji oraz pełniejszą kontrolę nad projektem i gwarancję lepszego zrozumienia potrzeb zgromadzenia. Dlatego władze zakonne wysyłały niekiedy swoich najzdolniejszych braci wykazujących talenty artystyczne na studia za granicę. Wśród nich na pierwsze miejsce wybija się jezuita Paweł Giżycki ze swoimi projektami świątyń w Tarnopolu, Stanisławowie i Łucku.



Sukiennice na krakowskim rynku

FOT. ADOBE STOCK

Wobec różnorodności kierunków, jakie zapanały w XIX w., który był przez polskich architektów najczęściej wybierany?

Wiek XIX był okresem, w którym dokonywały się liczne zmiany społeczne i artystyczne. Nie ominęło to także architektury. Powstawały kierunki silnie zróżnicowane i trwające stosunkowo krótko. Wśród lansowanych wzorów najpopularniejszym stał się neogotyck, wzorowany na sztuce XIV i XV w. Wiele takich obiektów wznosił Henryk Marconi. Urodził się on wprawdzie w Rzymie, ale po przybyciu do Polski wrósł w nasz kraj i do śmierci tworzył tu swoje dzieła. To on właściwie zaprojektował słynny, nawiązujący do angielskich rozwiązań pałac dla Ludwika Michała Paca w Dowspudzie, na temat którego powstało powiedzenie: „Wart Pac pałaca, a pałac Paca”, bo też generał jako adiutant Napoleona był uczestnikiem toczonych wówczas wojen, a po ich zakończeniu okazał się świetnym gospodarzem, wprowadzając u siebie nowe metody upraw rolnych. Jego pałac, znany obecnie z głównie z rysunków, budził powszechny podziw nie tylko w kraju.

Coraz większe uznanie zdobywali inni krajowi architekci. Wśród nich na pewno trzeba wspomnieć o młodszym od Marconiego Józefie Piusie Dziekońskim, który uwielbiał neogotyck z jego ostrymi łukami. Powrót do dawnej sztuki był wówczas powiewem świeżości. I dziś takie obiekty jak katedra na warszawskiej Pradze czy katedra w Radomiu podtrzymują uznanie dla tego architekta. Zapewne jest to pokłosiem silnej akceptacji średniowiecznych wzorów, nieobcej nawet współczesności. Inny kierunek, związany z neobarokiem, reprezentuje Stefan Szyller. Spod jego ręki wyszły m.in. Gmach Główny Politechniki Warszawskiej, kościoły

w Przytyku i Jedlni, a także nawiązująca do form narodowych oprawa architektoniczna mostu Poniatowskiego.

Przełom XIX i XX w. to nie tylko powroty do minionych stylów – był to złoty okres nieznanej dotąd secesji.

Uwielbiał ją Franciszek Mączyński. Jego projekty były owocem nurtów płynących na ziemię polską głównie z Wiednia. Jedną z perełek Mączyńskiego był Pałac Sztuki w Krakowie. Na elewacjach umieścił on secesyjne motywy. Znalazły się tam także popiersia Jana Matejki i Stanisława Wyspiańskiego. A propos naszego wielkiego malarza Jana – nie każdy wie, że był on aktywny również w architekturze i brał udział w rozbudowie Sukiennic w końcu XIX w. Tak więc podziwiane podcienie z ostrołukami jedynie nawiązują do stylu gotyckiego. Wracając do architektury secesyjnej, wymagającej związków z malarzami i rzeźbiarzami, to wraz z podążaniem ich ku kolejnym nowościom przestali oni stanowić twórcze uzupełnienie architektów i musiano kierunek ten porzucić.

Wspominał pan o formach narodowych, których zaczęto poszukiwać na przełomie wieków XIX i XX. Musimy więc powiedzieć w tym miejscu kilka słów o Stanisławie Witkiewiczu.

Artysta ten sięgał często do bogactwa sztuki ludowej. Jeżeli chodzi o architekturę, to jego najsłynniejszym dziełem jest niewątpliwie drewniana willa Pod Jedłami, która jest emblematycznym przykładem stylu zakopiańskiego. Szereg ośmiu podobnych domów otworzyła willa Koliba. Warto jeszcze wspomnieć o zbudowanej przez niego pięknej kaplicy na Jaszczurówce. Próby oddania przez Witkiewicza podobnych treści w obiektach murowano-drewnianych nie dały



Willa Pod Jedłami w Zakopanem według projektu Witkiewicza. FOT. ADOBE STOCK

■ już tak fascynujących rezultatów. Materiał w architekturze ma więc znaczenie niepoślednie.

Jak kształtowały się kierunki rozwoju naszej architektury po uzyskaniu przez Polskę niepodległości?

Jednym z najlepiej znanych budynków II RP był słynny modernistyczny pensjonat „Patria” („Ojczyzna”) w Krynicy-Zdroju, który należał do śpiewaka Jana Kiepury. Autorem projektu był Bohdan Pniewski, wybitny przedstawiciel modernizmu. Znany był on oczywiście jeszcze z wielu gmachów w stolicy, m.in.: zespołu sejmowego, budynków Ministerstwa Komunikacji czy też Gmachu Sądów Grodzkich, tzw. Sądów na Lesznie. Wśród innych ciekawych dzieł przedwojennej Warszawy wybijają się oczywiście Prudential, czyli modernistyczne „dziecko” Marcina Weinfelda. Za konstrukcję budynku odpowiadał inż. Stefan Bryła. Ten pierwszy w Warszawie, 66-metrowy drapacz chmur przetrwał bombardowanie w czasie powstania warszawskiego.

Przykłady bardzo dobrego modernizmu znajdują się także poza Warszawą. Do nich należy bez wątpienia dawny kościół, a obecnie katedra św. Rocha w Białymstoku, dzieło Oskara Sosnowskiego, profesora Politechniki Lwowskiej. Wyjątkowe, nieustępujące wybitnym budowlom Europy Zachodniej, miało ono dla Polaków szczególne znaczenie. Stanowiło swego rodzaju pomnik wzniesiony z okazji odzyskania przez kraj niepodległości. Nie sposób pominąć architektów działających w tworzonej wówczas



Drewniana willa Koliba, Zakopane

FOT. ADOBE STOCK

Gdyni, polskim oknie na świat. Wśród nich wybijał się Roman Piotrowski.

Architekt ten zasłynął również z roli, jaką po wojnie odegrał podczas odbudowy Warszawy.

Tuż po wojnie był kierownikiem Biura Odbudowy Stolicy, a później komisarzem w utworzonym specjalnie ministerstwie. Jednakże w kwestii odbudowy stolicy warszawskiego Starego Miasta pierwszoplanową postacią jest dla mnie prof. Jan Zachwatowicz. Bez jego determinacji, wręcz uporu, wyglądałoby ono najpewniej zupełnie inaczej. Jako pierwszy Generalny Konserwator Zabytków zadbał o to, aby Warszawa odzyskała Stare Miasto, co wtedy nie było oczywistością. Równie dobrze mogło ono zostać „unowocześnione” i pozbawione nabytego przez wieki uroku. Całe szczęście, że w archiwach Politechniki Warszawskiej zachowały się przedwojenne inwentaryzacje. Dzięki nim można było przystąpić do pełnej odbudowy. Mam wielki sentyment do prof. Zachwatowicza, ponieważ gdyby nie przyjechał do Gdańska ze swoją wizją odbudowy, to najpewniej nie byłoby u nas Głównego Miasta, tak podziwianego przez

turystów. Po wojnie władze Gdańska były już niemal zdecydowane na zbudowanie nowoczesnego współczesnego miasta. I chociaż ostatecznie w Gdańsku odbudowa Głównego Miasta nie była tak kompleksowa jak w Warszawie, to jednak wiele zabytków udało się uchronić i przywrócić mieszkańcom.

Po drugiej wojnie światowej w polskiej architekturze było również ciekawie?

Jak najbardziej. Panujący po wojnie w naszej architekturze socrealizm okazał się na szczęście mało trwały. Nie stworzono dzieł, którymi można by się obecnie zachwycić. Do obiektów wzniesionych w kontrze do obowiązujących wówczas tendencji należy wciąż interesujący Powszechny Dom Towarowy (tzw. Okrągłak) w Poznaniu, zbudowany według projektu Marka Leykama. Ten modernistyczny walec powstał z prefabrykowanych elementów. Awangardowa architektura nadal jest ciekawym przykładem nowoczesnego myślenia o przestrzeni.

Drugim dziełem, które przychodzi mi na myśl, jest ukończona w 1971 r. Hala Widowiskowo-Sportowa w Katowicach, projektu zespołu na czele z Maciejem Gintowtem, Maciejem Krasińskim i Andrzejem Żórawskim (konstruktor). Z uwagi na kształt przypominający kosmiczny statek zwana jest „Spodkiem”. W konstrukcji dachu użyto jedno z pierwszych w świecie rozwiązań polegających na stabilizacji działających tam sił przeciwstawnych sobie (rozciągających i ściskających).

Dzieła należące do obecnego stulecia otwiera Centrum Biurowe Focus w Warszawie, projektu biura Kuryłowicz & Associates. Ten duży budynek wzorowany jest na zminimalizowanym założeniu urbanistycznym. Miasto sprowadzono tutaj do czterech jakby samodzielnych kwartałów skupionych przy centralnie usytuowanym przeszklonym dziedzińcu. Współcześni polscy architekci w pełni wykorzystują zdobycze najnowszych trendów w kształtowaniu przestrzeni, rozwiązań konstrukcyjnych czy też modne materiały budowlane. Powstające dzieła wskazują, że w tworzeniu architektury mamy wiele ciekawego do powiedzenia nie tylko w kraju.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Aleksander Piwek jest pracownikiem Katedry Historii, Teorii Architektury i Konserwacji Zabytków Politechniki Gdańskiej.

Elita polskich architektów

Wojciech Simon

Polska ma szczęście do znakomitych architektów, których dzieła zachwycają współczesnych nie tylko w kraju, lecz także poza jego granicami



Wzory starej rosyjskiej architektury na pocztówce z 1906 r. oraz fasada barokowego kościoła. Oba rysunki autorstwa S. Noakowskiego FOT. BN

STANISŁAW NOAKOWSKI

Urodzony w Nieszawie w roku 1867 architekt, malarz, rysownik i historyk sztuki. Rysunku we Włocławku uczył go Ludwik Bouchard, znany malarz i krytyk artystyczny. Decyzję o wyborze zawodu architekta podjął jeszcze w gimnazjum w Łowiczu. Studiował architekturę na Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu. W ramach stypendium odbył także długą podróż po Europie, zdobywając wiedzę we Włoszech, Francji, w Niemczech i Szwajcarii. W 1906 r. powołano go na profesora Moskiewskiej Szkoły Malarstwa, Rzeźby i Architektury. Tworzył rysunki, których tematem była architektura europejska różnych epok i stylów. W 1912 r. w Moskwie odbyła się wystawa jego rysunków.

W 1919 r. został profesorem historii architektury nowożytniej na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. Jako malarz i architekt jednocześnie nie miał łatwego życia. „Dziwnym artystą jest Noakowski. Architekci twierdzą, że jest malarzem: malarze utrzymują, że jest architektem. Według mego mniemania jest on urodzonym malarzem do szaleństwa zakochanym w architekturze” – pisał o nim Tadeusz Pruszkowski. Pozostawił po sobie tysiące szkiców.

JAN KOSZYC-WITKIEWICZ

Wszechstronny architekt oraz konserwator zabytków. Studiował na Politechnice Warszawskiej i Politechnice Lwowskiej. Ostatecznie został absolwentem Wydziału Architektury Politechniki w Monachium. W swoich projektach niezwykle umiejętnie łączył polskie motywy ludowe z zasadami wczesnego modernizmu. Na prośbę Stefana Żeromskiego zaprojektował przedszkole (ochronkę) w Nałęczowie, utrzymane w stylu zakopiańskim. Po zakończeniu

pierwszej wojny światowej zbudował w Kazimierzu Dolnym Szkołę Rzemiosł Budowlanych, a także Dom Kifnerów oraz Dom Potworowskich.

Zaprojektował także gmach główny Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie (we współpracy ze Stefanem Putowskim), a także bibliotekę Szkoły Głównej Handlowej. Projektował także wille, sanatoria i przedszkola, a w roku 1930 zdobył jedną z trzech równorzędnych pierwszych nagród w konkursie na projekt Świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie.



Budynek „A” Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie według projektu Jana Koszyca-Witkiewicza, 1960 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wyróżniony m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (w 1929 r.) oraz Złotym Krzyżem Zasługi (w roku 1947). Zmarł w 1958 r. w wieku 77 lat.

MACIEJ NOWICKI

Wybitny polski rysownik i projektant, który współpracował z najważniejszymi architektami świata, takimi jak Oscar Niemeyer, Le Corbusier czy Sven Marquinius. Urodzony w szlacheckiej rodzinie wychowywał się w Krakowie i Warszawie. Jeszcze przed wojną zdobył sławę znakomitego rysownika. Wraz z żoną Stanisławą



Hala wystawowa Dorton Arena – projekt Macieja Nowickiego FOT. LEAH RUCKER/CC-BY-SA-3.0

zaprojektował m.in. modernistyczny Dom Turysty w Augustowie. Ze Zbigniewem Karpińskim zaprojektował warszawską halę Klubu Sportowego „Orzeł”. Po wybuchu wojny brał udział w walkach. Należał także do Armii Krajowej. Prowadził też tajne wykłady z architektury. Jesienią 1945 r. Nowicki wyemigrował do USA i osiedlił się w Nowym Jorku. Architekt z Polski brał tam m.in. udział w projektowaniu nowojorskiej siedziby ONZ. W podręcznikach historii zapisał się jako autor nowatorskiej hali wystawowej Dorton Arena (znanej jako Parableum), zbudowanej w amerykańskim mieście Raleigh. Wykładał na North Carolina State College oraz na Uniwersytecie Pensylwanii w Filadelfii. Zginął w katastrofie lotniczej 31 sierpnia 1950 r. na Pustyni Libijskiej w Egipcie, wracając z Indii, gdzie pracował nad projektem budowy zupełnie nowego miasta o nazwie Czandigarh (zwanego też Pięknym Miastem).

BOHDAN LACHERT

Modernista i jeden z mistrzów architektury funkcjonalnej i awangardowej lat 20. i 30. XX w. Jako profesor Politechniki Warszawskiej kształcił kolejne pokolenia architektów. Był także współtwórcą słynnej grupy Praesens, w której skład wchodził architekt, malarze czy graficy. Brał udział w kluczowej inwestycji międzywojnia, a więc w projektowaniu



Budynek PKO w budowie, 1949 r., Warszawa – projekt Bohdana Lacherta FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ obiektów mieszkalnych i użyteczności publicznej w Gdyni. Nigdy się nie bał technicznych nowinek. Własny dom w Warszawie pod koniec lat 20. zaprojektował z podciętym parterem, tarasem na dachu i ze spiralnymi schodkami, a zbudował go z pianobetonu, czyli nowoczesnego materiału cementowego, który powstał jako alternatywa dla cegły. Wraz z Józefem Szanajcą zaprojektował też m.in. nowoczesny pawilon Centrocementu. Bohdan Lachert projektował też bloki mieszkalne, wille, a nawet meble. Był m.in. twórcą dzielnicy Muranów. Postać modernistycznego architekta i jego przyjaciela Józefa Szanajcy zabitego we wrześniu 1939 r. upamiętnia m.in. mural na ścianie między budynkami Nowolipki 15 i 17.

ZBIGNIEW KARPIŃSKI

Należał do grona najzdolniejszych przedwojennych absolwentów Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej. Jeszcze w latach 30. XX w. był nagradzany m.in. za projekty sądów w Gdyni czy zaprojektowaną wraz z Maciej Nowickim modernistyczną halę sportową Ośrodka Wychowania Fizycznego Klubu Sportowego „Orzeł” przy ul. Podskarbińskiej w Warszawie.



Projekty Z. Karpińskiego – Rotunda PKO oraz Pasaż Śródmiejski w Warszawie FOT. NAC

Po zakończeniu wojny włączył się w wielkie dzieło odbudowy Warszawy. Na kartach historii zapisał się jako bezpartyjny architekt i autor koncepcji Ściany Wschodniej warszawskiej ulicy Marszałkowskiej na odcinku od ul. Świętokrzyskiej do Alei Jerozolimskich. W skład zrealizowanego w latach 50. XX w. zespołu budynków wchodziły m.in. domy towarowe, Pasaż Śródmiejski, obiekty mieszkalne, kino Relax, a także słynna Rotunda. Prowadził zajęcia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej, a w 1966 r. otrzymał tytuł profesora. Wyróżniony m.in. Honorową Nagrodą SARP, a także Złotym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Zmarł 29 marca 1983 r.



Gmach Sądu Najwyższego – projekt Marka Budzyńskiego FOT. ADOBE STOCK



Ogrody przy Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego FOT. ADOBE STOCK



Projekt Świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie – pierwsza nagroda konkursowa 2000 r. FOT. MBARCH.PL

MAREK BUDZYŃSKI

Urodzony w 1939 r. architekt i urbanista to autor wielu bardzo znanych projektów. Absolwent Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej i jej wieloletni wykładowca. Generalny projektant warszawskiego osiedla Ursynów Północny, które miało być realizacją idei „koncentracji liniowej”, uwzględniającej podczas projektowania stosunki społeczne, a także ekologiczne podejście do przestrzeni. Profesor Budzyński to również twórca odważnego i budzącego spore emocje projektu gmachu Sądu Najwyższego w Warszawie o nowoczesnej i wyrazistej formie z symbolicznymi nawiązaniem do antyku i prawa rzymskiego. Wśród najśłynniejszych dzieł, które wyszły spod deski kreślarskiej pracowni Marka Budzyńskiego, wymienić trzeba również gmach Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie. Laureat Honorowej Nagrody Stowarzyszenia Architektów Polski. Został również m.in. odznaczony medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” oraz Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

STEFAN KURYŁOWICZ

Jeden z najbardziej znanych polskich architektów przełomu XX i XXI w. Przez kilkadziesiąt lat ten absolwent Wydziału Architektury na Politechnice Warszaw-

skiej należał do czołówki twórców otaczającej nas przestrzeni. W 1990 r. obronił doktorat, a w roku 2001 uzyskał habilitację. Lubiany wykładowca na macierzystej uczelni oraz autor wielu publikacji o współczesnej architekturze, w których zauważał m.in., że to biura, fabryki czy siedziby firm „decydują współcześnie o wartości środowiska, w jakim żyjemy”. Prowadził autorską Pracownię Architektury Kuryłowicz & Associates, w której był głównym projektantem. Odnaczony Złotym Krzyżem Zasługi za udział w projektowaniu i realizacji Terminalu Lotniczego Warszawa-Okęcie. Wielokrotnie nagradzany w kraju i za granicą, m.in. za realizację siedziby Fuji Film Polska przy ul. Płowieckiej, warszawskiego osiedla Eko Park, Centrum Biurowego Focus Filtrowa, budynku biurowego Nautilus czy rezydencji ambasadora Korei Południowej w Aninie. Był członkiem Komitetu Doradczego Sekretarza Generalnego ONZ ds. przebudowy kwatery głównej ONZ w Nowym Yorku. Zginął w katastrofie lotniczej w Hiszpanii w czerwcu 2011 r. Miał 62 lata.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Biurowiec The Form przy ul. Pańskiej 11 w Warszawie FOT. APAKA



Kompleks biurowy Plac Unii, przy ul. Puławskiej 2 w Warszawie FOT. APAKA



Project Loi 130 w Brukseli FOT. APAKA



NARODOWY BANK POLSKI INFORMUJE:

Prestiżowa nagroda *Excellence in Currency* dla Narodowego Banku Polskiego

Usługa zamiany monet w urządzeniach samoobsługowych w Oddziałach Okręgowych NBP zdobyła prestiżową nagrodę „Excellence in Currency” przyznaną przez banki centralne i producentów znaków pieniężnych stowarzyszonych w organizacji International Association of Currency Affairs (IACA).

Nagroda została wręczona podczas odbywającej się w Amsterdamie „The Coin Conference 2022”, największej na świecie konferencji poświęconej tematyce emisji, produkcji i logistyki monet.

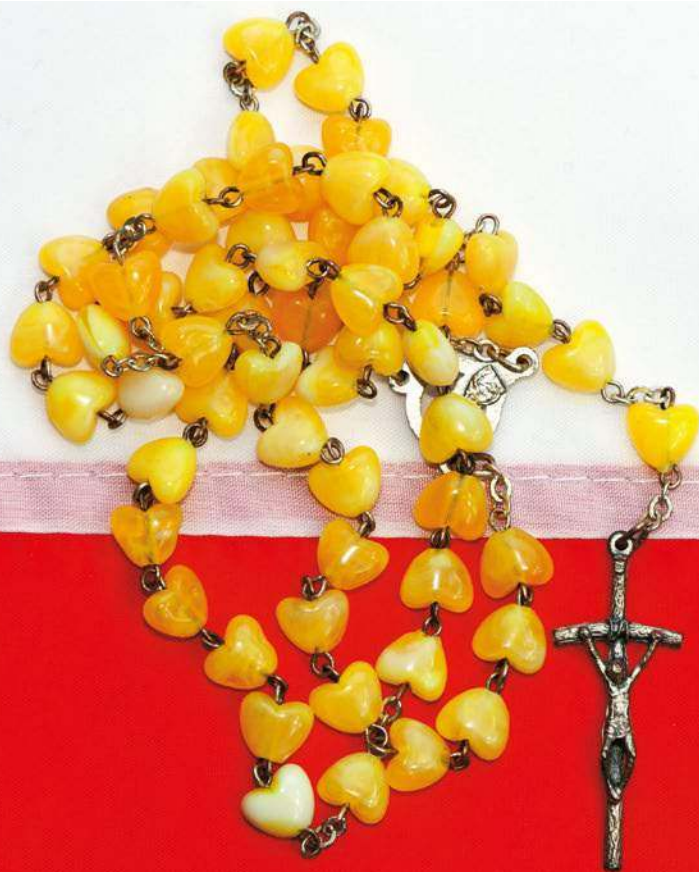


Zdobycie pierwszego miejsca dzięki opiniom ekspertów z międzynarodowych instytucji finansowych to szczególne wyróżnienie – powiedział prof. Adam Glapiński, Prezes Narodowego Banku Polskiego.

Usługa pozwala klientom na samodzielne wykonanie transakcji wpłaty monet do urządzenia, a następnie odebranie ich równowartości w kasie Oddziału w wyższych nominałach znaków pieniężnych lub dokonanie wpłaty równowartości na rachunek bankowy systemem BLIK. Od uruchomienia usługi w styczniu 2021 r. skorzystało z niej ponad 240 tys. osób, które zamieniły 350 mln sztuk monet o łącznej wartości nominalnej około 190 mln zł.

Szczegółowe informacje na stronie Narodowego Banku Polskiego: nbp.pl





FOT. ADOBE STOCK

Wielka Polska niekatolicka?

Polacy różnią się od innych narodów – i różnią się od nich bardziej, niż np. pozostałe narody Unii Europejskiej różnią się między sobą. Oczywiście pod pewnymi względami. Jakimi?

Otóż Polacy są jedynym narodem w naszym kręgu kulturowym, który pozwolił na niemal całkowity zakaz aborcji – ku zdumieniu liberałów z całego świata. Polska jest jednym z nielicznych państw Zachodu, w którym nie zrównano praw tzw. związków jednopłciowych z normalnymi rodzinami – mimo nieustannego, bezprecedensowego, zmasowanego nacisku różnorodnych czynników na kolejne rządy nie zdecydowano się na to, wiedząc, że wzbudzi to słuszny opór opinii publicznej. Badanie przeprowadzone przez szwajcarską Isopublic w kilkunastu krajach Europy pokazuje, że w Polsce wciąż istnieje jedno z najniższych przyzwoleń społecznych na eutanazję. Polacy wciąż grzebią swoich umarłych w tradycyjny sposób i – statystycznie – bardzo często odwiedzają ich



Krystian Kratiuk

Od lat w polskiej debacie o geopolityce czy o miejscu Polski w świecie jeden czynnik jest starannie pomijany. Chodzi o jedyny komponent wspólnototwórczy, dzięki któremu tak naprawdę nadal różnimy się od innych społeczeństw w coraz bardziej przecież ujednolicanym, globalizowanym świecie

groby, co nie jest już powszechną praktyką innych narodów Europy. W Polsce nadal, mimo postępującej laicyzacji, wyznaje wiarę w Boga i chodzi do kościoła większy odsetek mieszkańców niż w innych krajach. Polska dała dzisiejszemu Kościołowi katolickiemu co jedenastego księdza na świecie. Co czwarty kapłan diecezjalny w Europie wyświęcany jest w naszym kraju.

Polska jest bowiem prawdopodobnie ostatnim krajem katolickim w Europie.

Owszem, Kościół w Polsce się kurczy, ale jeszcze ani nie umarł, ani wcale nie jest tak słaby, jak go malują. I to zdecydowanie odróżnia nas od innych narodów Zachodu. Argumentów świadczących o tej tezie jest znacznie więcej. Szczegółowo, z podaniem danych statystycznych, starałem się o tym napisać w książce „Jak Kościół katolicki stworzył Polskę i Polaków”. W książce tej broniłem również tezy, że Polska, by istnieć jako prawdziwie niepodległe państwo, musi obronić swój odrębny,

katolicki charakter, gdyż w coraz bardziej zunifikowanym świecie tylko odrębna tożsamość gwarantuje niepodległość.

TOŻSAMOŚĆ TO NIE TYLKO STRASZAK

W debacie o Polsce i jej miejscu w świecie nieustannie rozważamy to, kto z kim handluje i do kogo może w tych układach przykleić się Polska, żeby żyło się nam coraz lepiej. Zastanawiamy się, kto w jaki sposób się zbroi i z kim powinniśmy w związku z tym być w sojuszu. Badamy występowanie złóż naturalnych oraz perspektywy uniwersytetów a to w Chinach, a to na Zachodzie. Permanentnie jednak w naszej opinii publicznej pomijamy jeden aspekt – jak mocno nasze społeczeństwo nadal różni się od innych społeczeństw naszego kręgu kulturowego i dlaczego tak jest. W debacie o Polsce milczymy o tożsamości narodu polskiego – wciąż, ku powszechnemu zdumieniu, kształtowanemu przez resztki dogorywającej cywilizacji chrześcijańskiej.

Od czasu do czasu mówią o tym politycy, szczególnie ci pragnący zmobiliować opinię publiczną przed wyborami. Używają wtedy – i słusznie – straszków w postaci ideologii gender czy LGBT, aborcji, eutanazji, dechrystianizacji, niekontrolowanej islamskiej imigracji. Ogłaszają prosty wybór: „albo wartości chrześcijańskie, albo nihilizm”. PiS m.in. akurat dzięki temu od lat wygrywa kolejne wybory. Zdumiewający dla wielu obserwatorów opór znacznej części polskiego społeczeństwa wobec kolejnych zdobyczy światowej antychrześcijańskiej rewolucji w żaden sposób nie jest jednak brany pod uwagę w myśleniu o przyszłości Polski i kierunkach jej polityki. Wydaje się to zupełnie nie interesować wziętych analityków i publicystów.

Wśród naszych pisarzy politycznych najchętniej czytany i najszerzej komentowany pozostaje Rafał A. Ziemkiewicz, który opublikował niedawno książkę zatytułowaną „Wielka Polska”. Ku memu zdziwieniu na łamach publikacji o porównującym tytule ów komponent katolickiej tożsamości narodu polskiego nie odgrywa żadnej roli w snutej przez autora wizji szans na naszą potęgę. To jednocześnie charakterystyczne, jak i rozczarowujące. Kto jak kto, ale przecież akurat Rafał A. Ziemkiewicz dał się w ostatnich latach poznać jako człowiek, który umiejętnie demaskuje zagrożenia wynikające z coraz to bardziej kuriozalnych pomysłów

ideologów antychrześcijańskiej rewolucji. A to właśnie te pomysły są dziś największym zagrożeniem czyhającym na Polskę i Polaków. Bez przeciwstawienia się im nie tylko nie będzie Wielkiej Polski, lecz także nie będzie żadnej Polski – nawet jeśli nad Wisłą wciąż trwać będzie jakieś państwo rządzone formalnie przez ludzi o polskiej krwi i polskich paszportach.

ZA JAKĄ CENĘ?

W podzielanej przez licznych konserwatystów wizji przyszłości Polski leży konieczność ścisłego zbratania się ze Stanami Zjednoczonymi jako z mitycznym przywódcą Zachodu w bipolarnym świecie. Teza ta wybrzmiewa również po lekturze „Wielkiej Polski” Ziemkiewicza. Tymczasem jednak, jak pokazuje wieloletnia już praktyka, owo ścisłe zbratanie się oznacza dla każdego mniejszego partnera w relacji ze Stanami Zjednoczonymi rychłą amerykańizację – i wcale nie chodzi o spełnianie się w krajach partnerskich amerykańskiego snu. Chodzi o amerykańizację w najgorszym, współczesnym tego słowa znaczeniu. Piewcy takiej wizji rozwoju Polski wciąż wydają się uznawać, niemal jak za czasów Reagana, że jedyną alternatywą dla krajów eksportujących ideę gułagu jest świat eksportujący ideę macdonaldyzacji. Dziś jednak, owszem, nadal mamy do czynienia z ośrodkami eksportującymi ideę gułagu (już nie tylko na przestarzałą sowiecką, lecz także na nowoczesną, chińską modłę), ale z drugiej strony przecież dzisiaj zagrażają nam, naszej polskiej tożsamości, a więc i Polsce, także kraje eksportujące idee LGBT, gender, aborcji, ekofaszyzmu, feminizmu, cancel culture, wokeizmu. Idee neomarksizmu, który wcale nie jest wyłącznie marksizmem kulturowym, ale również ordynarnym powrotem do idei komunizmu w warstwie ekonomicznej (kto nie wierzy, niech przeczyta na stronach „New York Timesa” chociażby artykuł „The World Is a Mess. We Need Fully Automated Luxury Communism” [Świat jest w rozsypce. Potrzebujemy w pełni automatyzowanego luksusowego komunizmu]). Ameryka nie eksportuje dziś już wolności i dobrobytu. Eksportuje dziś różnorakie, nowe formy zniewolenia jednostek i społeczeństw – i pozostaje w tej kategorii liderem.

Wielu polskich konserwatystów jednak, choć zdaje sobie sprawę z tego amerykańskiego eksportowania wszystkiego, co najgorsze, nie do końca dopuszcza do siebie świadomość, że jest to dla Polski realne zagrożenie. Owszem, liczni spośród nich są w stanie głośno sprzeciwić się tego typu propozycjom z niejako bliższej nam geograficzno-strukturalnie Unii Europejskiej (a sam wspomniany tu Rafał A. Ziemkiewicz miał nawet odwagę, m.in. z tych powodów, jako jeden z pierwszych wezwać do polexitu), ale jeśli chodzi o różnoraki rodzaj partnerstwa z USA, to zagrożenie wydaje się już nie tak oczywiste.

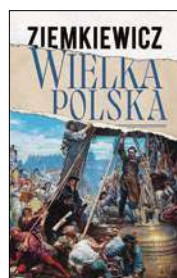
A to przecież właśnie Stany Zjednoczone realizują na całym świecie proaborcyjną agendę. To ze Stanów Zjednoczonych pochodzi zdecydowana większość nihilistycznych i antychrześcijańskich dzieł popkultury, demoralizujących całe społeczeństwa, szczególnie ich najmłodszą część, najbardziej podatną

na manipulację. To wreszcie kolejni ambasadorowie Stanów Zjednoczonych żądają od Polski, łamiąc przy tym wszelkie zasady cywilizowanej dyplomacji, zmiany prawodawstwa w kwestii związków homoseksualnych. Dość przypomnieć, że to przecież ambasadorowie wysłani do Warszawy przez Waszyngton od lat organizują zbieranie podpisów dyplomatów z innych państw (podczas tzw. miesiąca dumy LGBT), mających skłonić polski rząd do przyjęcia ustaw sprzecznych z tradycją i wolą polskiego społeczeństwa. Wbrew nadziejom licznych polskich konserwatystów pokła-

danych w jednej z amerykańskich partii robili to zarówno amerykańscy ambasadorowie nominowani przez administrację Demokratów, jak i Republikanów. Wszak to pani Georgette Mosbacher, nominatka samego Donalda Trumpa, śmiała zarzucić Polakom, że w sprawie „homomałżeństw” stoją „po złej stronie historii”.

JEŚLI NIE AMERYKA, TO CO? POLSKA!

Przypominając to wszystko, muszę uczynić pewne zastrzeżenie. Otóż w naszej polskiej debacie publicznej pokutuje doprawdy nieznośne przekonanie, że jeżeli ktoś krytykuje Zachód, to z automatu musi uważać, że nadzieja jest na Wschodzie – czytaj: w Moskwie. To myślenie



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
„WIELKA POLSKA”
FABRYKA SŁÓW
2022

zakorzenione najpewniej w dualizmie odziedziczonym z czasów PRL, tylko à rebours, dobrze uwypuklające jednak również polskie kompleksy, sprawiające, że czujemy się komfortowo wyłącznie wtedy, gdy mówiąc o polskiej polityce, przyporządkowujemy ją do sojuszu polegającego na całkowitym oddaniu się komuś większemu. Odrzucam takie myślenie, szczególnie w kwestiach rozważań o zagrożonej tożsamości narodowej, opartej w Polsce nadal na chrześcijaństwie i wynikających z niego zasadach. Zresztą oferowanie Polakom wyboru między opisaną tu wyżej amerykańizacją a rusyfikacją wydaje mi się w ogóle niegodne podejmowania rozmowy. To mniej więcej tak, jakby pytać katolika, czy woli iść pod ramię z Lucyferem czy z Belzebubem.

Owszem, trudno nie dostrzec w USA pewnych kontrrewolucyjnych nadziei – to zresztą odróżnia Zachód od Wschodu, że przecież w Ameryce działają silne ruchy antyaborcyjne mające za sobą już kilka sukcesów, że widać protesty społeczeństwa wybudzonego z letargu w sprawie ideologii gender, a także opór wobec ekoszaleństwa. Choć nierzadko są to niemal jednostkowe przypadki – i najczęściej natychmiast agresywna większość stara się je stłamsić – to jednak pierwiosnki są. Ale do odwrócenia sukcesów antychrześcijańskiej rewolucji w USA, która zaszła tam przecież nieporównywalnie dalej niż w Polsce, jeszcze niezwykle daleko. Dlatego ubolewam, że Rafał A. Ziemkiewicz w „Wielkiej Polsce” zupełnie nie zwraca uwagi na to, jak wielkim zagrożeniem dla polskiego społeczeństwa, a tylko ono może przecież zbudować Wielką Polskę, stanowi zachodnia degeneracja i jej promocja wszędzie tam, gdzie pojawiają się dyplomaci z USA czy Unii Europejskiej. To zaskakujące, gdyż – powtórzmy – Ziemkiewicz w swej publicystyce wielokrotnie o szaleństwach Zachodu pisał, celnie je punktuje i podkreślając wielokrotnie, że nie uważa się za pisarza politycznego, ale za pisarza „robiącego w tożsamości”.

W kontekście oparcia Polski o Stany Zjednoczone Ziemkiewicz zauważa jeszcze jedną interesującą kwestię. Otóż autor przywołuje opublikowaną w 2009 r. książkę „Następne sto lat” autorstwa George’a A. Friedmana, w której amerykański politolog snuł właśnie wizję wielkiej Polski w sojuszu z USA, dość szczegółowo i trafnie prognozując geopolityczne wydarzenia z udziałem Polski na kilka dekad do przodu. Autorowi „Wielkiej Polski”

Jeśli chcemy budować Wielką Polskę, to niech będzie ona Wielką Polską, a nie Wielką Kolonią. Ani amerykańską, ani chińską, ani rosyjską

wizja Friedmana i jego książka bardzo przypadła do gustu. Ziemkiewicz zauważył jednak, że w „Następnych stu latach” nie został przewidziany rozkład moralny amerykańskiego społeczeństwa i że Friedman w ogóle nie zajmuje się sprawami społecznymi. Cóż, ja chciałbym zwrócić uwagę na coś innego – otóż George Friedman jest przecież nie tylko politologiem, lecz także założycielem i szefem Stratfor – amerykańskiej prywatnej agencji wywiadu, współpracującej z agendami rządowymi USA, w tym z CIA. Czy trudno sobie wyobrazić, że Friedman wcale nie przewidział losu Polski, ale złożył nam pewną propozycję, po prostu wiedząc, jakie są strategiczne plany Amerykanów na kolejne lata? A czy to, że nie wspominał w swej publikacji o kielkującej już przecież wówczas genderowej rewolucji, nie mogło być celowym zaniechaniem, mającym zniwelować strach przed przyjęciem oferty „mocarstwowości”, złożonej w jego książce przecież nie tylko katolickiej Polsce, lecz także islamskiej Turcji?

WIELKA POLSKA, NIEWIELKA KOLONIA

Na jakim fundamencie Rafał A. Ziemkiewicz, a także niemała część dzisiejszych konserwatystów chciałby budować Wielką Polskę, dość ściśle związaną z USA, gdyż, jak pisze, wraz z wybuchem wojny na Ukrainie „otworzyło się okno możliwości”? Otóż wydaje się, że wyłącznie na idei dobrobytu. Ludzie chcą żyć w dobrobycie i trzeba im pomóc go zapewnić. Jeśli nie będziemy im w tym przeszkadzać, to będą chcieli tu żyć i tworzyć Wielką Polskę, i robić to będą nie tylko Polacy, lecz także dobrze zweryfikowani imigranci. I to w zasadzie... tyle.

Nie mam nic przeciwko idei powstania – jak to określa Ziemkiewicz – Rzeczpospolitej Narodów. Ale zbudować należy ją na czymś znacznie ważniejszym aniżeli tylko na wizji dobrobytu i wolności. Ludzie, którzy budować mają Wielką Polskę, nie znają bowiem ani dobrobytu, ani prawdziwej wolności, a za rzeczy, których

się nie zna, które ma się tylko mgliście obiecać, nie sposób ponosić ofiary – czy to z ciężkiej pracy czy nawet, jeśli trzeba, ze zdrowia czy życia.

Za co jednak można ponieść ofiarę? I za co mogliby ją ponosić zarówno Polacy, jak i przybywający tutaj przedstawiciele innych nacji? Za obronę tradycji. Religii. Za obronę swoich dzieci. Swojej własności i prawa do niej. Prawa do normalności. Wszystkiego, co filozofia nazywa prawem naturalnym. Za obronę tożsamości – a tożsamość Polaka zbudowana jest dziś nadal na chrześcijaństwie. I, żeby była jasność, dotyczy to zarówno wierzących, jak i niewierzących w Boga – w Polsce bowiem nie trzeba wierzyć w Boga, by wiedzieć, że nie zabija się niewinnego życia. Niewierzący Polacy wiedzą to dlatego, że żyją we wciąż chrześcijańskiej Polsce, dlatego że panują tu takie, a nie inne zasady. Przecież gdyby żyli wśród dzikich plemion składających ofiary z dzieci albo gdyby wychowali się w postępowych dzielnicach Nowego Jorku, to po prostu nie znaliby takich wartości. Właśnie to musiał mieć na myśli Jarosław Kaczyński, gdy mówił jakiś czas temu, że polski patriota musi wyznawać chrześcijański system wartości, gdyż alternatywą jest nihilizm. W tej sprawie, przynajmniej deklaratywnie, rzeczywiście miał rację.

Jeśli chcemy budować Wielką Polskę, to niech będzie ona Wielką Polską, a nie Wielką Kolonią. Ani amerykańską, ani chińską, ani rosyjską.

Niech będzie Polską, do której przybywać będą imigranci, których zaprasza Ziemkiewicz – nie tylko po dobrobyt, ale przede wszystkim po normalność, która wszędzie indziej jest już zabijana. A w końcu ci sami imigranci mogliby nadzieję na normalność przywieźć z powrotem do swoich krajów i – w oparciu o wyśnioną Wielką Polskę – budować na powrót w miarę normalny świat. Czego sobie i Państwu życzę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl

W ramach tej debaty ukazały się teksty:

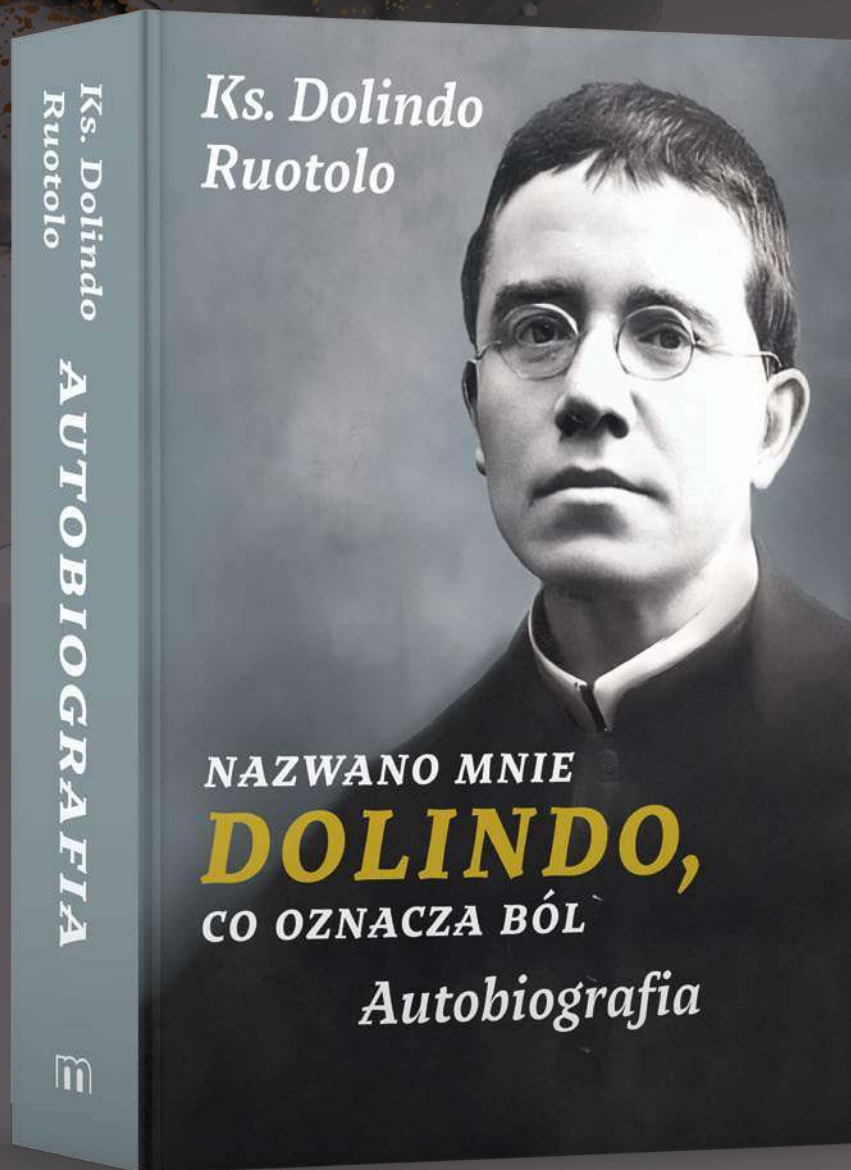
Łukasz Warzecha – „Naiwne marzenia”, „DRz” 45/2022

Rafał A. Ziemkiewicz – „2022 ≠ 1939”, „DRz” 44/2022

Łukasz Warzecha – „Znikający pragmatyzm”, „DRz” 43/2022

Rafał A. Ziemkiewicz – „Polska skazana na wielkość”, „DRz” 43/2022

Nic nie pozwoli lepiej zrozumieć ks. Dolindo Ruotolo niż **Autobiografia**



Oficjalny wydawca pism
ks. Dolindo Ruotolo w Polsce

DOTYCHCZAS UKAZAŁY SIĘ:

- Głęboka przemiana serca w szkole Maryi
- Przybądź Duchu Święty
- Myśli na każdy dzień
- Kto umrze, zobaczy czyściec i raj
- Rozważania na Wielki Post
- Na trudne dni
- Dolindo i Oficjum. Listy z Rzymu
- Tak widziałem Niepokalaną
- 7 darów Ducha Świętego
- Ojciec nasz
- Owoce i Charyzmaty Ducha Świętego
- Osiem błogosławieństw
- Kwiatki ks. Dolindo
- Nazwano mnie Dolindo, co oznacza ból. Autobiografia

POLECAMY



Wiele jest pięknych książek na świecie. Autobiografia księdza Dolindo Ruotolo należy do najpiękniejszych z nich. To klejnot chrześcijańskiej wiary i duchowości. To wyjątkowy przykład sprawozdania z życia sporządzonego przez kogoś, kto spotkał się z Bożym miłosierdziem i dzięki łasce zareagował na nie bezwarunkowym zaufaniem bez względu na okoliczności.

ks. Robert Skrzypczak



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury

WYDAWNICTWO
ZAMÓW tel. 12 259 00 03
wydawnictwom.pl

Katolicką wersją tego, co w protestantyzmie rozwinęło się jako liberalny protestantyzm, był najpierw modernizm, następnie zaś jego nie mniej agresywna, za to bardziej wyrafinowana teologicznie wersja, czyli neomodernizm. Swoją postać kanoniczną – jeśli to właściwe słowo – uzyskał on w formie teologii Karla Rahnera. Tak jak przez kilka wieków niemal każde dzieło z dziedziny teologii lub duchowości nosiło na sobie pieczęć myśli św. Tomasza z Akwinu, niezależnie od tego, czy cytowano go wyraźnie czy nie, tak teraz niemal wszędzie można odnaleźć niedającą się z niczym pomylić formę myśli jezuitę z Innsbrucka. Pojawia się ona także u autorów, których określa się mianem konserwatywnych. Wskazują na to ankiety, analizy, komentarze. W świadomości teologów Rahner wyparł św. Tomasza z Akwinu.

NIEBEZPIECZNY SOJUSZ

Jeśli się chce pojąć przewrót dokonany podczas Soboru Watykańskiego II, to nie da się pominąć kwestii przenikania do Kościoła gnozy, panteizmu, naturalizmu. Wtedy to bowiem doszło do sojuszu papieży – najpierw Jana XXIII, a następnie Pawła VI – z radykalnym skrzydłem neomodernistycznych teologów. Wtedy też pierwszy raz nastąpiła swoista mutacja władzy papieskiej. Stała się ona nie jak do tej pory główną zaporą przed innowacjami i barierą chroniącą Kościół przed duchem świata, ale przeciwnie – wehikułem zapewniającym zwycięstwo sekularyzacji. W tej sekwencji pontyfikatów, z których każdy wyróżniał się coraz dalej idącym zerwaniem z obrzędami, teologią i tradycją wiecznego Rzymu – obecnym punktem szczytowym są rządy papieża Franciszka – była tylko jedna, nieśmiała wszakże, niekonsekwentna próba odwrócenia procesu, podjęta przez Benedykta XVI. Nie mogła się ona jednak zakończyć powodzeniem. Sam Benedykt skażony był myśleniem modernistycznym, którego nigdy nie potępił i od którego nigdy się nie uwolnił. Podjęte przez niego środki zaradcze były w istocie półśrodkami. Nie likwidowały źródła kryzysu, pozwoliły jedynie przetrwać i odradzać się klasycyzmowi katolicyzmu. Po abdykacji Benedykta chwilowo powstrzymany neomodernizm rozlał się po Kościele z tym większą mocą. Toczący swoistą wojnę z tradycyjną liturgią Franciszek stał się tego prawdziwym symbolem.

W poszukiwaniu zaginionego sacrum



Paweł Lisicki

Posoborowi papieże sądzili, że tym, co uniemożliwia Kościołowi dotarcie do coraz bardziej zeświecczonych grup społecznych – inteligencji, wykładowców uniwersytetów, częściowo też lewicowych robotników – jest właśnie katolicka tradycja. Zrzućmy ten bagaż i religia się odrodzi – myśleli. Był to jednak fundamentalny, dramatyczny błąd



Papież Paweł VI przewodził Radzie Ekumenicznej w bazylice św. Piotra w Rzymie w latach 1964–1978

FOT. KEYSTONE-FRANCE/GAMMA-KEYSTONE/GETTY IMAGES

„Neomodernizm, oparty na egocentrycznej teorii poznania i zrodzony z wolnej interpretacji Lutera, podjęty przez protestantów pod znakiem czystej krytyki oraz przez modernistów »katolickich« w imię życiowej ewolucji, stanowi rozkład wszelkiej myśli. [...] To nurt intelektualny, który przyjmuje filozofię bez bytu, Objawienie bez historycznego Chrystusa, a wreszcie prowadzi do teologii bez Boga. W swojej ostatniej

fazie modernizm jest, historycznie rzecz ujmując, najdoskonalszym, nirwanistycznym rajem filozoficznym i religijnym, jaki kiedykolwiek został wymyślony przez nie-buddystów”. W tym sensie obecna, zreformowana msza sama jest najpełniejszym przejawem zwycięstwa katolickiego neomodernizmu i dlatego nie może być receptą na jego przecięcie. Sam główny architekt zmian, abp Bugnini, stwierdził: „Chodzi więc

o fundamentalną odnowę, o przekształcenie, a w pewnych punktach o zupełnie nową twórczość". To ważne słowa, doskonale oddające intencję reformatorów. Nie różni się ona, jak łatwo zauważyć, od zamiarów Marcina Lutra, Jana Kalwina czy Martina Bucera.

Według Jeana Guittona „Paweł VI kierował się ekumeniczną intencją porzucenia albo przynajmniej poluzowania tego, co we mszy było zbyt katolickie w tradycyjnym znaczeniu, a to w tym celu, by mszę katolicką zbliżyć do mszy kalwińskiej”. Jest to dokładnie to samo, co abp Bugnini nazwał „fundamentalną odnową, [...] zupełnie nową twórczością”. Logicznie wynika z tego, że Paweł VI musiał dążyć do takiej reformy rytuału, żeby usunąć na margines „to, co zbyt katolickie”, czyli to, przeciw czemu najbardziej protestowali od początku XVI-wieczni reformatorzy. Najbardziej katolickie było to co, co najbardziej klóciło się z roszczeniem pasywności, pyszności i do zbawienia, do samousprawiedliwienia. Najbardziej katolicka była ofiara mszy świętej, jej przebiegalny charakter, kapłaństwo sakramentalne, ołtarz. Paweł VI uważał, że rezygnacja z klasycznej formy liturgii to konieczny warunek dotarcia do współczesnego człowieka. Podkreślał znaczenie skarbu tradycji, jego bogactwa i wielkości, ale uznał, że w obecnych czasach skarb ten stał się ciężarem i przeszkodą. Problem polegał na tym, że ów skarb to nie tylko forma, lecz także treść. Treścią była teologia mszy jako ofiary przebiegalnej; forma była wyrazem tej wiary. Jedno ściśle odpowiadało drugiemu. Pozbywając się skarbu, ostatecznie należało zakwestionować naukę o ofierze, przebieganiu, zaśluszczeniu na grzech. Krótko: trzeba było pójść, może nieco wolniej, w stronę, w którą pięć wieków wcześniej podążyli reformatorzy. Na końcu tej drogi musiało być zakwestionowanie kapłaństwa. Tam, gdzie znikają ofiara przebiegalna i ołtarz, w konsekwencji znika kapłan. Jeśli jednak znikają kapłani, to umiera Kościół.

WIELKIE ZŁUDZENIE

Podobnie Paweł VI uznał, że typowym przedstawicielem kultury i cywilizacji współczesnej jest właśnie człowiek wyrosły z ducha i cywilizacji protestanckiej. Na tym polegał paradoks: sekularyzacja katolicyzmu miała być sposobem dotarcia do współczesnej kultury, tak mocno już protestantyzowanej, ześwieczonej.

nej. Dokonując tej operacji, papież nie zauważył, że ściga miraż. Im bardziej ze świata znikają znaki świętości, tym bardziej wewnątrz siebie on sekularyzuje i tym dalej trzeba iść w odrzucaniu bagażu tradycyjnego katolicyzmu. Wielkie złudzenie Pawła VI, a następnie Jana Pawła II polegało na tym, że sądzili oni, iż znosząc i ograniczając »to, co najbardziej katolickie«, w liturgii, obrzędowości i praktycznie w doktrynie teologicznej, uratują moralność katolicką. Tak jakby na ołtarzu, nomen omen zasad etycznych, położyli niezmienną liturgii i czystość dogmatów. Wielce to osobliwe: sama logika pokazuje przecież, że etyka oparta jest na metafizyce, a teologia moralna na teologii dogmatycznej. Podobnie nadużycie autorytetu i władzy w jednej dziedzinie – przez wprowadzenie reformy liturgicznej i próbę ograniczenia praw do odprawiania klasycznej mszy – musiało dezawuować go w każdej innej.

Celem reformatorów od XVI w. było oczyszczenie kultu chrześcijańskiego ze wszystkiego, co przypominało starożytną ofiarę

Jeśli papież porzucał skarb mądrości liturgicznej, bo nie odpowiadała ona rzekomo świadomości współczesnej, to tym bardziej powinien porzucić skarb doktryny moralnej, która jeszcze bardziej nie odpowiada owej mentalności.

Posoborowi papież sądzili, że tym, co uniemożliwia Kościołowi dotarcie do coraz bardziej ześwieczonych grup społecznych – inteligencji, wykładowców uniwersytetów, częściowo też lewicowych robotników – jest właśnie katolicka tradycja. Zrzućmy ten bagaż i religia się odrodzi – myśleli. Był to jednak fundamentalny, dramatyczny błąd. Współczesny – to jest wychowany na współczesnej literaturze od Marksa przez Nietzschego do Freuda – człowiek nie chciał żadnej religii. Papieskie ustępstwa uznawał nie za zaproszenie, ale za przejaw kapitulacji. Tym samym ofensywa katolicyzmu załamała się, nim się zaczęła. Gorzej, że porzucając skarb tradycji liturgicznej, papież, zaczynając od Pawła VI, którego

Franciszek jest wiernym kontynuatorem, doprowadzili do wydrążenia z sakralności samego życia Kościoła.

CZAS INKUBACJI

Celem reformatorów od XVI w. było oczyszczenie kultu chrześcijańskiego ze wszystkiego, co przypominało starożytną ofiarę, z pośrednictwa, z ołtarzy, na których kapłan dokonuje przebiegania. Nowy kult musi być zerwaniem z dawną tradycją, bo wyraża się w nim samoświadomość nowożytnego człowieka. Nowa samoświadomość skrywa się za tym, co pozornie starożytne. To, co radykalnie nowe i rewolucyjne – pierwszy zauważył to Marcin Luter – nie może z dnia na dzień podbić serc i umysłów. Potrzebny jest czas inkubacji; czas, w którym stary obrzęd obumiera w pamięci i myśli, wypierany stopniowo przez nowe rozumienie. Zanim to nastąpi i „ja” stanie przed samym sobą już ostatecznie wyzwolone z rytów i obrzędów, wolne i kreatywne, zmiany nie mogą być zbyt gwałtowne. Luter pojął to po 1527 r. i starał się, na ile to możliwe, odejść od wcześniejszych radykalnych pomysłów. Bardzo podobnie rozumowali reformatorzy powołani przez Pawła VI. Kierowali się raczej ostrożnością i wybierali, o ile to możliwe, formuły wątpliwe, a nie otwarcie niekatolickie. Raczej pomięli, przycinali, usuwali, niż wprost atakowali. Woleli osłabić znaczenie i dodać w taki sposób, żeby wierni sami wybrali niejasny tekst – bo krótszy i prostszy – niż zaprzeczyć staremu. Prawdziwym majstersztykiem było z tego punktu widzenia wprowadzenie, obok nieco zmienionego dotychczasowego kanonu rzymskiego, trzech (a może czterech) nowych tzw. modlitw eucharystycznych do wyboru. Niby kanon usunięty nie został, ale w praktyce odmawia się go bardzo rzadko.

„Nowa msza jest dwuznaczna, ponieważ pozostawia wątpliwości co do kapłańskiego charakteru celebransa, który odtąd jest tylko przewodniczącym zgromadzenia; w kwestii samej istoty mszy jako aktu ofiarnego, która sprowadzona została do prostego wspomnienia (teza potępiona przez Sobór Trydencki); oraz co do rzeczywistej obecności Chrystusa pod postaciami eucharystycznymi, czemu zaprzeczają protestanci” – pisał ks. Bourmand. Trudno nie uznać słuszności tej opinii.

Kapłaństwo, ofiara i przeistoczenie – to dokładnie te punkty, które od początku odrzucał Luter i jego następcy. Zresztą lewe skrzydło ruchu reformatorskiego, czyli

Ulrich Zwingli czy później Jan Kalwin, negowali także resztki dawnej wiary w realną obecność Chrystusa, którą Luter starał się utrzymać. To są dokładnie te punkty, które musi odrzucić obudzona przez Lutra nowożytna świadomość. Jeśli tak, jak wierzę, tak mam; jeśli wszystko sprowadza się do tego, by Ja mogło mieć pewność i ustanawiać samo swe zbawienie (w języku współczesnym kreować wartości i ustanawiać swoją tożsamość), to nie może ono znieść ani pośredników, bo samo jest swym własnym pośrednikiem, ani ofiary, bo nikomu nie będzie oddawać chwały i nikogo nie zamierza przebłagawać, ani cudu, bo wie, że aby zachować swoje bezwzględne panowanie, żaden Bóg nie może wtargnąć w historię. Nowa liturgia katolicka zatem z samej zasady nie może przynieść innych skutków niż te, które przez wieki przynosiła liturgia zreformowana. Pozbycie się, ograniczenie i wyparcie tych najbardziej katolickich elementów tradycji nie przybliżyło świata do Kościoła, ale przeciwnie – podmyło i podkopało życie katolickie. Otóż to, co Paweł VI i reszta neomodernistów uważała za „zbyt katolickie w tradycyjnym znaczeniu”, nie jest wcale „katolickie”, a więc wyznaniowe, konfesyjne. To nie jest historycznie uwarunkowana naleciałość, dodatek lub szata zewnętrzna. Ofiara przebłagalna, kapłaństwo, ołtarz – to właśnie istota nadprzyrodzonej misji Kościoła. To część apostołskiego, wspólnego dziedzictwa Kościoła, które reformatorzy, zuchwale pokładając ufność w swojej wiedzy, porzucili. Owszem, niektóre obrządk protestanckie są bliższe i łatwiejsze do przyjęcia dla współczesnych, ale właśnie dlatego, że towarzyszą one od początku rewolucyjnej nowej świadomości zachodniego Ja. Nie ma w nich ofiary, nie ma śladów „magii”, czyli sakramentów. Tyle że na końcu drogi jest czysty, suchy rytualizm. Żeby go przezwyciężyć, konieczne jest ciągłe tworzenie nowych, charyzmatycznych wspólnot. Liberalny protestantyzm prowadzi do ateizmu i nihilizmu. Przejmując i dostosowując się do formuł protestanckich, katolicy zostali uwięzieni w tej samej doczesności i tymczasowości, która systematycznie wydrążyła z sacrum wspólnoty protestantów. „Jednym z owoców reformy liturgicznej będzie być może to, że wspólnoty niekatolickie będą mogły celebrować Wiecznię Pańską, używając tych samych modlitw, co Kościół katolicki. Z punktu widzenia teologii to możliwe” – napisał w 1969 r. Max Thurian ze wspólnoty z Taizé. Ta jedność to wspólne zagubienie sakralności. In tym sensie obecna niemiecka katolicka droga synodalna

nie jest wypaczeniem i odejściem od zasad reformy, ale jej dopełnieniem. Wszystkie jej postulaty odpowiadają ściśle temu, czego pragnie kreujące wartości, samobawiające się Ja. Dobrze wiedzieli to od początku sami protestanci, zaskoczeni najwyraźniej przewrotem dokonany przez katolików. „W odnowionej niedawno mszy nie ma niczego, co mogłoby przeszkadzać ewangelicznym chrześcijanom. Pozostaje tylko pytanie, czy taki ryt można jeszcze nazwać katolicką mszą”. Niektórzy tradycjonaliści uznają – i mają w tym wiele racji – że nie.

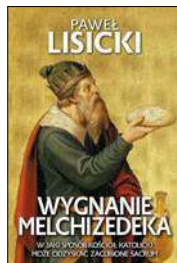
KSIEŻA BEZ TOŻSAMOŚCI

Trafna wydaje się ocena ks. Bourmonda: „Kryzys, jaki przeżywa obecnie kapłaństwo, jest niebywały, i to nie dlatego, że nadużycia osiągały niespotykane dotąd rozmiary, ani dlatego że są one powszechnie akceptowane i legalizowane, ale z tego powodu, że sami kapłani zdają się zaprzeczać swojemu charakterowi osób poświęconych Bogu. Katolicki kapłan utracił tożsamość”. To dumne i pyszne „ja” zamyka w muzeum staroci nie tylko obrzędy i lex orandi, lecz także słowo Boże. Od tej pory tak jak msza może być tylko celebrazją udziału we wspólnocie, tak też Pismo przestało przemawiać boskim językiem. Od tej pory Kościół stał się instrumentem służącym budowaniu jedności rodzaju ludzkiego. Osobliwa formuła z najważniejszej soborowej konstytucji „Lumen Gentium” – „Kościół jest w Chrystusie jakby sakramentem, czyli znakiem i narzędziem wewnętrznego zjednoczenia z Bogiem i jedności całego rodzaju ludzkiego” – posłużyła jako uzasadnienie dla kolejnych, coraz bardziej zrywających z tradycijną nauką Kościoła spotkań międzyreligijnych. Możliwa bowiem stała się następująca interpretacja: skoro „Kościół jest narzędziem [...] jedności całego rodzaju ludzkiego”, to nie wolno mu wprowadzać różnic i występować w ich obronie. Różne religie zaś, z samej natury rzeczy, dzielą rodzaj ludzki. Wniosek: Kościół musi być swego rodzaju superreligią, nadreligią. Dlatego uwieńczeniem tej drogi było spotkanie w Asyżu zorganizowane przez Jana Pawła II i dokument z Abu Zabi podpisany przez Franciszka. To, co katolickie, musiało zostać dostosowane

i podporządkowane celowi, którym stała się jedność rodzaju ludzkiego.

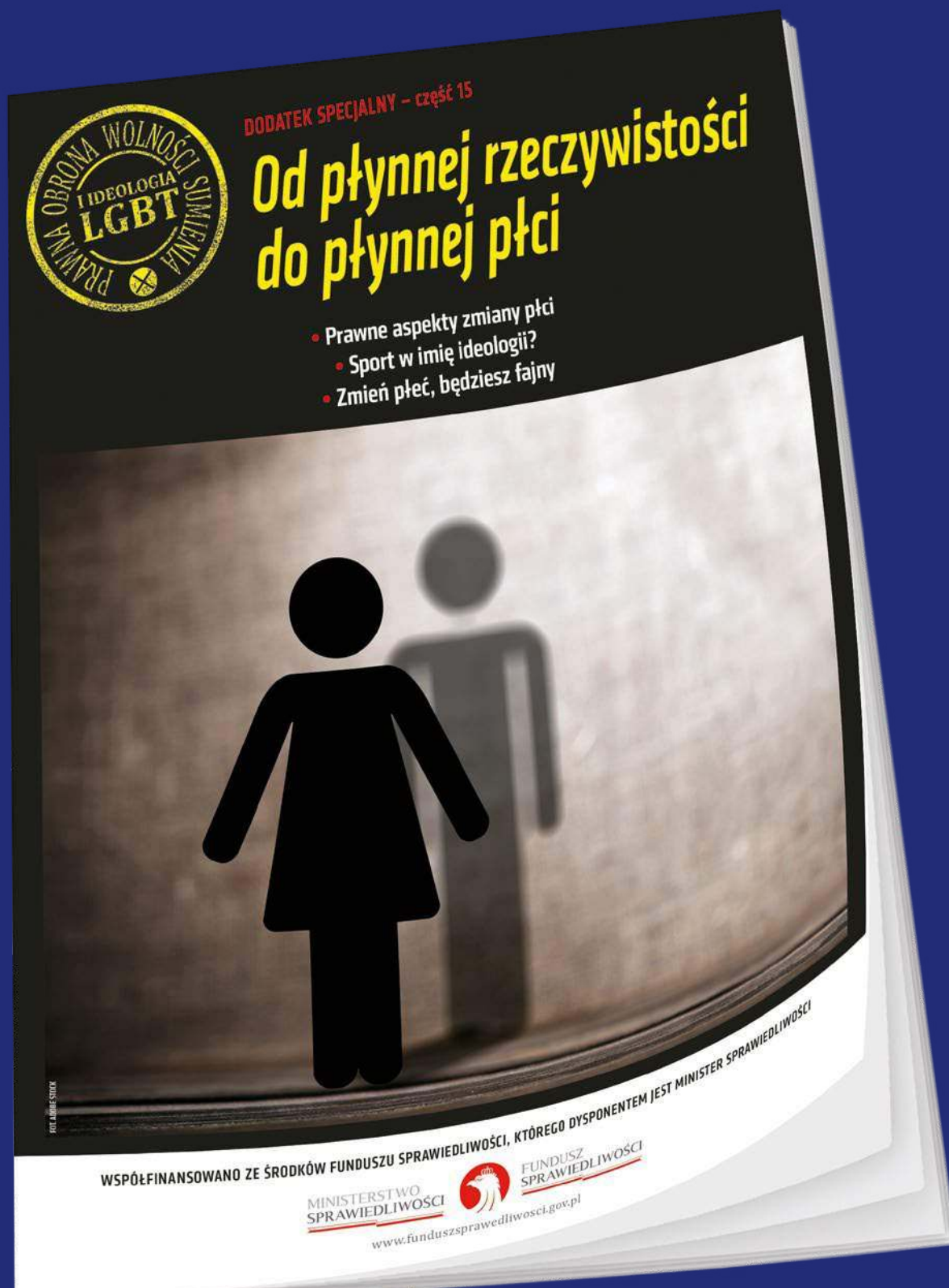
To, co katolickie – określony kult, sakralność, świętość – mogło być jedynie znakiem powszechnej jedności. Nie mogło dzielić i różnicować. Nie mogło, mówiąc bardziej współcześnie, wykluczać. Wszelka forma ekskluzywizmu musiała zostać potępiona. Ofiarą tej operacji musiała stać się katolicka sakralność. Nic bardziej być może nie pokazuje desakralizacji katolickiego ołtarza niż całkowite milczenie papieża Jana Pawła II po tym, kiedy to Dalajlama umieścił figurkę Buddy na ołtarzu kościoła św. Piotra w Asyżu, podczas spotkania międzyreligijnego 27 października 1986 r. – samo w sobie wydarzenie to stanowiło zakwestionowanie całej wcześniejszej tradycji i przejaw samokultu nowoczesnej świadomości. „Ta promienna tajemnica jedności stworzonej rodzaju ludzkiego i jedności zbawczego dzieła Chrystusa, która pociąga za sobą narodziny Kościoła jako jej szafarza i narzędzia, objawiła się wyraźnie w Asyżu mimo różnic między wyznaniem religijnymi, których nikt nie ukrywał i nikt nie zacierał”. Te słowa Jana Pawła II dobrze opisują to nowe posłannictwo Kościoła. W Asyżu objawiła się jedność rodzaju ludzkiego w nowy, wcześniej nieznany sposób. Przedstawiciele religii spotkali się i modlili w jednym miejscu, chociaż każdy zgodnie ze swoim doświadczeniem religijnym.

Zgodnie ze starożytnym chrześcijańskim rozumieniem modlitwa jest najbardziej sakralnym i intymnym sposobem komunikacji z Bogiem. Dom Modlitwy to dom Boży. Właściwa modlitwa to właściwa forma zwracania się do Boga. Modlitwa objawia wiarę, wiara jest źródłem modlitwy. Tak jak się modlisz, tak wierzysz; jak wierzysz, tak się modlisz. Tymczasem zsekularyzowana świadomość uważa modlitwę wyłącznie za subiektywną, prywatną formę przeżycia, doświadczenia ludzkiej nieskończoności. Dlatego papież mógł zaprosić przedstawicieli innych religii do Asyżu, mógł się obok nich jednocześnie z nimi modlić, twierdząc, że nie modli się razem, lecz osobno. Asyż otworzył drogę do kolejnych radykalnych przekroczeń. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jest to fragment książki „Wygnanie Melchizedeka. W jaki sposób Kościół katolicki może odzyskać zgubione sacrum”, Wydawnictwo Fronda, Warszawa 2022, która właśnie ukazuje się na rynku.

Już 28 listopada w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl 878994614e

Dobrze albo wcale. Tęczowy zamordyzm



Zuzanna Dąbrowska

Środowisko LGBT może być przedstawiane wyłącznie jako wspierające i radosne, bez najmniejszej skazy. Tezę tę potwierdził niedawno Netflix, usuwając serial o seryjnym mordercy homoseksualście z katalogu „LGBTQ”

Serial „Dahmer – Potwór: Historia Jeffrey Dahmera” to prawdziwy hit. Tytułowy bohater, który zabijał w latach 1978–1991, nazywany był „kanibalem z Milwaukee”. Wszystko dlatego, że ciała zamordowanych kawałkował i część z nich zjadał. Resztę przechowywał w domu jako swoiste trofea. Dahmer zabijał tylko mężczyzn. Był gejem, podobnie jak większość jego ofiar, które poznawał m.in. w barach dla homoseksualistów. Określenie „potwór” nie jest przesadą – mężczyzna zabił,

a następnie wykorzystał seksualnie 17 młodych mężczyzn i chłopców.

Produkcja, choć od premiery mijają dwa miesiące, wciąż jest chętnie oglądana przez użytkowników platformy. Serial spodobał się tak bardzo, że Netflix zapowiedział kolejne dwa sezony „Potwora”. Mają opowiadać o „innych potwornych postaciach, które wpłynęły na społeczeństwo”. Pewne jest, że platforma nie popełni już „błędu”, który zaliczyła przy filmie o Dahmerze – jeśli znowu przybliży postać homoseksualną (co mało prawdopodobne), to z pewnością nie włączy serialu do kategorii LGBTQ. Serwis oznacza tagami każdy serial i film po to, aby ułatwić subskrybentom wyszukiwanie. Tak stało się również z 10-odcinkową historią Jeffrey Dahmera. Jednak już krótko po premierze, z powodu krytyki ze strony społeczności utożsamiającej się z hasłem oznaczającym „lesbijki, geje, biseksualiści, transseksualiści, queer”, serwis usunął serial z tego działu. Dlaczego? Bo o ruchu tym można pisać, mówić i kręcić filmy, ale tylko o pozytywnym wydźwięku.

PRZYJACIEL ALBO WRÓG

Serial spotkał się z krytyką anonimowych internautów. Jeden z nich

stwierdził, odnosząc się do postaci geja mordercy, że „nie jest to reprezentacja, jakiej potrzebujemy”. Z kolei występujący jako drag queen B.J. Daniels w rozmowie z portalem wisn.com stwierdził, że produkcja „fetyszyzuje ten cały okropny moment w historii Milwaukee”. „Nie powinno się na to patrzeć w ten sposób; po prostu jest to całkowicie niewłaściwe. Mam przyjaciół i znam wiele osób, które żyły w tamtym czasie i nie obejrzą tego. Nie będą płacić za to, co dosłownie rozgrzebuje groby ofiar” – stwierdził mężczyzna przedstawiany jako reprezentant społeczności LGBTQ w Milwaukee.

Najbardziej niepokoi to, że w ten sposób dochodzi do cenzurowania już nie tylko na polu interpretacji, lecz także faktów. O ile nie powinno dziwić, że globalne koncerty, w tym Netflix, chcąc kumulować zyski, podpinają się pod ruch LGBT i tym samym utrwalają jego jedynie słuszny pozytywny obraz, o tyle w przypadku Dahmera należy krzyczeć o fałszowaniu rzeczywistości. Jeffrey Dahmer był seryjnym, brutalnym mordercą. Był też gejem. Sprawy te łączą się ze sobą w bardzo prosty sposób – zabijał mężczyzn, co było dla niego jedyną drogą do osiągnięcia seksualnego spełnienia.

Tytułowy bohater serialu „Dahmer – Potwór: Historia Jeffreya Dahmera”, który zabijał w latach 1978–1991, nazywany był „kanibalem z Milwaukee”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Próbował być hetero, ale nie dało mu to satysfakcji. Z czasem popadał coraz mocniej w psychotyczne uzależnienie od zabijania. Nikt nie próbuje snuć karkołomnych teorii na temat regularnego związku homoseksualizmu z morderczymi popędami. Nie można jednak udawać, że w tym akurat przypadku związek taki nie istniał.

Co ciekawe, wystarczyło kilka głosów niezadowolonych, aby Netflix usunął serial o Dahmerze z kłopotliwej dla przedstawicieli ruchu LGBTQ kategorii. Nie były potrzebne petycja, skargi czy pospolite ruszenie obrońców wszelkich odmienności. Platforma dobrze wie, że dziś nie ma miejsca na niejasności – albo jesteś po tęczowej stronie mocy, albo jesteś wrogiem publicznym.

HOMOSEKSUALNI I RADOŚNI

W szerszym kontekście zaskakuje taka nawet chwilowa „nieprawomyślność” Netflix. Streamingowy potentat znany jest bowiem z nachalnego forsowania agendy LGBTQ w swoich produkcjach. W sieci można znaleźć wiele rankingów i zestawień „najlepszych filmów serwisu o tematyce LGBT+”. Jeden z nich stworzył serwis filmowy filmi.pl. „Platforma, która

nigdy nie wykluczała żadnej mniejszości seksualnej czy etnicznej, od początku swojego istnienia udostępniała tęczowe filmy i seriale. Co roku świętuje też Miesiąc Dumy, który jest okresem widoczności osób LGBT+. Inspiruje w ten sposób wszystkich swoich użytkowników do otwartości i tolerancji” – zachwalał filmi.pl w czerwcu platformę Netflix, która opisujące środowisko zawłaszczyła pod hasłem Miesiąc Dumy.

Jedną z polecanych pozycji jest „Ujawnienie”, czyli dokument, w którym „słynne osoby transpłciowe opowiadają o mrocznej stronie w Hollywood. Odwołując się do wielu kultowych i nagradzanych dzieł, Laverne Cox, MJ Rodriguez, Lilly Wachowski i inne transseksualne gwiazdy wyjaśniają, jak Fabryka Snów od dekad tworzy krzywdzący obraz osób transpłciowych na ekranie”. Podobną wymowę ma opisywany przez portal jako „przejmujący film dokumentalny” ubiegłoroczny „Pray Away”. Opowiada o działalności Exodus International, czyli największej i najbardziej kontrowersyjnej organizacji założonej przez byłych geów, zajmującej się terapią konwersyjną (polegającą na próbach zmiany homoseksualisty w heteroseksualistę). Rzecz jasna, jest to obraz jednoznacznie negatywny, w którym sugeruje się, że forsowanie „konwersji” to sposób na zagłuszenie w samym sobie homoseksualnych odruchów. Czyli Netflix nie tylko „wspiera” LGBTQ, lecz także piętnuje wszystkich tych, którzy nawet w najmniejszym stopniu narażają się tej tęczowo-zamordystycznej społeczności.

Kreując się na radosne i wspierające środowisko geów, lesbijek itp. Netflix, mający na ustach i sztandarach hasła o wsparciu i równości wszystkich (sic!), jest dziś de facto środowiskiem o zapędach cenzorskich, które mogą być realizowane dzięki zaangażowaniu globalnych gigantów. Współczesne społeczeństwa, a raczej ich konserwatywne części są przysłowiową żabą. Spóźniona reakcja spowodowała, że z garnka postawionego na odkręconym na full ideologicznym gazie nie da się już wyskoczyć.

Tęczowe formowanie umysłów odnosi widoczne efekty. Również polskie mainstreamowe media dołączyły do chóru oburzonych Netflixowym „nie-dopatrzeniem”. „Co prawda Dahmer wybierał swoje ofiary najczęściej wśród geów, jednak tag »LGBTQ+« ma ułatwiać mniejszościom seksualnym znalezienie

produkcji, w których są reprezentowani w pozytywny sposób, a nie jako ofiary” – stwierdza branżowy serwis Wirtualne Media. I tak pod tym hasłem znaleźć można podkategorie, np. „romantyczne filmy LGBTQ”, „nastoletni romans LGBTQ”, „filmy LGBTQ docenione przez krytyków” oraz „LGBTQ historie dla rodzin”. Serial dotyczący brutalnego mordercy tutaj po prostu nie pasuje.

Z kolei portal Spider’s Web zachwyca się ekranizacją opowieści komiksowej „Heartstopper” (szerzej na ten temat pisałam w tekście „Indoktrynacja na miękko”, „Do Rzeczy” 36/2022). To historia dwóch nastolatków, którzy dzięki nawiązaniu znajomości odkrywają swój homoseksualizm. „Okazał się zaskakująco udanym serialem, który błyskawicznie skradł serca widzów. Ta adaptacja komiksu Alice Oseman zrezygnowała z przeniesienia na ekran jego bezpretensjonalnego ciepła – to wciąż subtelna i niezmiennie uroczą opowieść, od której trudno się oderwać. Dokładnie taka, jakiej wiele i wielu z nas może w tych czasach potrzebować. Niestety, wielu podobnych seriali znaleźć nie sposób – jeśli jednak szukacie solidnej rozrywki dla i o młodzieży, z sensownie napisanym tęczowym wątkiem miłosnym (te w serialach wciąż rzadko kiedy grają pierwsze skrzypce), może znajdziecie tu coś dla siebie” – zachwala Michał Jarecki.

GEJ WYSKAKUJE Z ŁODÓWKI

Wątki LGBTQ Netflix wciska, gdzie tylko może. Pojawiają się one także w produkcjach stanowiących ekranizację klasyki literatury. Tak było z „Anią z Zielonego Wzgórza”, której serialowe wydanie zatytułowano „Ania, nie Anna”. Z ciotki Józefiny Barry uczyniono... lesbijkę. Tymczasem w żadnym miejscu książki nie pojawia się jakkolwiek sugestia na ten temat. Tematem wymagającym najwyższej uwagi, choć na osobny tekst, jest kwestia przemycania nieheteronormatywnych wzorców i postaci w produkcjach dla dzieci. W animowanym programie interaktywnym „Park Jurajski: Obóz Kredowy” pokazano dwie nastolatki, które po wyznaniu sobie wzajemnie miłości się całują.

Konkluzja, która sama się nasuwa, jest jasna: LGBT może być każdy – dziecko, nastolatek i postać literacka. Pod jednym warunkiem – że nie będzie to okrutny gej seryjny morderca.



Starcie apaszków z policją na placu Bastylli – grafika z początku XX w.

FOT. BIBLIOTHÈQUE NATIONALE DE FRANCE

Słowo „apasz” młodemu pokoleniu w Polsce dziś nie mówi zbyt wiele. Jeśli już – to mylone bywa z nazwą „Apacz”, którą ochrzczono nowoczesne amerykańskie helikoptery. Ale ta zbieżność nazw nie jest przypadkowa. To właśnie do groźnego i bojowego plemienia Apaczów z Ameryki nawiązywali francuscy dziennikarze, pisząc na początku XX w. o nowej, wyjątkowo agresywnej subkulturze przestępczej w Paryżu. Bardzo szybko sława apaszków rozeszła się po całej Europie. Wraz z nią przyszła dość niezdrowa fascynacja brutalną obyczajowością tych dzieci ulicy i ich słynnym tangiem apaszkowskim.

MIERZWA STOLICY ŚWIATA

W końcu XIX w. stolica Francji przeżywała gwałtowny rozwój. W Paryżu powstawały liczne fabryki i budowano dziesiątki tysięcy wystawnych kamienic. Francuska burżuazja, która przeżywała wówczas swoją złotą epokę, wcielała w życie hasło francuskiego polityka i prezy-

Bandyckie tango w Paryżu



Piotr Semka

Ze środowiska „opiekunów” ulicznicy wywodziło się w końcu XIX w. nowe zjawisko subkultury apaszków. Wyróżniali się okrucieństwem i łatwością zabijania szokującą nawet w tamtych brutalnych czasach

denta Adolfa Thiersa: „Bogaćcie się!”. Setki tysięcy ubogich mieszkańców i mieszkanki wsi przybywało do Paryża, który wchłaniał te masy ludzkie jak żarłoczny potwór. Jak zwykle to bywa, jedni dawali sobie radę, inni spadali w dół społecznej drabiny. O ile jednak pierwsze pokolenie przybyszów zachowywało tradycyjny kanon wartości wyniesiony z prowincji, o tyle ich dzieci bywały już zupełnie inne. Od najmłodszych lat widziały nędzę i upokorzenia pokolenia swoich rodziców. Nie chciały żyć tak jak oni, w wiecznej harówce i z wiecznym niedojadaniem. Biednych młodych ludzi ciągnęło do działania – czy to w ruchu socjalistycznym czy anarchistycznym. W wypadku młodych dziewcząt zamiast wielogodzinnej, nużącej pracy w fabrykach wołały one „karierę” prostytutek. Parę słynnych przypadków, gdy kurtyzany dzięki sprytowi i swojej urodzie potrafiły dotrzeć na pozycje luksusowych utrzymanek, przyciągało do wyboru tej drogi życiowej mnóstwo młodych dziewczyn, które zazwyczaj, zamiast piąć się w górę, trafiały pod brutalną kuratelę alfonsov. I to właśnie ze środowiska „opiekunów” ulicznicy wywodziło się w końcu XIX w. nowe zjawisko subkultury apaszów.

Historycy uznają, że termin ten spopularyzował paryski dziennikarz Victor Moris, który użył go w listopadzie 1900 r. W czasie wywiadu z pewnym inspektorem policji z podparyskiego dystryktu Belle Ville ten opisał niezwykle krwawą walkę bandytów i wypowiedział słowa: „To wyglądało zupełnie jak robota Apaczów”. Bardzo szybko ten termin zyskał ogromną popularność w paryskiej i francuskiej prasie. Sami przestępcy przyjęli go z dumą, bo także im odpowiadało wyróżnienie ich spośród tradycyjnego światka przestępczego. Gdy jeden z gangsterów, który używał pseudonimu Terror (o wyraźnie anarchistycznym odcieniu), dowiedział się o nowym określeniu, kazał wszystkim w dzielnicy nazywać swoją grupę „Apaczami z Belleville”.

WSZYSTKIE CHWYTY DOZWOLONE

Czym różniły się te nowe gangi od poprzednich grup przestępczych? Przede wszystkim była to bardzo arogancka operacja przejęcia kierownictwa nad światem występku ze strony młodych lub nawet bardzo młodych proletariuszy. Apasze wyróżniali się też skłonnością do „mołojackiej sławy” i okrucieństwem. Łatwością zabijania szokującą nawet w tamtych

brutalnych czasach.

Wywodzili się z biedniejszych paryskich dzielnic, takich jak Bastille, La Villette czy Montmartre. Apasze byli prekursorami późniejszych młodzieżowych subkultur – rockersów, tzw. czarnych kurtek czy potem skinheadów. Zabijali swoją ulubioną bronią – nożem lub pistoletem – często nawet wtedy, kiedy nie musieli tego robić. Najbardziej popularne były dwa typy noży: świeżo wówczas wynalezione sprężynowce oraz małe, ale piekielnie ostre, tzw. noże Eustache. Byli subkulturą młodzieńców, którzy żyli intensywnie, korzystali z pieniędzy, nie dbając o przyszłość, i umierali stosunkowo szybko – czy to łapani przez policję i skazywani na gilotynę, czy też wyżynani nawzajem w walkach rywalizujących grup.

Tym, co przerażało ówczesne elity Paryża, było to, że apasze nie mieli żadnych kompleksów. Atakowali bogatych „burżujów” w centrum miasta. Bardzo często zresztą odczytywano to jako element klasowej nienawiści ludzi wyrosłych w nędzy na przedmieściach, subkultury, która w rabunkach i napadach realizuje anarchistyczne hasło „grab zagrabione”. Inną charakterystyczną cechą apaszów było używanie specyficznych, rzemieślniczo wykonywanych pistoletów. Wyglądały one bardzo osobliwie. Miały krótką lufę, zakończone były ostrym nożem, a ich rękojeść tworzył kastet.

Szybko też pojawiły się nowe techniki napadania na ofiary, które przypominały



Rzemieślniczo wykonywany pistolet wykorzystywany przez apaszów
FOT. LATENTE FLICKR/WIKIPEDIA/CC-BY-SA 2.0

późniejsze techniki walk obronnych typu sambo (rosyjska sztuka walki) czy izraelska krav maga. Słynne były tzw. sztuczki apaszowskie. Przykładowo „chwyt ojca Franciszka” polegał na tym, że jeden z napastników trzymał szal za dwa końce, mijał ofiarę, po czym odwracał się i zarzucał jej szal na szyję. Szybkie duszenie powodowało, że ofiara była jednocześnie oszołomiona i nie mogła krzyczeć. W tej sytuacji do akcji wkraczał partner dusiciela i obrabiał ofiarę z portfela i zegarka. Innym apaszowskim wynalazkiem był tzw. cios czapką. Apasz, zbliżając się do swojej ofiary na chodniku, zdejmował czapkę, udając ukłon powitalny. Ale potem w ciągu ułamka sekundy wsadzał do czapki pięść i z maksymalną siłą walił w twarz. Jeśli cios był zadany w odpowiedni sposób, to ofiara padała nieprzytomna na chodnik i wtedy pozostawiało jedynie szybko zrewidować jej kieszenie. Przydatne bywało wprowadzanie tzw. zmyłek. Przestępca chwycił za rękę ofiary, ale jedynie po to, aby zmylić przeciwnika i już po chwili uderzyć z tzw. byka w spłot słoneczny albo brzuch.

Bardzo typowe dla apaszów było atakowanie w duecie. Decydujące w tym były dwie rzeczy: szybkość działania oraz to, co najbardziej przerażało bogatych mieszczan w centrum miasta – staranna charakterystyka. Apasze, którzy przybywali w najlepsze rejony Paryża, takie jak np. plac Vendonne, ubierali się w drogie, szyte u dobrych krawców surduty, wytworne muszniki i drogie szpilki z perłą do krawata. Tak ucharakteryzowany apasz nie wyróżniał się spośród tzw. dobrego towarzystwa i to zaskakiwało ofiary. Apasze wcześniej dokładnie analizowali topografię miejsc napadu, aby tuż po ataku przeciągnąć ofiarę do bramy czy krzaków i tu już spokojnie przesukać jej kieszenie. Po udanych łowach elegancko ubrani apasze wtapiali się w tłum, podczas gdy policja rozglądała się raczej za podejrzanymi ubranymi w typowe stroje z robotniczych przedmieść.



„Konferencja apaszów” – humorystyczna karta pocztowa FOT. DELCAMPE.NET



Grupa apaszów na paryskiej ulicy,
ok. 1900 r. FOT. WIKIWAND.COM/FR

Bandyci nie myśleli jednak schematycznie i potrafili przez podstawionych pośredników kupować odzież w najlepszych salonach. Natomiast u siebie na „dzielni” ubierali się według własnego dress code’u. Należały do niego chustki, które nieprzypadkowo nazwano potem apaszkami, marynarskie koszulki w paseczki, marynarki uszyte tak, by dobrze dźwigały, a jednocześnie nie zdradzały pistoletów oraz pałek, i wreszcie kraciane kaszkiety – oprychówki.

PATRONI CÓREK NOCY

Prostytucja i nadzór nad nią ze strony apaszów były aspektem działania tej przestępczej subkultury, który budził najwięcej niezadowolonego zainteresowania. Jeden z polskich żołnierzy późniejszej Brygady Karpackiej, wspominając pobyt w namiotach na pustyni, uskarżał się na plagę pustynnych kotów, które wciąż wchodziły do żołnierskich kwater. „Przypominały kochanki apaszów – im bardziej je goniliśmy, tym bardziej do nas lgnęły”.

Wspomnienia polskiego weterana pokazują, jak silnie apasze wprowadzili do europejskiej wyobraźni motyw perwersyjnych relacji między alfonsami a ich podopiecznymi. prostytutki musiały bardzo skrupulatnie rozliczać się zyskami ze swoimi patronami, a każde nieposłuszeństwo karane było czy to biciem, czy to sadystycznym oszpeceniem i wreszcie w najbardziej drastycznych wypadkach śmiercią. Racje te regulowane były w środowisku apaszów bardzo drobiazgowym kodeksem. Dobrze opowiada o tym francuski film „Złoty kask” z 1950 r. Powstał na bazie autentycznej kariery paryskiej prostytutki Amélie Élie, która obdarzała swoimi wdziękami dwóch rywalizujących liderów gangów: Mandę i Leca. Film dobrze pokazuje cały kolorystyczny świat apaszowski. Należą do niego np.



„Chwyt ojca Franciszka”. Szybkie duszenie powodowało, że ofiara była jednocześnie oszołomiona i nie mogła krzyczeć FOT. BIBLIOTHÈQUE NATIONALE DE FRANCE

praktyki wykupywania przez silniejszego gangstera kochanki od bandziora stojącego niżej w hierarchii przestępczej. W sytuacji, gdy obaj apasze byli zakochani i żaden nie chciał ustąpić drugiemu, dochodziło do pojedynku, w którym ściśle rozpisane były role między walczącymi i sekundantami. Ktoś uznawany za tzw. autorytet rzucał otwarty nóż sprężynowy na środek placu, na którym odbywał się honorowy pojedynek, i ten z apaszów, który pierwszy go chwycił, był w uprzywilejowanej sytuacji. Ale, jak pokazuje scena pojedynku w filmie „Złoty kask”, nie przesądzało to o zwycięstwie. Nie posiadając noża, można było za pomocą uników doczekać do chwili, gdy przeciwnik popełni jakiś błąd, wyrwać mu sprężynowca i załatwić rywala zaskakującym ciosem.

Wracając do Amélie Élie (1878–1933), była ona przykładem prostytutki, która dzięki trafnym romansom potrafiła wygrać przeciwko sobie kolejnych opiekunów, zakończyła karierę jako bogata właścicielka trzech domów publicznych w szacownej czwartej dzielnicy Paryża. Gdy w 1925 r. dziennikarz Jacques Roberti przeprowadził z nią wywiad jako z paryską legendą, pani Élie prezentowała się już jako wzorowa

mieszczka: „W domach publicznych »Les Rosiers« szefuję od siedmiu lat. Nigdy nie było tu żadnego skandalu, żadnego hałasu. Panowie z prefektury mogą wam to potwierdzić. Napiszcie, że jestem teraz dobrą żoną i uczciwie zarabiam na życie”. To „uczciwe życie” przerwała gruźlica, na którą pani Amélie zmarła w kwietniu 1933 r. w wieku 55 lat. Na jej pogrzebie pojawili się niemal wszyscy znani apasze, którym udało się przeżyć mafijne porachunki lat 1904–1914.

SCHYŁEK EPOPEI

Epoka apaszów nie mogła trwać w nieskończoność. Jej prągeną była anachroniczna struktura policji francuskiej, która do początku XX w. trwała w modelu opracowanym jeszcze przez Josepha Fouchem, szefa policji z epoki Napoleona. W 1907 r., przerażony rozwojem apaszowskiej ośmiornicy, ówczesny minister spraw wewnętrznych Georges Clemenceau stworzył rozstrawione później „brygady mobilne”, w Polsce znane z popularnego serialu „Brygady Tygrysa”. Niezwykle nowoczesne, korzystające z najnowszych osiągnięć nauki kryminologicznej oddziały były brutalne i działały bez pardonu. Jeśli przestępcy się nie poddawali – to byli masakrowani.

Nowe służby w niczym nie przypominały gapowatych policjantów, którzy wcześniej albo dawali się przekupić, albo byli fajtlapami. Teraz apaszowska krew lała się rynsztokami i nikt się z przestępcami nie cackał. Apasze próbowali ratować swój stan posiadania, łącząc swe siły i zapominając o dawnych porachunkach. Ale powoli najślawniejsi bandyci albo ginęli, albo byli wysyłani na wieloletnie zsyłki do Gujany Francuskiej. Ocaleni uciekali za granicę ze zdobytym majątkiem. Sprawnie zorganizowana policja obyczajowa zaprowadziła pewien porządek w dzikim świecie płatnej miłości. Pierwsza wojna światowa, która zmobilizowała większość młodych rekrutów (z których spora część nie wróciła z wojny), ostatecznie podcięła podstawy niegdyśjszej apaszowskiej potęgi. A pozostała jedynie pikantna legenda postaci w stylu Amélie Élie i apaszowskie tango, w którym brutalność miesza się ze zmysłowością.

Nieprzypadkowo Ewa Śnieżanka, polska piosenkarka, śpiewała w latach 70.:

**Warszawskie nowe tango, tango, tango
Nieznane gangom tango, tango, tango
Nie żadne apaszowskie.**

© Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LISICKIEGO

W4UA



SUMMIT

W4UA

WORLD FOR UKRAINE



7-9 grudnia 2022

G2A Arena, Rzeszów-Jasionka

www.w4ua.com



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

„Nie depczcie...”

Świadome i celowe niszczenie pamiątek przeszłości jest prawie tak stare jak dzieje ludzkości. W ostatnich latach niszczycielska fala dotarła również do Polski. Przyczyny są zawsze takie same: polityczne, religijne, ideologiczne oraz wandalizm. Jeśli jest to zrzucanie ideologicznego jarzma podczas znoszenia obcej okupacji, to całkiem zrozumiałe. Tak było w II RP zaraz po odzyskaniu niepodległości po 1918 r. Polska była bardzo często areną takich działań jak np. usunięcie pomnika Murawiowa – Wiesziatela czy Katarzyny II w Wilnie oraz rozebranie soboru św. Aleksandra Newskiego w Warszawie. Tak było też w Polsce po 1989 r. (np. usunięte zostały pomniki „utrwalaczy władzy ludowej” i Feliksa Dzierżyńskiego w Warszawie). Po wybuchu obecnej wojny rosyjsko-ukraińskiej dokończony został proces usuwania symboli sowieckiej okupacji.

Polskie pomniki systematycznie niszczyli Niemcy podczas okupacji 1939–1945. Robili to Sowieci podczas okupacji 1939–1941 i po 1944 r. Robiła to „rodzima” komuna w Polsce Ludowej po 1944 r.

W świecie najgłośniejszym aktem barbarzyństwa pomnikowego było wysadzenie wspinających posągów Buddy przez talibów w Bamianie (Afganistan) w 2001 r.

W ostatnich latach nasiliły się akty niszczenia pomników w Europie Zachodniej i przede wszystkim w USA. Miały one charakter ideologicznego barbarzyństwa. By co mogło

być przyczyną niszczenia pomnika Tadeusza Kościuszki w USA (bohatera tego kraju) – zdecydowanego przeciwnika niewolnictwa? Ta fala dotarła również do Polski i dotknęła zarówno pomników Żołnierzy Wyklętych (w tym konkretnych osób, np. Danuty Siedzikówny „Inki”), jak i zabytkowych obiektów sakralnych.

Trudno mówić o spontaniczności niszczytelstwa, skoro nie były to akty jednostkowe.

W 1917 r. prof. Tadeusz Zieliński opisał powstanie „Komisji do Niszczenia Pomników” w rewolucyjnej Rosji. Mało znaną sprawą jest budowanie nowych pomników przez ich niszczytelców. Tak było np. w Rosji Sowieckiej, gdzie 11 sierpnia 1918 r. za inicjatywy komisarza Lejba Bronsztejna (Lwa Trockiego) postawiono pomnik Judasza Iskarioty! Miało to miejsce na terenie prawosławnego klasztoru w Swiażysku nad Wołgą, gdzie wcześniej rozstrzelano wszystkich zakonnic i zakonników.

Obecna opozycja w Polsce nie kryje swych zamiarów usuwania śladów obecnej władzy. Adam Asnyk w wierszu „Do młodych” prosił:

**Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze
wzniesić:
Na nich się jeszcze święty ogień
żarzy,
I miłość ludzka stoi tam na
straży,
I wy winniście im cześć!**

Czy Asnyk będzie wystuchany? Olbrzymia większość potencjalnych niszczytelców nigdy o nim nie słyszała. © ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Finanse autora „Awantury o Basię”

Choć Kornel Makuszyński był jednym z najlepiej zarabiających polskich pisarzy, to w swojej twórczości lubił pozować na „chudego literata”. Zgodnie bowiem z polską tradycją pisarz nie powinien się chlubić zamożnością, którą zawdzięczał własnemu talentowi. Najlepiej gdyby mieszkał na poddaszu, przymierał głodem i dogorywał na suchoty.

„O sobie pisał zawsze – wspominał Antoni Słonimski – jako o poecie, który chodził bez butów. Dostał był w tym czasie w dożywociu pięćset złotych miesięcznie jako nagrodę miasta Poznania. Napisałem wtedy: »Nie będzie już Kornel biadał, że musi wrócić złapać na święta, bo nie ma na indyka. Nie przeczytamy już nigdy, że Kornel zemdleł, gdy zobaczył stuzłotówkę. Z sercem w herbie, w butonierce i w brzuchu nie będzie się już musiał ukrywać z piciem szampana«”.

Gdy przeciętny nakład książki wynosił około 3 tys. egzemplarzy, „Bezgrzeszne lata” w kilkanaście miesięcy osiągnęły sprzedaż 30 tys. Natomiast „Rzeczy wesołe” do 1927 r. doczekały się aż ośmiu wydań, a warto dodać, że zbiory piosenek żołnierskich przygotowane przez Makuszyńskiego wydrukowano w liczbie 200 tys. i nakład został wyczerpany. Natomiast później przyszły fantastyczne sukcesy „Koziołka Matołka” i „Małpki Fiki-Miki”.

Triumfy książek dla dzieci wcale nie oznaczały, że Maku-

szyński porzucił literaturę dla nieco starszych odbiorców. Ten człowiek był pracoholikiem i w latach 30. wydawał z reguły co najmniej dwie pozycje rocznie. Właśnie wówczas ukazały się jego najlepsze książki dla młodzieży: „Panna z mokrą głową”, „Awantura o Basię” oraz „Szatan z siódmej klasy”. Ostatnia z nich, opublikowana w 1937 r., do wybuchu wojny doczekała się czterech dodruków, a przy okazji zainteresowali się nią filmowcy.

Ekranizacja miała być superprodukcją, gdyż reżyserią i scenariuszem zajęli się Konrad Tom, muzykę skomponował Henryk Wars, a w obsadzie znaleźli się Mieczysław Ćwikliński, Jan Kurnakowicz i Józef Węgrzyn. Pisarz oddał prawa do powieści za stosunkowo niewielką kwotę, zapewne mając nadzieję, że ewentualny sukces wywoła zainteresowanie filmowców jego innymi utworami. Dotychczas bowiem nie miał szczęścia do X Muzy, a poza tym uważał, że zarabia wystarczająco dużo, by pozwolić sobie na coś na kształt promocji.

Niestety, chociaż zdjęcia ukończono, film przepadł podczas wojny i na kolejną ekranizację trzeba było poczekać jeszcze wiele lat (premiera 5 listopada 1960 r. – debiut Poli Raksy). Można też żałować, że niedokończona „Drugie wakacje szatana” do dzisiaj w ogóle nie zostały wydane, o sfilmowaniu już nie wspominając... © ©

Poranny program informacyjno-publicystyczny
na żywo. Najważniejsze wydarzenia dnia, analizy
gospodarcze, prognoza pogody, przegląd prasy.
Zacznij dzień z Telewizją Republika.



Polska

NA DZIEŃ
DOBRY

od poniedziałku
do soboty
7:35

zaprasza:

Aleksander Wierzejski



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.



Wojciech Golonka

Okno korzyści politycznych, które można było osiągnąć w związku z zaangażowaniem Ameryki w wojnę na Ukrainie, zacznie ulegać pewnemu zawężeniu

Jeśli w związku z wyborami uzupełniającymi w Stanach Zjednoczonych podstawowym pytaniem dla Polski, Ukrainy i Rosji była kwestia wpływu ich wyników na dalsze wsparcie USA dla walczącej Ukrainy, to amerykańskich wyborców zelektryzowały przede wszystkim rodzime wątki wysokiej inflacji oraz polaryzacja wokół kwestii aborcji. Zaskoczeniem, wbrew sondażom, okazała się kłapa zapowiadanej „czerwonej fali” republikanów, ale to przede wszystkim dotychczasowy brak definitywnych wyników wyborów, które miały miejsce 8 listopada, budzi najwięcej pytań – wszak upadek wiarygodności amerykańskiej demokracji może być długofalowo jeszcze ważniejszym tąpnięciem niż ewentualna korekta polityki USA w kwestiach zagranicznych.

Sledząc komentarze poprzedzające wybory, można było dojść do wniosku, że politycznej zmiany w USA jeszcze bardziej od Amerykanów wyczekują z niecierpliwością Rosjanie. Dmitrij Miedwiediew, jeden z czołowych propagandystów Kremla, a zarazem bliski współpracownik Władimira Putina i zastępca przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa, w wyborczy wieczór dał upust swym nadziejom: „Pierwsze wyniki wyborów w USA i wczorajsze histeryczne »ultimatum« ukraińskiego lidera w zielonej niepranej koszulce potwierdzają, że świat dziadka Bidena odchodzi, poparcie dla kursu USA na świecie spada, a poleganie na twardogłowym »hetmanie« było dużym błędem”. Abstrahując od rozczarowania wyborczego, którego w międzyczasie musiał doświadczyć były prezydent Federacji Rosyjskiej, nie wspominając o upokorzeniu wojsk rosyjskich ewakuujących się z Chersonia, jego nadzieja nie była bynajmniej zupełnie bezpodstawna. Wszak duża część kampanii wyborczej w USA była spolaryzowana właśnie wokół galopującej inflacji, a część republikanów ochoczo i z przekonaniem podkreślała fakt, że odpowiedzialna za nią jest administracja



Po wyborach w Ameryce

prezydenta Joe Bidena, która śle miliardy dolarów z kieszeni amerykańskich podatników na Ukrainę, na wojnę, która nie ma nic wspólnego z bezpieczeństwem Amerykanów, podczas gdy na południowej granicy USA mają miejsce dantejskie sceny napływu nielegalnych imigrantów. Między wierszami można było więc wyczytać, że przejmując obie izby Kongresu, republikanie w jakimś stopniu zakręcą kurek z pieniędzmi dla Ukrainy i skupią się na właściwych im priorytetach, co znana ze swego bezpośredniego języka republikańska kongresmenka Marjorie Taylor Greene wyraziła bardzo dosadnie, kiedy tuż przed wyborami Stany Zjednoczone ogłosiły kolejny pakiet pomocy wojskowej dla Ukrainy: „Za republikanów żaden złamany grosz nie pójdzie na Ukrainę!”.

LICZENIE GŁOSÓW

W rzeczywistości sama przegrana demokratów w tych wyborach na półmetku, kiedy wybiera się jedną trzecią Senatu i całą Izbę Reprezentantów (kadencja amerykańskiego senatora to sześć lat, kongresmena – dwa lata), nie miałyby w sobie nic nadzwyczajnego – od 1860 r. 90 proc. wyborów „mid terms” kończyło się przegraną obozu prezydenckiego. Zaskakuje zatem,

że mimo negatywnej sytuacji gospodarczej i poparcia dla Joe Bidena, oscylującego od czerwca na rekordowo niskim poziomie, demokratom udało się w bardzo dużej mierze zminimalizować straty wyborcze, zachowując na razie Senat i nie dając republikanom komfortowej większości w Izbie Reprezentantów. Ma się rozumieć, liczenie głosów w nieskończoność (aż do skutku?) stawia pod dużym znakiem zapytania wiarygodność amerykańskiej demokracji – aż połowa ankietowanych przed wyborami była przekonana, że w ich trakcie dojdzie do fałszerstw wyborczych. I choć jest to wewnętrzna sprawa Amerykanów, to napięcia na tym tle mogą mieć szersze oddziaływanie – przypomnijmy, że USA są przecież krajem, który zrodził się z buntu wobec korony brytyjskiej, a społeczeństwo amerykańskie jest obecnie spolaryzowane jak nigdy dotąd, w tym światopoglądowo. Pewien mem liberałów z 2020 r. – grafika ukazująca stany rządzone przez demokratów przyłączone do „Stanów Zjednoczonych Kanady”, a stany republikańskie tworzące odrębną „Krajinę Jezusa” – zyskał obecnie popularność wśród konserwatystów. Ameryka nie tyle trzeszczy w szwach, ile pokazuje wyraźnie, gdzie te szwy się znajdują. W każdym



FOT. ROBERTE BUNATY/AP/IST NEWS

pieniędzy przez władze ukraińskie na rzecz demokratów), a przede wszystkim ustalenia w tej kwestii będą elementem szerszej układanki rozgrywek amerykańskiej polityki krajowej, np. uchwalania federalnego budżetu, kiedy Joe Biden będzie siłą rzeczy musiał dogadać się z republikanami, czyli pójść na ustępstwa. Postawę tę streścił jeszcze przed wyborami Kevin McCarthy, obecnie kandydat Partii Republikańskiej na speakera Izby Reprezentantów (odpowiednik polskiego marszałka Sejmu), twierdząc, że izba nie będzie „podpisywać czeków in blanco” dla prezydenckiej polityki ukraińskiej. Z drugiej strony to właśnie ludzie pokroju McCarthy’ego, rasowi i zawodowi politycy postrzegani jako część establishmentu, będą gwarantem, że nie dojdzie do blokady tej polityki (kilku republikańskich deputowanych zagroziło nawet, że jeśli partia nie wskaże McCarthy’ego jako kandydata na speakera, to oni dogadają się w tej kwestii z demokratami, co wiele mówi na temat tąpnięć w partii).

Choć prawdą jest, że „jastrzębie pokoju” również uzyskały swą reprezentację w izbie, to nie doprowadzą one do nagłej zmiany amerykańskiego kursu – natomiast pewna istotna zmiana i tak już ma miejsce, co wynika z samej ostrożności Białego Domu wobec zmieniającego się bilansu sił politycznych w kraju bądź z dostosowywania się do realiów tej wojny w ogóle.

Otóż ze strony USA pojawiły się na nowo sygnały „z samej góry”, że Ukraina powinna wykazać większe otwarcie na negocjacje dyplomatyczne z Rosją. I nie było to tylko czysty przekaz przedwyborczy, mający chwilowo stonować niechęć wyborców zmęczonych wojną na Ukrainie, a przede wszystkim sytuacją ekonomiczną w kraju. W połowie listopada gen. Mark Milley, szef połączonych sztabów amerykańskiej armii, powiedział, że jest to wojna, której nie da się rozstrzygnąć militarnie, a w konsekwencji, ugrawszy obecnie optymalne położenie w terenie, strona ukraińska powinna wykorzystać zimę właśnie do negocjacji dyplomatycznych z atutem przeprowadzonej kontrofensywy.

Słowa Milleya są o tyle istotne, że nie jest on politykiem (swe stanowisko piastował jeszcze za czasów administracji Trumpa), stąd warto odnotować, że najwyższy rangą amerykański wojskowy, który z pewnością najlepiej jest poinformowany o sytuacji, który odpowiada za pomoc natury militarnej dla walczącej

Ukrainy i wie, że nawet możliwości USA są w tej kwestii coraz bardziej ograniczone – nie wierzy, że jest ona w stanie zupełnie wyprzeć Rosję ze swego terytorium. Jego wypowiedź oczywiście wywołała gniew ukraińskich władz, który z kolei starali się studzić przedstawiciele amerykańskiej administracji, niuansując, a nawet odcinając się od wypowiedzi Milleya. Ale fakty są takie: wbrew swej dotychczasowej twardej linii amerykańskie władze zaczęły przejawiać pewną elastyczność względem sytuacji i choć następujący obraz nie jest w pełni adekwatny (a wobec postępów ukraińskiej armii w terenie może dla wielu być nawet niezrozumiały), to wojna na Ukrainie przypomina nieco dwóch siłaczy, którzy złapali się za łby w patowym uścisku i muszą obecnie jakoś się wyzwolić z tej sytuacji. Tymi siłaczami są oczywiście Waszyngton i Moskwa, niezależnie od tego, jak bardzo ta druga została przy okazji pokiereszowana, na własne życzenie zresztą. Nie, nadzieje Dmitrija Miedwiediewa nie okazały się całkowicie płonne, choć bez większego związku z samymi wyborami w USA.

W końcu, z punktu widzenia relacji polsko-amerykańskich, wybory te też nie przyniosą wyraźnych zmian – republikańska frakcja nieinterwencyjonistyczna nie zdominuje bynajmniej izby, choć trzeba odnotować, że jej głos stanie się bardziej słyszalny i będzie starała się narzucić w jakimś stopniu swój głos w najbliższej kampanii prezydenckiej. Ale prawdą jest, że wobec braku zupełnie swobodnych rąk amerykańskiej administracji ze strony Kongresu okno korzyści politycznych, które można było osiągnąć w związku z zaangażowaniem Ameryki w wojnę na Ukrainie, zacznie ulegać pewnemu zawężeniu.

Element natomiast, którego nie można bagatelizować, to narracja i nadzwyczajne wydarzenia, których administracja Joe Bidena będzie tak czy siak potrzebowała do budowania poparcia w Kongresie dla swych kolejnych rachunków. Jak wiadomo, w USA poparcie dla wydatków wojennych czy udziału w wojnach w ogóle buduje się w oparciu o silne emocje i poczucie zagrożenia; jak wiadomo również, dyplomacja amerykańska ma wyraźną tendencję do traktowania swych partnerów dość przedmiotowo. Troska o zachowanie naszej podmiotowości w tej narracji, niezależnie od tego, czy będzie ona dla nas w danej chwili bardziej korzystna czy nie, nie będzie zatem zbyt cenna. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

razie obecnie na rewolucję powyborczą się nie zanosi, porachunki wewnątrz Partii Republikańskiej, zrzucania na siebie winy za brak odbicia obu izb Kongresu, trwają w najlepsze, a oficjalny już start wyborczy Donalda Trumpa, który ogłosił, że będzie ubiegał się o reelekcję w przyszłym roku, zapowiada dodatkowy element polaryzacji wewnątrzpartyjnej i ogólnokrajowej.

CO Z POMOCĄ DLA UKRAINY?

Niemniej 15 listopada Biały Dom poprosił Kongres o zielone światło dla kolejnej gigantycznej pomocy dla Ukrainy, tym razem pakietu o wartości 37 mld dol. (ostatni wynosił 40 mld) – Kongres ma czas rozpatrzyć ten wniosek do 16 grudnia. Biorąc pod uwagę, że w styczniu zbierze się nowa Izba Reprezentantów, kontrolowana najprawdopodobniej przez republikanów, dla administracji Joe Bidena jest to rzeczywiście ostatni dzwonek, aby uzyskać finansowanie o tej skali. Zmiana barw w amerykańskim Kongresie nie oznacza jednak, że prezydent Biden rzeczywiście nie uzyska już „złamanego grosza” dla Ukrainy – nie będą to natomiast dotychczasowe „astronomiczne” kwoty, ich wydatkowanie będzie podlegać ściślejszej kontroli (nie brakuje obecnie w USA oskarżeń o pranie



Piotr Włoczyk

Ron DeSantis wyrasta na coraz poważniejszego rywala Donalda Trumpa w Partii Republikańskiej. Pierwsze komentarze byłego prezydenta pokazują, że będziemy świadkami politycznej walki na noże

Club for Growth (Klub na rzecz wzrostu) stawał murem za Trumpem w obu ostatnich wyścigach prezydenckich. Ta konserwatywna organizacja lobbingowa wydaje dziesiątki milionów dolarów na wsparcie kandydatów, którzy opowiadają się za niskimi podatkami i tworzeniem klimatu przyjaznego dla biznesu. W zeszłym tygodniu Donald Trump musiał przeżyć nie lada szok, gdy zobaczył, co szef Club for Growth opowiada o nim w mediach.

David McIntosh przekazał portalowi „Politico” sondaże zamówione przez jego organizację, z których ma wynikać, że w Iowa i New Hampshire, czyli w pierwszych stanach, w których odbędą się najbliższe republikańskie prawybory, Donald Trump zajmuje drugie miejsce. Na szczycie podium znalazł się w tych badaniach 44-lletni Ron DeSantis, gubernator Florydy, który zmiotł w ostatnich wyborach swoich demokratycznych przeciwników w tym stanie i staje się coraz większą gwiazdą Partii Republikańskiej.

„Republikanie muszą się zjednoczyć za silnym kandydatem i za programem, który pokazuje wyborcom prawdziwe rozwiązania, dzięki którym uda się pokonać w 2024 r. Bidena i demokratów – powiedział »Politico« McIntosh. – Nasze sondaże pokazują, że republikańscy wyborcy widzą, iż zachowanie Trumpa wobec innych republikanów jest przeciwnie skuteczne i uderza w jego poparcie”. Również w kluczowych stanach Georgia i Floryda według sondaży Club for Growth DeSantis ma mieć sporą przewagę nad Trumpem.

– Ostatnie wybory połówkowe były wielkim zwycięstwem DeSantisa i ogromną porażką dla Trumpa. Myślę, że Trump obawia się DeSantisa, i prawdę mówiąc, ma ku temu wszelkie powody

Desant z Florydy



FOT. GETTY IMAGES/OCEANO IMAGES

– mówi „Do Rzeczy” prof. David Jackson, politolog z Bowling Green State University w Ohio. – DeSantis to spore zagrożenie dla Trumpa. Jest gubernatorem dużego stanu, gdzie właśnie uzyskał reelekcję z ogromną przewagą głosów. Można o nim powiedzieć, że to właściwie Trump bez całego „bagażu” Trumpa. DeSantis wprowadza w życie politykę Trumpa i może być dla niego realnym zagrożeniem w walce o nominację w 2024 r.

WOLTA MURDOCHA

Zdecydowane odwrócenie się ważnego republikańskiego donatora to tylko kolejny z wielu ciosów w polityczne ambicje Donalda Trumpa. Ostatnie wybory

połówkowe miały być „czerwoną falą” i republikanie mieli z hukiem odbić cały Kongres, zyskać tam znaczącą większość, a także rozgromić przeciwników w poszczególnych stanach. Tymczasem większość najważniejszych kandydatów wspieranych przez Trumpa poniosła klęskę. Szczególnie bolesna była ona w przypadku Mehmeta Öza, który z poparciem Trumpa startował w Pensylwanii w wyścigu do Senatu. Jego przegrana z demokratą Johnem Fettermanem, który wiosną przeszedł udar, przez co prowadził dosyć ograniczoną kampanię, została powszechnie uznana za klęskę samego Trumpa. Szczególnie zabołeć musiało byłego prezydenta to, jak potraktował

go Rupert Murdoch, miliarder władający imperium medialnym, w którego skład wchodzi m.in. Fox News, „The Wall Street Journal” oraz „The New York Post”. Media należące do Murdocha coraz bardziej dystansują się od Trumpa, obarczając go winą za słaby wynik republikanów. Najbardziej widoczne było to w przypadku „The New York Post”. Tabloid zakpił sobie z Trumpa, przedstawiając go na pierwszej stronie jako głupka, któremu nic nie wychodzi. Równolegle media Murdocha ewidentnie promują teraz DeSantisa, a sam magnat medialny miał ostrzec Trumpa, żeby nie liczył na jego pomoc w kolejnej kampanii wyborczej. Mimo to 45. prezydent USA w ostatni wtorek potwierdził, że w 2024 r. znów zamierza się ubiegać o prezydenturę.

Widać, że Trump alergicznie reaguje na sukcesy DeSantisa. „Powiedziałbym wam o nim rzeczy, które nie są zbyt pochlebne. Wiem o nim więcej niż ktokolwiek inny, może poza jego żoną” – powiedział Trump na temat DeSantisa w wieczór wyborczy. Oliwy do ognia dołączyła synowa Trumpa Lara Trump, wypowiadając słowa, które zostały powszechnie zinterpretowane jako ostrzeżenie wysłane przez pośrednika. „Mogę wam powiedzieć, że prawyborcy to bardzo brudna i brutalna walka – powiedziała Lara Trump tuż po wyborach. – Czy nie byłoby ładnie z jego strony, i myślę, że dobrze o tym wie, gdyby poczekał sobie do 2028 r.?”

Gubernator Florydy nie zadeklarował jeszcze, czy faktycznie będzie się chciał ubiegać o prezydenturę już w 2024 r., ale widać, że bardzo wielu konserwatywnych wyborców oraz sam establishment Partii Republikańskiej zmęczony Trumpem czekają na ten moment. O ile jeszcze w 2018 r. DeSantis z ogromnym trudem – z pomocą Donalda Trumpa – wywalczył fotel gubernatora (zdobył ledwie 0,4 proc. więcej od swojego demokratycznego rywala), to w tym roku już absolutnie zdeklasował konkurencję. Obecny gubernator wygrał różnicą prawie 20 punktów procentowych, a prowadzeni przez niego republikanie z Florydy zmieśli konkurencję w wyborach do stanowej legislatury, zgarniając 20 miejsc wobec ośmiu mandatów uzyskanych przez demokratów (dwa lata temu stosunek ten wynosił 16 do 11). Floryda – stan, w którym Donald Trump ma swoją słynną posiadłość Mar-a-Lago – za sprawą DeSantisa najwyraźniej

przestaje być tzw. swing state i staje się coraz bardziej czerwona.

Ogromną rolę odegrała w tym polityka covidowa DeSantisa, który trzymał swój stan z daleka od lockdownów i sprzeciwiał się wszelkim przymusom szczepienia oraz noszenia maseczek. Co ciekawe, Floryda pod względem przypadków śmierci na COVID wypadła w statystykach właściwie tak samo jak stan Nowy Jork, w którym wielokrotnie wprowadzono dotkliwe lockdowny i nakaz noszenia maseczek (odpowiednio 384 i 377 przypadków śmierci na 100 tys. mieszkańców). Floryda stała się w USA znana jako swego rodzaju azyl dla ludzi, którzy mają już dosyć walki z COVID

Media należące do Ruperta Murdocha coraz bardziej dystansują się od Trumpa, ewidentnie promują teraz DeSantisa

aż la Chiny. Głośno było w tym kontekście choćby o gwiazdzie Partii Demokratycznej Alexandrii Ocasio-Cortez, którą w 2021 r. przyłapano na odpoczynku na Florydzie bez maseczki, podczas gdy ona sama wzywała mieszkańców Nowego Jorku do poddania się temu uciążliwemu obowiązkowi w imię wspólnego dobra. DeSantis śmiał się wówczas, że Floryda to faktycznie fantastyczne miejsce na odpoczynek dla wszystkich Amerykanów, również dla zjadających krytyków liberalnej polityki wobec pandemii.

ANTYKOMUNISTA

Gubernator Florydy dał się przez ostatnie cztery lata poznać również jako człowiek, który dba o odpowiedni klimat dla biznesu, a także sprzeciwia się szaleństwu skrajnej lewicy, która chce zaszczepić białym niechęć do własnego koloru skóry. Ważnym elementem jego strategii politycznej jest również podkreślanie konieczności zabezpieczania granic przed nielegalnymi imigrantami. Wraz z gubernatorem Teksasu Gregiem Abbottem zorganizował on akcję wysyłania nielegalnych imigrantów do północnych stanów rządzonych przez demokratów, by pokazać reszcie Amerykanów hipokryzję demokratycznych elit. Hasło „nikt nie jest nielegalny” dobrze

brzmi w momencie, gdy imigranci bez wiz żyją w stanach południowych. Gdy jednak przetrucani są na północ, nagle demokratyczni politycy stwierdzają, że ich stany nie są na to przygotowane, i sami starają się pozbyć tych ludzi, przewożąc ich gdzie indziej.

Poza tym DeSantis reprezentuje wartości, które są bliskie wszystkim konserwatystom – podkreśla wagę rodziny (sam jest przykładnym mężem i ojcem), sprzeciwia się aborcji rozumianej jako prawo człowieka, a także ma niezwykle krytyczny stosunek do marksistowskiej ideologii. W tym roku gubernator ogłosił, że każdy 7 listopada (rocznica wybuchu rewolucji październikowej) będzie obchodzony na Florydzie jako Dzień Ofiar Komunizmu. W publicznych szkołach mają się tego dnia odbywać specjalne zajęcia, na których nauczyciele będą tłumaczyć uczniom, czym jest komunizm i do jakich tragedii doprowadziła ta ideologia.

Gubernator Florydy na razie oszczędnie komentuje złośliwości Trumpa, który zaczął nawet wyśmiewać jego nazwisko. „Skupiamy się na rezultatach i przywództwie. Niech każdy spojrzy sobie na tabelę wyników z ostatniego wtorku [gdzie odbyły się wybory – przyp. P.W.] – powiedział DeSantis w kontekście komentarzy Trumpa. I dodał, że przywykł już do ataków politycznych i takie działania traktuje po prostu jak niewiele znaczący „hałas”.

Znawcy amerykańskiej polityki są dosyć zgodni, że o ile w prawyborach Partii Republikańskiej DeSantis – gdyby zdecydował się kandydować już w 2024 r. – miałby spore problemy z pokonaniem Trumpa, który wciąż ma rzeszę wiernych fanów, o tyle jego szanse pokonania kandydata demokratów wyglądają już znacznie lepiej.

– Jeżeli prawyborcy będą wyglądały tak jak w 2016 r., gdy Trump miał wielu kontrkandydatów, to DeSantis może mieć spore problemy. Rozdrobnienie będzie sprzyjało byłemu prezydentowi – mówi „Do Rzeczy” prof. David Jackson. – Jednak na poziomie ogólnokrajowym demokraci powinni się bać DeSantisa bardziej niż Trumpa. Udało im się go pokonać, podczas gdy DeSantis będzie miał przewagę świeżości i na pewno będzie budził zainteresowanie. Republikanie i wyborcy niezależni, których raził Trump, mogą zupełnie inaczej spojrzeć na kartę wyborczą, jeżeli będzie na niej DeSantis.

Kijowskie ciemności

Kijowianie pozostają w stolicy i próbują przetrwać w coraz trudniejszych warunkach. Rytm ich codziennego życia wyznaczany jest przez grafik wyłączeń prądu FOT: JEFF J MITCHELL/GETTY IMAGES



Maciej Pieczyński

Brak prądu, ogrzewania, Internetu, ciepłej wody. Nieustanne zagrożenie atakami z powietrza. W perspektywie – możliwy całkowity blackout i ewakuacja. Być może emigracja do Polski. Tak wygląda rzeczywistość mieszkańców Kijowa

Rosjanie, nie mogąc podbić Ukrainy, próbują ją zniszczyć. Zmasowane ataki z powietrza przy użyciu rakiet i dronów to coraz częściej stosowana przez Moskwę taktyka. Jedyna, za to skuteczna odpowiedź na zwycięstwa Ukraińców. We wrześniu Rosjanie ponieśli dotkliwą klęskę w obwodzie charkowskim. W październiku uszkodzony został most Kerczeński. Zemstą Putina był największy od początku pełnowymiarowej wojny atak rakietowy na infrastrukturę energetyczną na terenie właściwie całego kraju. W listopadzie Rosjanie stracili Chersoń – jedyne zdobycie po 24 lutego miasto obwodowe – wraz ze strategicznie kluczowym przyczółkiem na lewym brzegu Dniepru. Rosjanie znów odpowiedzieli uderzeniem w infrastrukturę i cywilów. 15 listopada po raz kolejny doszło do najbardziej zmasowanego od początku inwazji ataku z powietrza.

Na 90 rakiet udało się zniszczyć aż 70, ale pozostałe dokonały spustoszenia. Skutkiem były przerwy w dostawie prądu w 18 obwodach. Światło zgasło w domach 7 mln Ukraińców. W tym ponad połowy kijowian. Przy okazji zbłąkana rakiet spadła na terytorium Polski, zabijając dwie osoby w przygranicznej miejscowości Przewodów.

Stolicy od wielu miesięcy nie zagraża rosyjskie oblężenie. Ale na ulicach całkowicie bezpiecznie nie było w zasadzie ani razu po 24 lutego. W ostatnich tygodniach coraz częściej na Kijów spadają rosyjskie pociski. 5 listopada mer Witalij Kliczko stwierdził, że w mieście może zabraknąć prądu, ogrzewania i wody. Zapelował do mieszkańców, aby rozważyli ewentualność czasowego wyjazdu poza stolicę – do budynków, które posiadają autonomiczne źródło ogrzewania i ujęcie wody. Dzień później władze Kijowa

przyznały, że nie wykluczają ewakuacji miasta, jeśli dojdzie do całkowitej utraty systemu zasilania. Każdy kolejny zmasowany atak rakietowy zwiększa takie ryzyko. W takim przypadku część ewakuowanych mieszkańców wyjedzie do miejscowości w mniejszym stopniu uzależnionych od infrastruktury wodociągowej, ciepłowniczej czy energetycznej. Ale spora grupa zapewne wyemigruje do Polski i innych krajów UE. Szczególnie że ostrzał rakietowy na terenie całego kraju po raz kolejny pokazuje, iż nie ma na Ukrainie terenów bezpiecznych. Trzeba zatem brać pod uwagę kolejne fale uchodźców wojennych.

POD OSTRZAŁEM I BEZ PRĄDU

Tymczasem kijowianie pozostają jednak w stolicy i próbują przetrwać w coraz trudniejszych warunkach. Rytm ich codziennego życia wyznaczany jest przez grafik wyłączeń prądu. – Mamy rozpiskę, z której dowiadujemy się, o której godzinie w jakiej dzielnicy wyłączają światło. Zgodnie z tym grafiką budzimy się, żeby zdążyć wziąć prysznic, przygotować jedzenie. Również według rozpiski chodzimy na zakupy, bo bez prądu sklepy nie działają – mówi „Do Rzeczy” Olha, mieszkanka Kijowa, reżyser programów w jednej z ukraińskich telewizji. Naszą rozmowę, przeprowadzoną 15 listopa-

da, przerywa ostrzał raketowy Kijowa. – Przepraszam, odezwę się później, bo właśnie pocisk trafił w sąsiedni blok – informuje mnie Olha. Do tematu wracamy godzinę później. Kijowianka nie panikuje, bo do życia w permanentnym zagrożeniu z powietrza jest przyzwyczajona. Tak samo, jak przywykła do planowych i awaryjnych wyłączeń prądu. A nawet do braku ogrzewania, które tymczasem działa w Kijowie tak jak prąd – czyli nie zawsze. – Jest prąd, jest ogrzewanie. Nie ma prądu, nie ma ogrzewania – mówi Olha.

– Prąd wyłączają zazwyczaj trzy razy dziennie na kilka godzin. Nie mamy tego za złe władzom, bo wiemy, że te planowe wyłączenia są konieczne. Poza tym za każdym razem jesteśmy o tym informowani – mówi „Do Rzeczy” Julia, dziennikarka z Kijowa. Jak jednak przyznaje, przerwy w dostawach prądu są bardzo uciążliwe. – W ostatni weekend zrobiło się bardzo zimno, temperatura spadła niemal do zera. Poszłam do centrum handlowego kupić czapkę. Ledwo doszłam, rozległ się alarm przeciwlotniczy. Na jego czas, rzecz jasna, centrum zamknęli. A kiedy alarm się skończył, już nie otworzyli sklepów, bo akurat według grafiku zaczęło się planowe wyłączenie prądu. Znowu trzeba było czekać trzy godziny – opowiada Julia. – Trzeba za każdym razem sprawdzać dokładnie grafik, żeby nie wybrać się do sklepu w godzinach, kiedy planowo jest zamknięty – dodaje.

Julia dorabia jako korepetytor języka angielskiego. Zajęcia prowadzi w formie zdalnej. W większości tak właśnie działają dziś szkoły na Ukrainie – lekcje odbywają się w kontakcie bezpośrednim tylko wówczas, jeśli placówka wyposażona jest w odpowiednio przygotowany schron przeciwlotniczy mogący pomieścić uczniów i nauczycieli. Nawet jednak zdalna forma w obecnych warunkach bywa bardzo trudna technicznie. – Za każdym razem, planując spotkanie on-line, wysyłamy sobie nawzajem z uczniem swoje grafiki wyłączeń światła, żeby się zsynchronizować i połączyć wtedy, kiedy oboje mamy prąd – mówi korepetytorka.

CIOS W GOSPODARKĘ

Brak energii elektrycznej to ogromne utrudnienie dla biznesu. Tej tematyce obszerny artykuł poświęciła ukraińska agencja UNIAN. „Ledwo co przedsiębiorcy otrząsnęli się z szoku po wybuchu pełnowymiarowej wojny, przyzwyczaili się do pracy w nowych realiach, przenieśli biz-

nes do mniej zagrożonych regionów albo w ogóle zaczęli od zera, a tu pojawił się nowy problem – planowe wyłączenia prądu” – pisze autorka tekstu Kateryna Żyrij. Według ekspertów – a są to oceny sprzed 15 listopada – zniszczeniu uległo 40 proc. ukraińskiej infrastruktury energetycznej. Od października Ukraińcy powoli przyzwyczajają się do życia bez prądu po czterech–osiem godzin dziennie, a nawet więcej. To skutek zarówno spowodowanych natłotami awarii, jak i koniecznych w tej sytuacji planowych wyłączeń. Te ostatnie nie dotyczą obiektów infrastruktury krytycznej czy szpitali, co z kolei oznacza szczęście w nieszczęściu dla mieszkańców budynków, w których tego typu obiekty się znajdują. O ile nie trafi w nie rosyjska rakietą, prądu im nie wyłączą.

Przedsiębiorcy, o ile są w stanie, przechodzą na zdalny tryb pracy. Przerwom w dostawach prądu towarzyszą problemy z Internetem i siecią komórkową. Ale paradoksalnie problemy te są mniejsze na prowincji niż w dużych miastach będących obiektem rosyjskich ataków na infrastrukturę. Dlatego firmy pracujące zdalnie przenoszą swoją działalność do podkijowskich miejscowości, gdzie zasięg jest w czasie wojny lepszy, a bezpieczeństwo większe. CEO firmy IDS Ukraine, produkującej wodę mineralną, w rozmowie z UNIAN opowiedział, jak jego przedsiębiorstwo dostosowało się do planowych wyłączeń energii elektrycznej: „Jeśli jest prąd, to wyrabiamy tyle towaru, ile tylko się da. Przez to nasi ludzie pracują po kilka zmian, dniem i nocą, w niedziele i święta – kiedy tylko jest prąd”.

Drobni przedsiębiorcy ograniczają swoją działalność. Ci więksi kupują drogie agregaty prądotwórcze, żeby niezależnie się od centralnej sieci energetycznej. Ołeksandr, właściciel trzech kawiarni w Kijowie, przez przerwy w dostawach prądu stracił ok. 70 proc. średniej sprzedaży. Nie zamierza kupować ani agregatu, ani akumulatora. W rozmowie z UNIAN tłumaczy, że go na to nie stać. Czas, w którym w ciągu dnia włączony jest prąd, nie wystarczy nawet do naładowania większego agregatu, sprzęt jest drogi, a nie wiadomo, czy biznes przetrwa wojnę. Pracownicy są niezadowoleni, bo klientów mniej, praca krótsza, więc i mniejsza wypłata, a dzierżawcy lokali, w których położone są kawiarnie, obniżać opłat nie zamierzają. Żeby wesprzeć także takich

przedsiębiorców, rząd zwolnił z VAT oraz cła towary importowane niezbędne do przetrwania zimy – w tym m.in. agregaty prądotwórcze i akumulatory.

CIĄGŁE ZAGROŻENIE

Codziennieścią kijowian stały się permanentne alarmy przeciwlotnicze. Mieszkańcy ukraińskiej stolicy zdążyli do nich przywyknąć. Wielu wbrew alarmom ignoruje ostrzeżenia, starając się w ten ryzykowny sposób nie popaść w paranoję. Ale już rodziny z dziećmi z reguły do zaleceń się stosują. Permanentne zagrożenie z powietrza powoduje też, że mieszkańcy coraz mniej chętnie decydują się na remonty. Po pierwsze, z powodów finansowych. W Kijowie żyje się coraz gorzej i biedniej. Po drugie, bo nigdy nie wiadomo, kiedy nadleci kolejna rakietą i trzeba będzie naprawiać znowu. – Wielu kijowian remontowało swoje mieszkania raz na kilka lat. Teraz wolą odkładać pieniądze na czarną godzinę niż inwestować w cokolwiek – mówi Julia. – Wiosną rosyjski pocisk trafił w dach mojego bloku. We wszystkich mieszkaniach powylały szyby z okien. Trzeba było naprawić. Ale ja wymieniłam tylko to, co konieczne – czyli okna w kuchni i pokoju. Zostałam wybitą szybą na balkonie, bo ta naprawa była najmniej pilna. Zimą zmarznę, ale nie zamarnię – dodaje.

Przed wojną Kijów, jak przystało na stolicę, był prężną metropolią, w której łatwo i szybko można było zrobić karierę. – Łatwo było zrezygnować z mało atrakcyjnej pracy, bo było wiadomo, że bez problemu znajdzie się ciekawsza oferta. Teraz jest inaczej. Kijowianie, niepewni swojej przyszłości, nie zmieniają miejsca pracy, nie myślą o karierze – mówi Julia. Jak zapewnia, odmawia sobie urlopu, żeby odkładać jak najwięcej pieniędzy – na swoje utrzymanie i na datki na armię. Czas wolny mieszkańcy stolicy Ukrainy spędzają na spacerach czy w kawiarniach – godzina policyjna sprawia, że przynajmniej oficjalnie nocne życie w Kijowie nie funkcjonuje. – Spotykamy się z przyjaciółmi w mieszkaniu, przy świeczkach. Nie chodzę do kawiarni. Nie wypada mi – moi bracia walczą na froncie. Ale nie potępiam tych, którzy szukają rozrywki – zapewnia Olha. I dodaje: – Jesteśmy w stanie znieść wszelkie niedogodności, byleby nasza armia przegnała okupantów! Dlatego nie planuję emigracji.



OBRAZ DO GÓRY NOGAMI

Piet Mondrian, holenderski abstrakcjonista, w 1941 r. namalował obraz „New York City 1”. W skrócie – to kolorowe pionowe i poziome pasy naklejone na płótno. Niedawno ten właśnie obraz na wystawie z okazji 150. urodzin artysty pokazało na wystawie Muzeum Kunstsammlung Nordrhein-Westfalen w Düsseldorfie. I podczas przygotowania tej wystawy jej kurator odkryła, że niezgodnie z zamiarem artysty obraz od dziesięcioleci wieszany jest do góry nogami. Poinformowano jednocześnie, że nie ma w planach przywrócenia „oryginalnej” formy dzieła. Czyli nadal będzie wisiał obrócony o 180 stopni.

FOT. HENNING KASER / DDP IMAGES / FORUM

TWITTER BLISKI BANKRUCTWA?

Geniusz biznesu Elon Musk po przejęciu Twittera najpierw zwolnił tyle osób, że wśród nich znaleźli się także pracownicy niezbędni do funkcjonowania serwisu i trzeba było ich zwolnienia anulować. Nastąpił też bałagan z weryfikacją oficjalnych kont (Twitter Blue), a z serwisu zaczęli wycofywać się reklamodawcy. W e-mailu do pracowników nowy właściciel ostrzegł, że firmie grozi ogłoszenie upadłości. Twitter ma obecnie zadłużenia liczone w miliardach dolarów i dziennie generuje stratę w wysokości 4 mln dol.

IDENTYFIKUJE SIĘ JAKO KOBIETA, ALE CHORA

Niejaki Jørund Alme, Norweg mający ponad 50 lat, wcześniej mąż i ojciec, wystąpił w tamtejszych mediach i opowiedział, że wreszcie wyzwolił się i jest teraz tym, za kogo naprawdę się uważa. Objaśnił, że zawsze czuł się kobietą. Ale nie taką po prostu. On czuł się kobietą z niepełnosprawnością. Dlatego dokonał „transycji” i nie tylko ubiera się i maluje jak kobieta,

lecz także jeździ na wózku inwalidzkim, choć jego nogi są zupełnie zdrowe.

PRAWA CZŁOWIEKA ZBYT POLITYCZNE

FIFA zakazała Duńczykom wystąpienia na mundialu w koszulkach opatrzonych napisem „Human Rights for All” [Prawa człowieka dla wszystkich – przyp. red.]. Duński związek piłkarski protestował, ale nic nie wskórał. FIFA uznała, że ten napis ma „przesłanie polityczne”, a takich napisów nie można pokazywać podczas piłkarskich mistrzostw świata.

POMYLIŁ SEJF Z ROBOTEM KUCHENNYM

Ukraińska agencja UNIAN poinformowała o zająciu w obwodzie odeskim na południu kraju. Rosyjski żołnierz wszedł do domu i terroryzował właścicielkę. Groził jej rozstrzelaniem, jeśli nie poda mu kodu do „sejfu”, w którym spodziewał się znaleźć coś do zrabowania. Okazało się, że chodziło mu o robot kuchenny, tzw. multicooker. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Pożegnanie z bitcoinem?

Rynek kryptowalut zaliczył kolejną już w tym roku wielką wtopę, pokazując kolejny raz, że choć marzenia o wirtualnych zyskach z wirtualnych walut dają czasem dużo zarobić, to brak odpowiednich regulacji sprawia, że bardzo łatwo jest też stracić cały zainwestowany w kryptowaluty majątek.

Tym razem przyczyną gwałtownej przeceny bitcoina był spektakularny upadek młodego „króla kryptowalut” i kierowanej przez niego giełdy FTX. Dzień po złożeniu przez giełdę wniosku o upadłość z powodu bankructwa, jej portfele zostały zaatakowane przez hakerów, którzy

mieli z niej wyprowadzić ponad 600 mln dol.

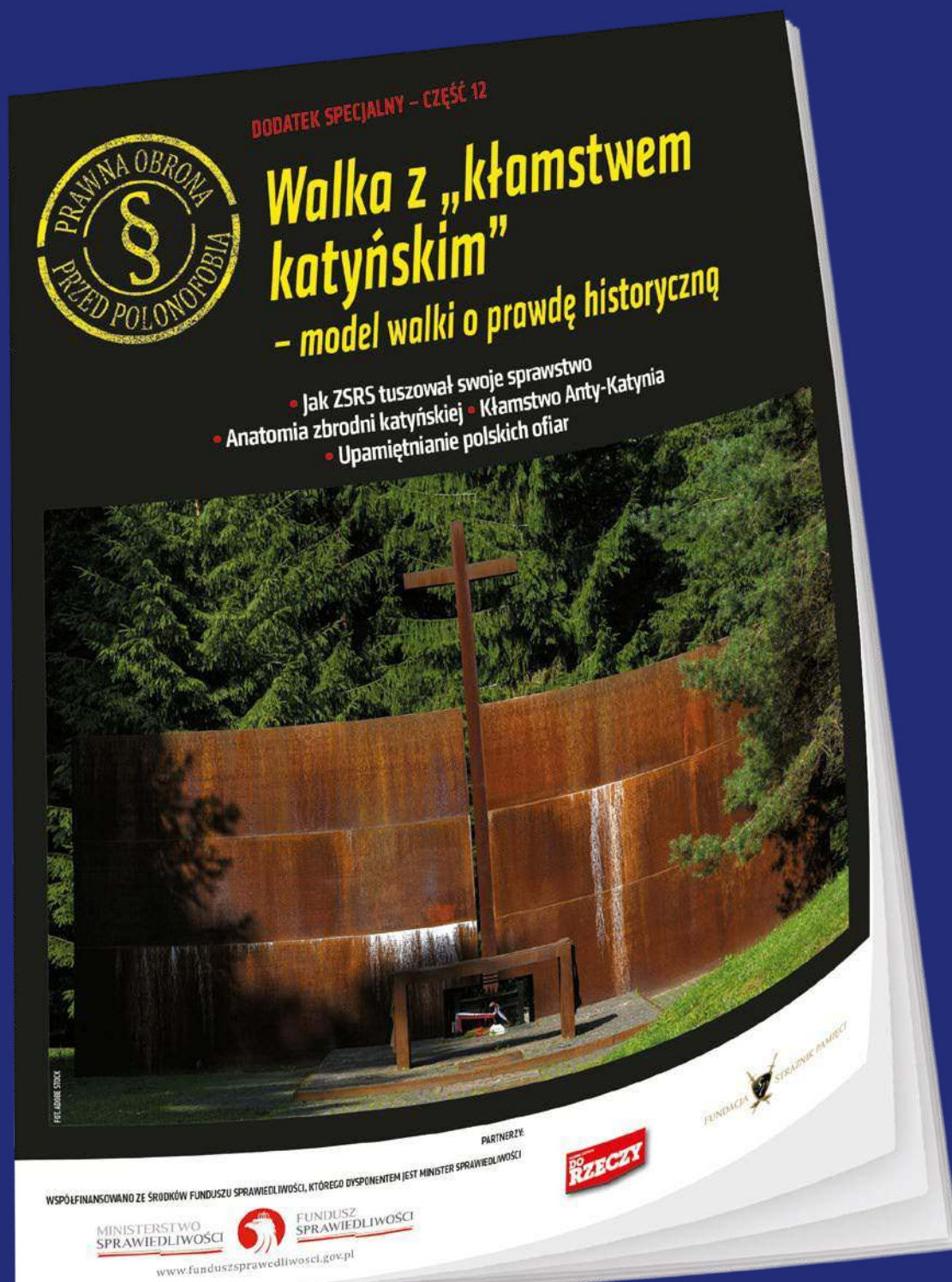
To kolejny drastyczny przykład tego, jak niebezpieczne są inwestycje w krypto. W 2014 r. zbankrutowała potężna giełda Mt. Gox. Bitcoin i inne krypto zdołały się podnieść. Tym razem lawina problemów może być o wiele większa.

Zagorzały krytyk kryptowalut, ekonomista, inwestor i popularny komentator finansowy Peter Schiff przekonuje, że tym razem spadek wartości bitcoina i innych znanych kryptowalut nie będzie tylko przejściowy i że inwestorzy próżno czekać będą odwilży po kryptowalutowej epoce lodow-

cowej. Jego zdaniem kryptowaluty, które od swoich szczytów w 2021 r. straciły już ok. trzech czwartych wartości, zmierzają ku „wyginięciu”, czyli całkowitej utracie wartości.

Jeśli ta prognoza się sprawdzi, to nie będzie to pierwsza w historii świata bańka, która pozbawiła żądnych szybkiego zarobku dorobku ich życia. Znakiem naszych czasów jest to, że w razie upadku kryptowalut na pocieszenie inwestorom nie zostaną ani cebulki tulipanów, ani sztabyki zbyt drogo kupionego złota ani nawet ładne papierowe akcje i obligacje, które po latach mogłyby zyskiwać na wartości w antykwariatach. Szkoda. ©©

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl 878994614e



Z Marcinem Roszkowskim,
prezesem Instytutu Jagiellońskiego, ekspertem rynku energii
rozmawia Tomasz Cukiernik

Wysokie ceny energii uderzają bardziej w Niemcy niż w Polskę

TOMASZ CUKIERNIK: Dlaczego energia elektryczna w tak krótkim czasie tak bardzo podrożała?

MARCIN ROSZKOWSKI: W ramach przygotowań do wojny w zeszłym roku Gazprom opróżnił własne magazyny gazu posiadane na Zachodzie. Efekt był taki, że podczas zeszłorocznej zimy tam, gdzie jest wysoka generacja gazowa, np. w Niemczech czy Hiszpanii, koszty bardzo mocno poszły do góry. Część tych kosztów dostała się na nasz rynek przez połączenia formalne rynków. Rosja wyszła ze spotowego rynku i zagrała szantażem gazowym. Po 24 lutego ten szantaż gazowy grał jeszcze mocniej. Celem było wywarcie presji na regulatora niemieckiego, żeby Nord Stream 2 został dopuszczony. Z drugiej strony Nord Stream 1 co chwilę był remontowany.

Na to nałożyły się różne kryzysy, takie jak zaburzenia związane z wychodzeniem z pandemii. Na początku były bardzo duże ruchy, kiedy gaz kosztował 150–200 euro, a potem 300 euro za MWh. Dzisiaj jesteśmy na poziomie 94 euro/MWh. Rozchwieany został rynek gazu, a gaz jest fundamentem transformacji energetycznej, bo źródła odnawialne pogodozależne są bilansowane gazem. Wszystko zaczęło być bardzo mocno rozedrgane. To z kolei przełożyło się na niepewność na rynku energii, która spowodowała, że z poziomu 400–500 zł/MWh na początku roku nagle dotarliśmy do 2 tys. zł/MWh. Zarówno Polska, jak i Unia Europejska zaczęły się zastanawiać, co z tym zrobić. Zostało podjęte rozporządzenie specjalne, które wprowadziło cenę maksymalną na poziomie 180 euro/MWh. Na polskim rynku jest propozycja zniesienia obliiga giełdowego.

Czy te ceny maksymalne nie będą miały takich negatywnych konsekwencji, że zabraknie energii elektrycznej?

W tym układzie upadać będą szczególnie prywatne spółki obrotu. Poza tym przez kilka czynników spadają zdolności wytwórcze. Po pierwsze, mamy spowolnienie gospodarcze – firmy nie są w stanie trwale płacić 1,5 tys. czy 2 tys. zł/MWh, więc spada zapotrzebowanie na energię elektryczną już o kilka-kilkanaście procent. Po drugie, mamy gigantyczny problem z remontami bloków węglowych. Jest

FOT. AUDRE STOCK

ich dwa razy więcej niż w analogicznym okresie dwa lata temu. Mamy problem z nowymi mocami, jak np. w bloku 910 MW w Jaworznie, który co chwilę jest włączany i wyłączany.

Dlaczego energia generowana z węgla również podrożała, skoro elektrownie mają długoterminowe umowy na dostawy węgla czy też własne kopalnie, jak PGE czy Tauron, i nie dotyczą ich ceny światowe?

Jednym z argumentów związkowców jest właśnie zdjęcie obliża giełdowego, czyli obowiązku spółek energetycznych handlowania energią przez Towarową Giełdę Energii. Na giełdzie dyskutowana jest też niepewność, w której się znaleźliśmy. To, co się dzieje na giełdzie, jest kompletnie oderwane od kosztów wytwarzania.

Do tej pory giełda działała bardzo dobrze. Spotykały się na niej popyt z podażą – i w ten sposób ustalała się cena. Energią nie handluje się tak jak cukrem, który można postawić na półce i przez miesiąc może tam leżeć. W każdej godzinie energia musi być produkowana i dostarczana. Poziom skomplikowania tego rynku jest dużo większy. Do tej pory całym wolumenem handlowała TGE. Giełda, która przez unijne polityki jest połączona z innymi rynkami unijnymi, zasysała też niepewności z zagranicy. Więc mimo że w Polsce generacja z gazu nie była duża, to kiedy rok temu cena gazu i energii z gazu poszła na Zachód do góry, widzieliśmy to także na naszym rynku.

Na rynku energii zdyskontowane zostało także ryzyko wojenne. Wzrosty cen były gigantyczne. W normalnych sytuacjach rynek działa prawidłowo, ale w sytuacji, kiedy jest dominujący dostawca i dostawa surowca jest zagrożona, ceny szaleją. To pokłosie uzależnienia się od Rosji całego rynku europejskiego. Mimo że u nas gazu rosyjskiego od paru miesięcy nie ma, ceny energii elektrycznej poszybowały w górę.

Cenę dla całego rynku energii wyznacza koszt wytworzenia najdroższej z potrzebnych w danej chwili megawatogodzin, a jest to de facto cena energii wytworzonej z gazu...

Proszę sobie wyobrazić daną godzinę, ułożyć poszczególne źródła wytwarzania energii od najtańszych do najdroższych. W naturalny sposób najpierw są to pogodowo zależne. Jeśli produkują,

415 zł/MWh

TYLE KOSZTUJĄ SAME ŚWIADECTWA ETS DLA ENERGII WYTWARZANEJ Z WĘGLA BRUNATNEGO

to najtańsze są wiatr i słońce, a potem nieco droższe – woda i biogaz. Dalej jest cała rywalizacja reszty systemu konwencjonalnego: węgiel brunatny, kamienny i gaz. Wszystko zależy od kosztów operacyjnych. Węgiel brunatny jest spalany na miejscu, więc jest w stałej cenie. Przez lata bez opłat za emisję CO₂ energetyka

oparta na węglu kamiennym była najtańsza w Polsce.

Na te trzy źródła nakładamy ETS i ceny surowców. ETS działa tak, że przemnażamy średnioemisyjność danego źródła przez ceny CO₂. Dla węgla kamiennego to jest 700–800 kg CO₂/MWh, a dla brunatnego 1100–1200 kg/MWh. Świadectwa ETS dzisiaj kosztują 72 euro, czyli w przypadku węgla brunatnego sam ETS kosztuje 415 zł/MWh, a na węglu kamiennym to jest ok. 300 zł/MWh. Do tego dokładamy koszt węgla. Całość domyka cena gazu. Ostatnią megawatogodziną jest ta najdroższa, która musi wejść do systemu, i to ona dyktuje cenę.

REKLAMA

#Mazurek

symetrysta i bufon

#Szczuka

upadła gwiazda lewackich mediów

#Terlikowski

katooszołom

Trolle swoje...
...a my swoje!

Radio RMF24 – jedno studio, różne poglądy!

RADIO
RMF24

rmf24.pl/radio

■ Czy gdyby nie podatek ETS, to koszt wytworzenia energii z węgla byłby niższy niż OZE?

W obecnej sytuacji nie tak bardzo jak np. w roku 2018, ale jeszcze dwa lata temu energia z węgla kamiennego byłaby tańsza. A to dlatego, że ostatnio bardzo wzrosła cena węgla. Podobnie węgiel brunatny przez lata był najtańszą energią. Tylko że postulat rezygnacji z ETS to postulat wyjścia z Unii, bo to jest jeden z fundamentów unijnej polityki.

Premier Mateusz Morawiecki cały czas mówi o rezygnacji czy też modyfikacji ETS...

Modyfikacja ETS bez większości państw unijnych byłaby de facto wyjściem z Unii z jednego prostego względu: mało komu w Europie rezonuje ten temat. Dlatego że średnio na 1 MWh mamy 2–2,5 razy większą emisyjność niż przeciętna megawatogodzina wyprodukowana np. w Niemczech. Nasza emisyjność jest drugą największą w Unii Europejskiej. Tylko Estonia ma wyższą, ale to jej specyfika, która może

620 kg CO₂

TYLKO CO₂ EMITUJE PRZECIĘTNA 1 MWH WYTWORZONA W POLSCE. ŚREDNIO W EU JEST PRAWIE TRZY RAZY MNIEJ

chach, gdzie pracują 3 GW atomowe i 3 GW węglowe, jest to 400 kg/MWh. Na Słowacji, która ma 2 GW zainstalowanej mocy energii atomowej – 311 kg. Nikt nie ma tak wysokoemisyjnej energetyki jak Polska. Nie widzę sojuszników, którzy mogliby nas wesprzeć.

„Po 10 latach przymusu obliża giełdowego czas na jego likwidację i wprowadzenie wolnego rynku energii elektrycznej. Taki wolny rynek, a nie przymus giełdowy jest potrzebny dla przeprowadzenia transformacji energetyki” – napisano na stronach cire.pl. Czy na TGE mamy do czynienia z wolnym rynkiem?

Problem jest taki, że większość polskich polityków nie widzi procesu transformacji energetycznej w perspektywie dekady czy dwóch

się szybko zmienić. Nie jest to możliwe w tak dużym państwie jak Polska. Polska jest więc dobrym rynkiem do dekarbonizacji i dużo podmiotów do tego się przygotowuje.

Czyli interesem państw zachodnich jest transformacja energetyczna po to, żeby na niej zarobić, a przy okazji uderzyć w polską konkurencję...

To też. Ale wysokie ceny energii akurat w tym roku uderzają bardziej w Niemcy niż w Polskę.

Czyli w takim razie wypowiedzi premiera Morawieckiego o wyjściu z ETS to wyłącznie populizm zwrócony do krajowego wyborcy...

ETS służy temu, żeby zdekarbonizować gospodarkę. Ponieważ Polska przez lata mało z tym robiła, bo CO₂ kosztowało trochę euro, to teraz jesteśmy na to bardzo wrażliwi. Na przykład w momencie, w którym rozmawiamy, przeciętna 1 MWh wytworzona w Polsce emituje 620 kg CO₂. Średnio w Unii jest to prawie trzy razy mniej. We Francji teraz – 91 kg/MWh, w Niemczech – niecałe 300 kg, a we Włoszech – 373 kg. W Cze-

Do tej pory nikt nie wymyślił nic lepszego niż giełda, która jest właśnie wolnym rynkiem. Poza giełdą jest bardzo duże ryzyko transakcji „pod ladą”, czyli korupcji. W sytuacjach kryzysowych giełda rezonuje różne ryzyka, ale już dzisiaj cena energii spadała do 660 zł/MW. Rynek energii elektrycznej ma taki problem, że jest bardzo regulowany. Nie jest prawdą, że zdjęcie obliża giełdowego uzdrowi sytuację.

Sama giełda też jest monopolistą. Czy to nie ma jakiegось negatywnego skutku?

Dzięki temu w jednym miejscu jest ustalona cena. W Polsce w generacji dominują spółki państwowe i to jest problem, bo gdyby na rynku energii były tylko spółki prywatne, to mogłyby sobie robić, co chcą. Ale to giełda umożliwia transparentność rynku, na którym dominującą rolę ma Skarb Państwa. Gdyby nie obliża giełdowe, to jeden prezes spółki mógłby albo kilku mógłoby sobie w dowolny sposób ustalić cenę, zachwiać całym rynkiem i nikomu nie musieliby się z tego spowiadać.

Dlaczego buduje się bloki gazowe, skoro energia elektryczna wytwarzana z gazu jest najdroższa?

To, że są stawiane bloki gazowe w Ostrołęce czy w elektrowni Dolna Odra, to nie jest proces, który teraz przyspieszy. Między innymi przez te inwestycje będziemy potrzebować kolejne 5 mld m sześć. gazu powyżej tego, czego potrzebujemy dzisiaj, ale może się okazać, że te inwestycje nie powstaną tak szybko. Jest coś takiego jak Krajowy System Elektroenergetyczny. PSE mogą zrobić pewne wymuszenia na niektórych uczestnikach rynku – zmusić ich do produkowania energii, aby bilansować system. W przeciwieństwie do braków jabłek braki energii mają dużo większe konsekwencje. Cała pułapka polityki energetyczno-klimatycznej forsowanej w Unii przez Niemcy polega na tym, że budujemy elektrownie gazowe po to, żeby bilansować OZE, kiedy nie świeci słońce i nie wieje wiatr. Elektrownie gazowe mają 2,5 razy mniejszą emisję CO₂ niż elektrownie węglowe i większą dyspozycyjność. Można je włączyć w ciągu 15 minut, a stare węglówki rozgrzewają się ponad cztery godziny.

Podsumowując, jak bardzo przeregulowaną branżą jest energetyka?

Rynek energii elektrycznej w Polsce zawsze był regulowany. Wolny rynek był regulowany do pewnego stopnia, natomiast tak źle, jeśli chodzi o ograniczenie transparentności i stałości prawa, jeszcze nigdy nie było.

Czyja to jest wina – Polski czy Unii Europejskiej?

Po pierwsze, kryzysu covidowo-wojennego. Po drugie, centralnego zarządzania w energetyce w Polsce, którego częścią są też unijne regulacje. Problem jest taki, że większość polskich polityków nie widzi procesu transformacji energetycznej w perspektywie dekady czy dwóch. Dlatego jesteśmy nieprzygotowani i bardziej wrażliwi na kryzysy wynikające z tych polityk unijnych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Marcin Roszkowski
– ekonomista, prezes Instytutu Jagiellońskiego, wydawca biznesalert.pl.

Startupy mają moc

Firma Huawei Polska ogłosiła właśnie trzecią edycję konkursu Huawei Startup Challenge, skierowanego do młodych innowatorów. – Wierzymy, że młodzi innowatorzy mają ogromną moc sprawczą, dlatego chcemy ich wspierać w tworzeniu narzędzi, które pozwolą zrewolucjonizować medycynę, a także zmienić podejście nas wszystkich do własnego organizmu i jego możliwości – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” Ryszard Hordyński, dyrektor ds. strategii i komunikacji firmy

Na czym polega Huawei Startup Challenge i skąd wziął się pomysł na organizację takiego konkursu?

RYSZARD HORDYŃSKI: Huawei w swojej misji stara się łączyć ludzi i przeciwdziałać wykluczeniom wszelkiego typu za pomocą technologii. W to podejście wpisuje się inicjatywa Huawei Startup Challenge, która wspiera startupy pozytywnego wpływu, tworzące technologie na rzecz realizacji celów zrównoważonego rozwoju. Młode firmy dzięki udziałowi w tym konkursie, mają szansę rozwinąć swoje nowatorskie, a przede wszystkim pożyteczne społecznie biznesy.

Według raportu Fundacji Startup Poland z 2021 r. aż 34 proc. młodych przedsiębiorców określało pozyskanie finansowania w kolejnych fazach rozwoju jako największą barierę dla rozbudowy swoich biznesów. W tym roku przeznaczymy łącznie 200 tys. zł na właśnie takie wsparcie dla lokalnych startupów. Do tego dochodzą szeroka promocja w mediach, mentoring i zderzenie z pokrewnymi pomysłami, czy kontakt z biznesem, których nie da się tak łatwo policzyć, ale są niezwykle istotne dla rozwoju.

Kto może zgłaszać się do konkursu i jak wyłaniani są laureaci?

Do konkursu może zgłosić się każdy polski startup, który swoimi innowacjami odpowiada na temat przewodni bieżącej edycji, czyli #TechForBetterHealth. Spośród zgłoszeń kapituła złożona z ekspertów w branży i biznesie wybierze najpierw 30 najbardziej przełomowych rozwiązań, potem 20 startupów, których twórcy wezmą udział w sprintach wyzraniowych, a następnie zostanie wybrana grupa 10 finalistów. Podczas finałowej gali zaprezentuje się wspomniana dziesiątka, a jury ogłosi trzech zwycięzców.



Czy oprócz nagród finansowych w ramach konkursu Huawei proponuje uczestnikom współpracę nad rozwojem ich rozwiązań?

Wspierając startupy oraz innowacyjne firmy, budujemy siłę gospodarczą i kapitał intelektualny naszego kraju. My jednak robimy coś więcej – wspieramy rozwiązania zaangażowane społecznie, zwiększając pozytywny wpływ na społeczeństwo, planetę czy – jak tym razem – zdrowie. Twórcom startupów i młodym innowatorom natomiast potrzeba w dużej mierze mentoringu, dlatego wsparcie dla ekosystemu startupów nie może być tylko finansowe. Huawei Startup Challenge to szansa dla młodych firm na uzyskanie tego typu pomocy, a także budowanie sieci kontaktów czy świadomości na temat swojego rozwiązania, choćby poprzez promocję w mediach.

Tematyka dwóch pierwszych edycji Huawei Startup Challenge mocno krążyła wokół zagadnień związanych ze społeczną odpowiedzialnością

biznesu. Tym razem postawiliście na medtech. Dlaczego właśnie ten obszar?

Pandemia COVID-19 unaoczniała nam, jak bardzo potrzebujemy innowacji w obszarze zdrowotnym. To bowiem nie tylko technologie lekowe, lecz także kompleksowa digitalizacja systemu opieki zdrowotnej, rozwój branży biotechnologicznej oraz korzyści dla placówek medycznych płynące z wdrażania nowych systemów, np. AR/VR, robotyki czy rozwiązań wspierających ogólny dobrostan fizyczny i psychiczny pacjentów. Wierzymy, że młodzi innowatorzy mają ogromną moc sprawczą, dlatego chcemy ich wspierać w tworzeniu narzędzi, które pozwolą zrewolucjonizować medycynę, a także zmienić podejście nas wszystkich do własnego organizmu i jego możliwości. Stąd pomysł na hasło przewodnie #TechForBetterHealth w tegorocznym Huawei Startup Challenge.

Jak oceniają państwo warunki, w jakich przyszło dziś funkcjonować startupom? Trudna sytuacja ekonomiczna raczej nie ułatwia pozyskiwania finansowania...

Na pewno stanowi on wyzwanie także dla rozwoju startupów, dlatego właśnie uruchamiamy HSC już po raz trzeci. Pamiętamy jednak, że to właśnie podczas pandemii COVID-19 nastąpił gwałtowny wzrost zysków małych przedsiębiorstw i nagłe pojawienie się nowych prywatnych inicjatyw. W raporcie Startup Poland jedynie ok. 20 proc. ankietowanych określiło wpływ pandemii jako negatywny.

Jakie jeszcze działania firma podejmuje na rzecz promocji innowacyjności i startupów?

Takim działaniem jest konkurs Tech4Good, w ramach naszego flagowego programu edukacyjnego Seeds For The Future, w którym to zespoły uzdolnionych studentów opracowują strategie technologiczne odpowiadające na palące problemy współczesności. W minionym roku polski zespół Sensideer trafił do topowej dziesiątki globalnych pomysłów. W tym roku po raz pierwszy ruszyła także Akademia Kobiet na rzecz Innowacji Wiejskich Huawei, która daje szansę na rozwój i tworzenie innowacji kobietom z obszarów wiejskich, które na co dzień nie mają dostępu do infrastruktury czy nowoczesnej edukacji.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Rok 2024, czyli strach się bać

Rok 2023 jeszcze jakoś przetrzymamy. Wszak rząd, walczący do upadłego o poparcie wyborców – co dobrze widać nie od dziś – przed przypadającymi na jesień 2023 r. wyborami do Sejmu i Senatu pewnie zrobi (już robi) dosłownie wszystko, co tylko będzie mógł, co tylko będzie w jego mocy, by jak najmniej pogorszyć i tak już fatalne nastoje społeczne.

A zatem zrobi (już robi), co tylko będzie mógł, żeby w tym czasie np. jak najmniej wzrosły ceny prądu, sztucznie utrzymując je do wyborów na dużo niższym od rynkowego poziomie. Zrobi też (już robi), co tylko będzie mógł, żeby jak najdłużej – jak najdłużej, lecz oczywiście najdalej do wyborów – utrzymać obniżone stawki podatków na żywność. I wreszcie zrobi (już robi), co tylko będzie mógł, żeby jak najbardziej napełniać kieszenie swoich potencjalnych wyborców gotówką, która oczywiście z powodu jej ustawicznego dodrukowywania przez rząd i nakręcającej to inflacji, będzie miała coraz mniejszą wartość.

Ato wszystko oznacza, że rząd bez oglądania się na kogokolwiek i na cokolwiek – czyli tak, jak czynił to do tej pory – jeszcze bardziej zadłuży Polskę. Już dziś sam rząd przyznaje, że do 2025 r. dług publiczny Polski – czyli dług obciążający nas, Polaków – który jeszcze w 2020 r. wynosił „zaledwie” około 1 bln zł, zostanie przez ten rząd

podwojony i eksploduje do aż 2 bln zł.

A przy tym rząd do końca przyszłego roku na pewno do cna ogołoci z jakichkolwiek zaskórniaków, jeśli gdzieś jeszcze jakiegokolwiek – jakimś cudem – przed nim się uchowały, wszystkie możliwe fundusze, tak jak wydrenował Fundusz Reprywatyzacji i wiele innych. Już zresztą wprowadza się przepisy, które mają szefowi rządu umożliwić swobodne dysponowanie pieniędzmi ze wszystkich możliwych rezerw celowych i funduszy, w przypadku groźby bankructwa Polski – na razie groźby technicznego bankructwa Polski – by temu bankructwu przeciwdziałać.

Natomiast najpóźniej 1 stycznia 2024 r., niezależnie od tego, kto wygra wybory – obecnie rządzący czy obecna opozycja – zwałą się nam na głowy wszystkie plagi kryzysu; wszystko, co do tamtej pory będzie sztucznym – siłą już chyba tylko woli politycznej rządzących – powstrzymywane, odpychane, zamrażane. Wszystkie te gigantyczne, idące w grube dziesiątki, a w wielu wypadkach w grube setki (i oby nie w tysiące) procent podwyżki cen – podwyżki cen prądu, cen gazu, cen paliw, cen żywności i w ślad za tym cen wszystkiego innego.

1 stycznia 2024 r., najprawdopodobniej w warunkach dalej szalejącej wysokiej inflacji, te wszystkie horrendalne podwyżki cen wszystkiego zwałą się na nas niczym jeźdźcy Apokalipsy. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Grochem o ścianę

Najnowsza projekcja inflacji i PKB, przygotowana przez Narodowy Bank Polski, jest jeszcze słabsza i mniej optymistyczna niż poprzednia, lipcowa, która i tak już była kiepska. Tym razem w ramach najbardziej prawdopodobnego scenariusza analitycy NBP przewidują recesję w przyszłym roku do -0,3 proc. (dolna granica centralnego scenariusza), a inflacja w 2023 r. ma sięgnąć 13,1 proc. Przy czym – uwaga – w pierwszym kwartale nowego roku ma być niemal 20-procentowa.

W przyszłym roku przedsiębiorcy zapłacą rekordowo wysokie składki ZUS

Nie chcę się już znęcać nad przedstawicielami obozu władzy i przypominać ich całkiem niedawnych wypowiedzi o tym, kiedy miał przyspaść szczyt inflacji.

Jednocześnie ukazał się bardzo niepokojący raport analityków banku Crédit Agricole, wskazujący, że z powodu swojej kiepskiej sytuacji gospodarczej Polska może mieć problemy ze sfinansowaniem podpisanych już kontraktów zbrojeniowych. Wydawałoby się zatem, że trzeba zrobić naprawę wszystko, aby inflację zbić, a przedsiębiorcom

ułatwić działalność. Tymczasem w przyszłym roku przedsiębiorcy zapłacą rekordowo wysokie składki ZUS, bo ich wysokość zależy od przewidywanego przez GUS przeciętnego wynagrodzenia, a to z kolei podbija podnoszoną przez rząd rozporządzeniem płaca minimalna. Jakby tego było mało, PiS planuje wypłacić przed wyborami 15. emeryturę, czyli po prostu łapówkę wyborczą dla swojego potencjalnego elektoratu. Bo trudno to już doprawdy inaczej nazwać.

Taka polityka byłaby nieodpowiedzialna w każdych okolicznościach. Ale w obecnych, czyli w obliczu absolutnej konieczności utrzymania wysokiego budżetu na zbrojenia, wydaje się po prostu antypaństwowa. Sprawia to wrażenie, jakby rządzący nie pojmowali związku pomiędzy stanem budżetu a tym, w jakich warunkach funkcjonują przedsiębiorcy oraz co napędza inflację. Krótkowzroczność takiej gospodarczej strategii poraża.

A przecież są projekty, które mogłyby trochę tę sytuację zmienić. Rzecznik małych i średnich przedsiębiorców Adam Abramowicz promuje pomysł dobrowolnego ZUS dla biznesu, wskazując, że podobne rozwiązania funkcjonują w wielu krajach, całkiem blisko nas – choćby w Niemczech. Na razie jednak to jak rzucanie grochem o ścianę. Co się musi stać, żeby rząd zaczął rozumieć, że jego dotychczasowa strategia gospodarcza i finansowa bankrutuje – oby nie razem z polskim państwem? ©©



CASERNES
VILANOVA I LA GELTRÚ

APARTAMENTY INWESTYCYJNE W HISZPANII

- OKOLICE BARCELONY - VILANOVA I LA GELTRÚ
- MIESZKANIA W NOWYM BUDYNKU APARTAMENTOWYM
- POW. 42-74 m²
- CENY OD 145.000 € / APARTAMENT „POD KLUCZ”

INWESTYCJA REALIZOWANA W RAMACH KONSORCJUM GRUPA INWEST



KONTAKT
URSZULA HOFMAN

604 934 288
ULA.HOFMAN@GRUPAINWEST.PL
WWW.GRUPAINWEST.PL

eprasa.pl 878994614e

Certyfikat niezgody

Regionalne dyrekcje Lasów Państwowych nie wznawiają certyfikatów FSC. Czy rzeczywiście ich posiadanie jest konieczne do prowadzenia zrównoważonej gospodarki leśnej? Czy rezygnacja z nich doprowadzi do obniżenia standardu ochrony lasów? W obu przypadkach LP mówią: Nie!

Zachowanie trwałości lasów, zrównoważony rozwój i ochrona przyrody – to zasady, zgodnie z którymi jest prowadzona gospodarka leśna w Lasach Państwowych. Potwierdzają to przyznawane regionalnym dyrekcjom LP międzynarodowe certyfikaty. W Polsce obowiązują dwa systemy certyfikowania. Obecnie regionalne dyrekcje LP wycofują się z jednego z nich, co wywołuje kontrowersje. Powodem rezygnacji jest m.in. arbitralna, jednostronna zmiana standardów będących podstawą certyfikacji przez instytucję certyfikującą.

PEFC – NAJWIEKSZY NA ŚWIECIE SYSTEM CERTYFIKACJI

Jednym z systemów certyfikacji jest PEFC (Programme for the Endorsement of Forest Certification Schemes – Program Zatwierdzenia Systemów Certyfikacji Leśnej), wykonywany przez niezależne

jednostki międzynarodowej, pozarządowej organizacji non profit o tej nazwie. Głównym celem PEFC jest promocja zrównoważonej gospodarki leśnej poprzez system certyfikacji leśnej oraz etykietowania produktów leśnych wykonywanych przez niezależne jednostki.

Jak w tym przypadku rozumieć „zrównoważoną gospodarkę leśną”? PEFC stosuje tu definicję przyjętą przez Organizację Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO). Według niej taka gospodarka polega na gospodarowaniu lasami i obszarami leśnymi oraz ich użytkowaniu w sposób i w stopniu, który utrzymuje ich różnorodność biologiczną, produktywność, zdolność do regeneracji, zdrowotność i ich potencjał do spełniania, teraz i w przyszłości, funkcji ekologicznych, gospodarczych i społecznych na szczeblu lokalnym, krajowym i światowym oraz który nie powoduje szkody w innych ekosystemach.

PEFC uznaje krajowe systemy certyfikacji leśnej opracowane wspólnie przez zainteresowane strony oraz dostosowane do lokalnych priorytetów i warunków. Dziś ten system certyfikacji obejmuje systemy certyfikacji obowiązujące w ponad 55 krajach, czyli łącznie dotyczące ponad 280 mln ha lasów. Tym samym PEFC jest światowym liderem certyfikacji gospodarki leśnej. Produkty certyfikowane przez PEFC są akceptowane w wielu publicznych i prywatnych strategiach zamówień obowiązujących na całym świecie. Certyfikatem łańcucha dostaw w systemie PEFC legitymuje się dzisiaj prawie 20 tys. firm.

CERTYFIKATY FSC

FSC jest – obok PFC – drugim stosowanym w Polsce systemem certyfikacji gospodarki leśnej. To skrót od angielskiej nazwy organizacji Forest Stewardship Co-

uncil, której zadaniem jest popularyzacja przyjętego przez tę organizację sposobu prowadzenia gospodarki leśnej. W pierwszych latach działalności FSC zajmowała się ochroną lasów tropikalnych przed ich eksploatacją, by z czasem stać się organizacją globalną.

Co trzeba zrobić, by otrzymać certyfikat FSC? Promowane nim jest prowadzenie gospodarki leśnej z uwzględnieniem regulacji prawnych danego kraju oraz międzynarodowych traktatów i porozumień, których ten kraj jest sygnatariuszem. Obowiązkowo należy spełniać również zasady i kryteria uzgodnione przez członków organizacji FSC. Jak zwykle w takich przypadkach diabeł tkwi w szczegółach.

TYM CERTYFIKATOM JUŻ DZIĘKUJEMY

Jeszcze na początku roku certyfikatem FSC było objęte ok. 72 proc., czyli blisko 7 mln ha polskich lasów. Legitymowały się nim głównie lasy w zarządzie Lasów Państwowych (powierzchnia objętych tym certyfikatem lasów pozostających w rękach prywatnych to mniej niż tysiąc hektarów, czyli ułamek procenta certyfikowanych lasów w gestii LP). Tymczasem niedawno z certyfikatu FSC zrezygnowały trzy Regionalne Dyrekcje Lasów Państwowych – w Gdańsku, Łodzi i Toruniu, a być może takich decyzji zapadnie więcej.

Takie posunięcie spotkało się z niezadowolaniem ekologów, którzy uważają, że może to się przyczynić do obniżenia standardów gospodarki leśnej Polsce. Czy rzeczywiście?

Jak ripostują Lasy Państwowe – to nie FSC wyznacza standardy, a sama rezygnacja z FSC nie wiąże się z rezygnacją z prowadzenia trwale zrównoważonej gospodarki leśnej. Gospodarka, którą prowadzi LP, opiera się bowiem na tych samych podstawach od prawie 100 lat. Co ważne, w Polsce obowiązuje rygorystyczne prawo unijne i krajowe dotyczące gospodarki leśnej (ustawy o lasach, ochronie przyrody, ochronie środowiska). I – co nie mniej istotne – wszystkie regionalne dyrekcje LP posiadają najpowszechniejszy na świecie certyfikat PEFC. A to oznacza, że certyfikowane są wszystkie lasy w zarządzie Lasów Państwowych, czyli 7,2 mln ha.

Warto przy tym wspomnieć, że sam system certyfikacji FSC jest stosowany w kraju od 1996 r. i w wielu kwestiach jego twórcy korzystali właśnie z polskich

wzorców gospodarki lasami. W całej Unii Europejskiej certyfikacją jest objętych ok. 55 proc. lasów, z czego ok. 37 proc. posiada certyfikat FSC, a ok. 94 proc. – certyfikat PEFC. PEFC jest popularny w krajach o dużej lesistości, takich jak Niemcy, Austria, Francja, Norwegia, Szwecja i Finlandia. W krajach tych certyfikat FSC, z wyjątkiem Szwecji, ma niewielki udział lub nie jest stosowany.

Rezygnacja z certyfikatu nie oznacza też bynajmniej niekontrolowanej wycinki lasów. „Podstawą prawną realizacji prac leśnych, w tym wielkości prac hodowlanych, jest Plan Urządzenia Lasu. Plan sporządzony jest na okres 10 lat i zatwierdzany przez właściwego ministra” – napisał w oświadczeniu Bartłomiej Obajtek, dyrektor Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Gdańsku, jednej z tych, które zdecydowały się na odejście od certyfikatu. „Łączenie certyfikatu

**Lasy Państwowe podkreślają,
że poddawanie się certyfikacji
to działanie dobrowolne.
Nie jest bowiem prawdą,
że LP muszą być objęte
certyfikacją FSC**

FSC z intensywnością i zakresem prac leśnych jest więc bezprzedmiotowe, a rozpowszechnianie takiego poglądu wynika z niewiedzy bądź zamiaru celowego wprowadzania opinii publicznej w błąd” – dodał.

Lasy Państwowe podkreślają, że poddawanie się certyfikacji to działanie dobrowolne. Nie jest bowiem prawdą, że LP muszą być objęte certyfikacją FSC. Co jest również istotne, regionalne dyrekcje nie odstępują od certyfikatów FSC (to RDLP są jednostką certyfikowaną). Wszędzie tam, gdzie certyfikat został przyznany, pozostaje w mocy. Jednak certyfikaty w poszczególnych RDLP wygasają i wiele wskazuje na to, że nie będą odnawiane.

Dlaczego? Między innymi z uwagi na niekorzystne umowy. Lasy Państwowe nie mogą się godzić na podpisywanie nowych umów z jednostkami certyfikującymi w ich obecnym, niekorzystnym kształcie. Umowy mają charakter, który nie zabezpiecza interesu Lasów Państwowych jako jednostki Skarbu Państwa.

Jak tłumaczył w jednym z wywiadów wiceminister środowiska Edward Siarka, obecnie instytucja certyfikująca dąży do tego, żeby ok. 10 proc. lasów wyłączyć z użytkowania. Chodzi o mniej więcej 750 tys. ha. – To oznacza, że ponosilibyśmy ogromne koszty gospodarcze – podkreślił wiceminister.

Lasy Państwowe nie mogą się również zgodzić na to, że po rozwiązaniu w lutym br. Grupy Roboczej, która opracowywała Krajowy Standard FSC (jest jedną z podstaw certyfikacji), dokument ten powstał bez udziału przedstawicieli LP. Prace nad tym standardem trwają od 2018 r. Techniczna grupa robocza, powołana w kwietniu br. do rewizji Krajowego Standardu Gospodarki Leśnej FSC, składa się obecnie z przedstawicieli polskich filii zagranicznych firm, które prowadzą w Polsce certyfikację FSC gospodarki leśnej (Bureau Veritas Polska, Preferred by Nature – NEPCON Polska, SGS Polska), ale nie znalazł się wśród nich przedstawiciel LP.

Zastrzeżenia LP budzi również to, że w projektowanym standardzie pojawiają się niejednoznaczne i trudne do zmierzenia wskaźniki pozwalające na ich dowolną interpretację i niedostosowane do warunków polskich. Wznawiając certyfikat i podpisując umowę licencyjną na plan certyfikacyjny FSC w jej obecnym kształcie, LP musiałyby się zgodzić na wskaźniki wprowadzane arbitralnie przez FSC, przy czym mogłyby być one modyfikowane w trakcie trwania umowy. Takie korekty mogłyby oczywiście powodować spory, a te zgodnie z umową licencyjną miałyby być rozstrzygane przez Niemiecką Instytucję Arbitrażową według prawa materialnego RFN. – Nazwałbym to wprost utratą suwerenności – mówił minister Siarka. LP nie uważają za właściwe, by państwowa jednostka Skarbu Państwa działająca według przepisów polskich miała być oceniana według przepisów prawa innego kraju.

Regionalne dyrekcje LP, które zrezygnowały z certyfikatu FSC, zawsze potwierdzały wypełnianie wskaźników niezbędnych do uzyskania certyfikatu, bo dotychczas te były dostosowane do warunków polskich. Przez najbliższe miesiące drewno pochodzące z tych jednostek będzie nadal oznaczane emblematem FSC. Jak podkreślają Lasy Państwowe – to nie samo przestrzeganie standardu w praktyce jest problemem (LP realizują wiele zadań wykraczających ponad jego zapisy), ale próby jego modyfikacji i egzekwowania.

TEST „DO RZECZY”: TP-LINK DECO P9

Latwa konfiguracja, niewielkie rozmiary urządzeń, minimalistyczne wzornictwo oraz duża powierzchnia pokrycia wi-fi dzięki połączeniu systemu wzmacniaczy sygnału wi-fi z technologią PLC, umożliwiającą przekazywanie sygnału internetowego za pośrednictwem sieci elektrycznej – to największe zalety zestawu Deco P9 chińskiej firmy TP-Link.

Trzeba przyznać, że jak na urządzenia sieciowe białe wieże wchodzące w skład zestawu Deco P9 wyglądają dość intrygująco. Anteny oraz router korzystający z AV 1000 Powerline ukryte są wewnątrz obudowy w kształcie tuby o stosunkowo małych rozmiarach (190 x 90 mm, 7 x 90 mm) i minimalistycznym wzornictwie. Można je więc bez wstydu postawić na komodzie czy szafce telewizyjnej. Z tyłu obu wież ukryto dwa gigabajtowe porty Ethernet.

Najważniejsze jest jednak to, co ukryto wewnątrz wieżyczek. Producent umieścił w nich procesor Qualcomm, a także zastosował sprytnie połączenie tradycyjnego transmittera sieciowego, który umożliwia utworzenie wydajnej sieci mesh z technologią PLC, dzięki której przekazywanie sygnału internetowego za pośrednictwem sieci elektrycznej pozwala rzeczywiście zlikwidować martwe strefy wi-fi, czyli obszary, do których sygnał sieci bezprzewodowej po prostu nie może się dostać. Sposób działania jest bajecznie prosty: tam, gdzie jest to możliwe, Internet przekazywany jest przez szybką sieć mesh, a gdy na drodze



sygnału stają poważne przeszkody, takie jak grube ściany czy żelbetonowy strop, to jest on wówczas przekazywany poprzez istniejącą sieć elektryczną.

Zaletą Deco P9 jest bajecznie prosta konfiguracja. Wystarczy pobrać darmową aplikację na smartfon i postępować zgodnie z wyświetlanymi instrukcjami. Podłączenie testowanego zestawu składającego się z dwóch urządzeń (dostępne są też zestawy z trzema wieżami) zajęło w redakcji nie więcej niż trzy minuty. Aplikacja podpowiada też, gdzie należy umieścić urządzenia Deco, aby zasięg sieci bezprzewodowej był jak najlepszy.

Czy to działa? Tak. Wrażenie robi zwłaszcza potężny zasięg testowanego zestawu. W niewielkim trzystumetrowym domu rzeczywiście nie

było takiego punktu, do którego nie docierałby sygnał wi-fi. Gorzej było z szybkością transferu. Oficjalnie Deco P9 powinno zapewniać do 867 Mb/s w przypadku 5 GHz oraz do 300 Mb/s przy 2,4 GHz. Rzeczywista prędkość transferu różni się rzecz jasna m.in. w zależności od liczby i rodzaju przeszkód, które napotyka po drodze sygnał. W przypadku naszego testu prędkość transferu była wyraźnie niższa niż w przypadku produktów konkurencji z podobnej półki cenowej.

Plusem Deco P9 jest to, że można do niego podłączyć nawet 100 urządzeń jednocześnie.

A wady? Na pewno brakuje wsparcia dla wi-fi 6. Wprawdzie obsługiwany przez Deco P9 standard wi-fi 5 ma całkiem przyzwoitą przepustowość, ale coraz więcej smartfonów i laptopów pracuje już w oparciu o nowszy i istotnie szybszy standard wi-fi 6 wprowadzony oficjalnie trzy lata temu. Druga wada: zbyt mała liczba portów RJ45. A także stosunkowo wiekowy standard szyfrowania przy pomocy WPA2 (niektórzy konkurenci oferują już WPA3).

Mimo minusów testowany zestaw jest wart rozważenia ze względu na innowacyjną hybrydową technologię, która może się dobrze sprawdzić zwłaszcza w przypadku piętrowych domów czy biur. Cena testowanego zestawu składającego się z dwóch urządzeń – przeznaczonego do powierzchni około 370 m kw. – wynosi 633 zł. Za zestaw trzech urządzeń, który według producenta może objąć zasięgiem sieci wi-fi aż 560 m kw., trzeba już zapłacić 970 zł. © © **Jacek Przybylski**

WI-FI WSZĘDZIE

Firma AVM, niemiecki producent urządzeń sieciowych, wprowadziła na polski rynek najnowszy wzmacniacz sygnału sieci bezprzewodowej. Kompaktowy FRITZ!Repeater 1200 AX, działający w wi-fi 6 z obsługą Mesh – z dwoma antenami dla zakresu 2,4 GHz oraz 5 GHz – można po prostu włożyć do gniazdka elektrycznego, banalnie prosto połączyć go z routerem i przyspieszyć działanie Internetu nawet w najdalszych zakątkach domu. FRITZ!Repeater jest również wyposażony w gigabitowy port LAN, dzięki któremu do wzmacniacza można podłączyć urządzenia, które nie mają wbudowanych modułów wi-fi. Według producenta urządzenie może osiągać przepustowość nawet do 3000 Mbit/s. Cena: 425 zł.



Leica Summicron o ogniskowej 19 mm z przysłoną f/1,9, który wspierany jest przez sensor głębi 1,9 Mpix. Moduł aparatu umieszczonego na tylnej klapce obudowy jest chroniony za pomocą zdejmowanej osłonki z logotypem marki. Do robienia selfie służy z kolei aparat o rozdzielczości 12,6 Mpix (f/2,3). Producent udostępnił użytkownikom tryby pracy aplikacji do robienia zdjęć, które odzwierciedlają działanie tradycyjnych aparatów i służą do robienia zdjęć szerokokątnych, portretowych i monochromatycznych, do fotografii ulicznej, a także do kręcenia filmów. Wyświetlacz o przekątnej 6,6 cala ma rozdzielczość 1260 x 2730. Flagowiec firmy Leica, wyposażony w wydajny procesor Snapdragon 8 Gen 1 i 12 GB pamięci RAM, na razie jest dostępny tylko w Japonii. Cena: równowartość 7325 zł. © © **Jacek Przybylski**



SMARTFON DLA FOTOGRAFÓW

Firma Leica zaprezentowała model Leitz Phone 2. Ma on aparat o rozdzielczości 47,2 Mpix z matrycą w formacie jednego cala połączoną z obiektywem

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Andruszowska lekcja geopolityki



JACEK KOMUDA

Andruszów, czyli dzisiejsze Andrusowo, to wioska położona w dawnym województwie smoleńskim, w połowie drogi między Smoleńskiem a Mohylewem, obecnie znajduje się w Rosji. Dziś to typowa postsowiecka osada – pustka, ot, kilka domów z drewnianą wygódką.

A jednak tutaj wydarzyła się rzecz, która miała ogromny wpływ na losy Rzeczypospolitej i Europy Wschodniej. 30 stycznia 1667 r. Korona i Litwa wyczerpane wojnami, najpierw kozackimi, potem moskiewskimi, wreszcie potopem szwedzkim, najazdem Rakoczego, zawarły rozejm z Moskwą, odstępując jej znaczne obszary na wschodzie państwa. Sytuacja przypominała dzisiejszą wojnę na Ukrainie i pierwsze próby zmuszenia Kijowa do ustępstw, do poniesienia strat terytorialnych i zawarcia pokoju, który ma przywrócić spokój, w rzeczywistości zaś oznacza przy-

szsle wzmocnienie Moskwy i jej umocnienie się na zdobytych, strategicznych pozycjach. Rosja bowiem tak samo jak dziś wryła się wówczas zębami i pazurami w ziemię, fortyfikując zdobyty Smoleńsk i Kijów,

wzmacniając twierdze na pograniczach i stosując taktykę spalanej ziemi przeciwko wyprawom wojсковym Rzeczypospolitej. Z drugiej strony Korona i Litwa zostały zmuszone do zawarcia układu przez sytuację wewnętrzną – krajem wstrząsnął rokosz Lubomirskiego, który uniemożliwił przeprowadzenie reform, doprowadził do wygubienia doświadczonych żołnierzy, a Kozaków skłonił do kolejnego sojuszu z Tatarami i pobicia dywizji Sebastiana Machowskiego pod Braiłowem. Klęska ta przyspieszyła zawarcie rozejmu; dodatkowo dyplomaci polscy i litewscy łudzili się, zapewne podobnie jak dziś USA, że



FOT. DOMENIA PUBLICZNA

ustępstwa dla Moskwy skłonią ją do zawarcia sojuszu i wspólnego wystąpienia przeciwko trzeciej stronie – dziś Chinom, wtedy – Chanatowi Krymskiemu.

W chwili zawarcia rozejmu w Andruszowie Moskwa znajdowała się w głębokim kryzysie. Przede wszystkim miały miejsce ogromna inflacja i spadek wartości pieniądza, państwem wstrząsały powstania – jak w 1662 r. „bunt miedziany” w Moskwie, walki w Nowogrodzie i Pskowie, wreszcie narastające na południu kraju od 1665 r. powstanie kozackie Stiepana Razina. Gdyby nie sytuacja wewnętrzna, a przede wszystkim haniebna działalność Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, istniała możliwość mocnego przyciśnięcia Moskwy, która była w stanie już tylko bronić wcześniejszych zdobyczy – podobnie jak dzisiejsza Rosja na Ukrainie.

Z możliwości tej Rzeczypospolita nie była w stanie skorzystać. Rozejm w Andruszowie zwracał jej nieliczne tereny – jak Inflanty Polskie, części województwa połockiego i witebskiego. Jednak straty terytorialne były ogromne. Moskwa zatrzymywała całe województwo smoleńskie z ogromną twierdzą, województwo czernihowskie i całe Zadnieprze.

Rozejm tworzył wiele groźnych precedensów, które zostały

potem pogwałcone przez Moskwę. Pierwszy to sprawa Kijowa, który miał być oddany pod zarząd rosyjski tylko na dwa lata, potem zaś zostać zwrócony Koronie. Tymczasem car nigdy go nie oddał. Podobnie Zaporozże, na którym znajdowały się siedziby Kozaków, miała stać się terenem zarządzanym wspólnie przez Rzeczypospolitą i Moskwę. W rzeczywistości ta ostatnia przejęła nad nim pełną kontrolę. Los tych ostatnich terenów pokazuje, że nadanie jakimś ziemiom tymczasowego statusu w dyplomatycznych umowach z Moskwą zawsze kończy się jej zwycięstwem, gdyż Rosja nie dotrzymuje umów i nie odda tych obszarów w przyszłości. Jeśli zatem w przyszłych traktatach Krym pozostanie pod władzą Kremla przez jakiś czas, oznaczać to będzie, że Rosja i tak go anektuje i nigdy Ukrainie nie zwróci – jak Kijowa po 1667 r.

Traktat w Andruszowie był tylko rozejmem podpisanym na 13 i pół roku; po tym czasie przewidywano zawarcie pokoju lub wznowienie wojny. Nigdy to nie nastąpiło. Zmuszona przez wojnę z Turcją Korona i Litwa zawarły w 1686 r. tzw. pokój Grzymułtowskiego potwierdzający warunki Andruszowa. Oznaczał on oddarcie od Rzeczypospolitej szeregu wschodnich ziem, pozwalających zająć Moskwie wygodne pozycje do ingerowania w jej wewnętrzne sprawy. Nawet mapa Rzeczypospolitej z utraconymi wówczas terytoriami przypominała bardzo współczesną Ukrainę z terenami zajętymi przez Rosjan. I nie ma tutaj znaczenia, że zajęta wewnętrznymi sprawami Moskwa czekała prawie 30 lat na okazję do wmieszania się w sprawę sąsiada. Jeśli Ukraina zawrze dziś niekorzystny pokój, to wtedy Rosja, putinowska, nawałna czy jakkolwiek inna, poczeka spokojnie na czas i okazję, aby go zrewidować równie bezwzględnie co zawarty na warunkach Andruszowa pokój Grzymułtowskiego. ©



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Pora na kolej

Podróż koleją od dziecka kojarzyła się nam z wielkim wydarzeniem i ekscytacją. Pociąg relacji Szczecin – Przemysł przyjeżdżał na stację w Bytomiu o bardzo wczesnej porze, musiałyśmy stawić się na peronie z bagażami tuż przed 4 rano. Często podczas tych wyjazdów towarzyszył nam nasz dziadek Józef, kolejarz, który o kolei wiedział wszystko, więc z nim czułyśmy się bardzo komfortowo. Uwielbiałyśmy te wspólne podróże, szczególnie wizyty w restauracyjnym wagonie Wars, gdzie wszystko smakowało wyjątkowo dobrze.

25 listopada to Dzień Kolejarza. Tego dnia wspominamy również św. Katarzynę Aleksandryjską, patronkę kolejarzy, kobietę słynącą z wielkiego męstwa i mądrości. Od tego dnia rozpoczyna się w Kościele okres adwentu, bo jak mówi przysłowie: „Święta Katarzyna adwent rozpoczyna, a św. Jędrzej jeszcze mędrzej”. Na wsiach organizowano tzw. katarzynki – w wigilię św. Katarzyny kawalerowie wróżyli, który pierwszy się ożeni, bo „kto zaleca się w adwenta, będzie miał żonę na święta”.

Dla nas to święto ma szczególne znaczenie, również ze względu na dziadka. Ten dzień dla większości pracowników kolei jest dniem wolnym od pracy. Organizuje się wówczas liczne uroczystości oraz pielgrzymkę na Jasną Górę, aby podziękować Matce Bożej za opiekę, wsparcie i bezpieczeństwo na torach. W naszym domu tego dnia podawano flaki wołowe, które

gotowano na rosole wołowym z dodatkiem wołowego mięsa. Jak się dowiedzieliśmy, jest to jedno z ulubionych dań kolejarzy, bo, jak wiadomo, flaki wołowe to prawdziwie męska potrawa. Zapewne też dlatego, że są sycące i rozgrzewające, a praca na kolei często w niekorzystnych warunkach pogodowych wymaga solidnego posiłku.

Przepis na flaczki

Rosół: • 2 kg mięsa wołowego (szponder, łata, pręga), włoszczyzna, cebula podpieczona na suchej patelni • 1 łyżka soli • ½ łyżki pieprzu • 4 ziarenka ziela angielskiego • kilka liści laurowych • 2–4 ząbki czosnku • ½ łyżeczki imbiru • 1 duża łyżka majeranku • 1 łyżka papryki słodkiej • ½ łyżki ostrej papryki • 1 łyżeczka gałki muskatowej

Na zasmażkę: • 1 łyżka mąki • 1 łyżka masła. Oraz oczywiście • 1 kg flaków świeżych, gotowych.

Mięso wkładamy do zimnej wody, zagotowujemy, ściągamy szumowinę i dodajemy obraną włoszczyznę, wszystkie przyprawy i gotujemy ok. 3,5–4 godz. 1 kg flaków przekładamy do garnka, zalewamy wodą i zagotowujemy, wodę wylewamy, zalewamy jeszcze raz czystą wodą, czynność powtarzamy. Ostatni raz gotujemy flaki do miękkości ok. 1 godz.

Mięso z rosółu wyjmujemy, rosół przecedzamy, mięso i warzywa kroimy na małe kawałki, ugotowane flaki przecedzamy i dodajemy do rosółu razem z kawałkami mięsa i warzyw. Gotujemy jeszcze razem ok. ½ godz., dodajemy wszystkie przyprawy (2–4 ząbki czosnku na końcu), dodajemy zasmażkę, zagotowujemy i podajemy ze świeżym pieczywem. ©



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Coś, o czym się nie mówi

Widzę, że mają państwo sedes z półeczką – powiedział pan Z., wracając do salonu po chwilowej nieobecności na zebraniu towarzyskim. Zapanowała skonfundowana cisza. – Z półeczką? To świetne, ale bardzo dzisiaj trudne do dostania. Już chyba takich nie produkują – odezwał się pan M. przy drugim końcu stołu. – Mój gastrolog mówi, że konieczne trzeba mieć. Jak państwo to zdobyli? – zwrócił się do gospodarzy.

Okazało się, że dla młodszych uczestników przyjęcia sprawa półeczki nie jest do końca zrozumiała, więc starsi pośpieszyli z objaśnieniem. Po czym rozmowa o sedesach potoczyła się warkotem już bez zahamowań.

Niektórzy byli zorientowani w geberkach, wiedzieli, czym różni się dolnopluk od górnopluka. Dwóch panów posiadało głęboką wiedzę fachową: potrafili wyodrębnić grupę sedesów z kołnierzem oraz bezkołnierzowych. Niedoinformowanym wyjaśnili, że jest to sprawa czyszczenia: bezkołnierzowy jest wygodniejszy. Zabrał głos pan S., człowiek, jak się okazało, o wyjątkowo ekstrawagancjach skłonnościach. Pochwalił się urządzeniem z systemem automatycznie myjącym.

– Widziałem to w Japonii i pomyślałem, że też muszę to mieć w domu – powiedział.

– Myje zimną wodą? – zainteresowało się gremium.

– Ja, gdybym na coś takiego natrafiła, bardzo bym się przestraszyła – wyznała szczerze jego sąsiadka pani C. – I wcale bym nie chciała czegoś takiego.

– A co państwo sądzą o samoopadającej desce? – zapytała gospodyni, widocznie chcąc podtrzymać interesujący wątek.

– Mieliliśmy taką, ale nie mieliśmy czasu nawet sprawdzić, jak działa, bo dzieci zaraz zepsuły – westchnął N., młody człowiek, ten sam, który nie wiedział, co to jest półeczka.

– No tak, nie wolno dociskać, deska sama opada – stwierdzili jednomyślnie wtajemniczeni.

Zapadła chwila ciszy. I wtedy z głębi salonu dał się słyszeć tubalny bas profesora B., znanego chirurga onkologa.

– Proszę państwa, jako lekarz oświadczam, że rak jelita grubego jest drugim po raku piersi nowotworem killerem, przeważnie ze względu na brak objawów zbyt późno wykrywanych. Ale wcześniej wykryty daje pacjentowi szansę. Dlatego, nie wdając się w szczegóły, chciałbym podkreślić, że sedes z półeczką może być nieocenioną pomocą – i westchnął głęboko, a reszta razem z nim, wyrażając poparcie.

Po czym dyskusja zeszała na tematy bieżące: inflację, drożyznę, wojnę na Ukrainie. I tu już trudniej było o jedno-myślność. ©



FOT. ADAM STOLC



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Upadek Watykanu zero-COVID

Komunistyczna Partia Chin ogłosiła odejście od polityki zero-COVID. Polegała ona na tym, że z COVID walczyło się do dostatniego zakażonego (testami), co oznaczało, że na wieść o pojedynczych zakażeniach zamykało się miliony po domach pozytywnych testowo – bez względu na wiek, czyli dzieci też – izolowano od rodzin i zamykano w tymczasowych ośrodkach, gdzie czekało się, aż maszynka losująca testów pozwoli wyjść.

Skala zero-COVID w Chinach dotyczyła setek milionów ludzi. Właściwie można mówić o religii, bo założenia były bardziej oparte na wierze. Spełniała ona wszelkie reguły religii: cel szczytny, acz oddalony poza horyzont sprawdzalności (wykorzenienie COVID z powierzchni ziemi), byli też prorocy-eksperti z ewangelią covidowych zaleceń, mieliśmy też wizję respiratorowego piekła i raju szczepionkowego. Był też czyściec, czyli cierpienie za covidowe grzechy w otcłaniach czeluści kwarantann i lockdownów.

Kiedy już tylko Chiny zostały na tym przegranym placu boju, szukano różnych uzasadnień dla tej postawy. Chiny miały to kontynuować nie z przyczyn epidemiologicznych, bo te już zdyskredytowała fala naukowych badań. Powodem miało być trzymanie w reżimie swego społeczeństwa, dla którego obostrzenia covidowe były zrozumiałe, bo znane. Sprawdziła się stara zasada, że władza, która w sytuacjach nadzwyczajnych dąży do swej

ekspansji, będzie stwarzała stany nadzwyczajne, by ją eskalować.

Teraz to odejście, po zamieszkach w kilku miastach, oznacza, że ten argument był niesłuszny albo stał się niesłuszny ze względu na nastroje społeczne. Chińskie władze, wycofując się, wręcz przyznały rację Wielkiej Deklaracji z Barrington, w której tysiące medyków i prawników z całego świata wskazywało na bezsens światowo przyjętych „środków zaradczych”. Okazuje się, że jednak trzeba się przyzwyczaić do dość powszedniego wirusa. Nie trzeba się kwarantannować, można nie testować wszystkiego, co się rusza.

Czy ten odwrót to efekt nastrojów społecznych czy po prostu lockdownowanie gospodarki przestało się opłacać – to już kwestia spekulacji. Bo może być i to, i to. Ważne jest, że być może jesteśmy świadkami końca tej upiornej religii i więcej krajów nie pójdzie tą drogą, choć chęć była przemożna.

To dobrze, bo już jedne „wzory” poszły od Chińczyków w świat. I ten nie za dobrze na tym wyszedł. Chińskie zamordystyczne pomysły z początków pandemii, na początku wyśmiewane jako totalitarystyczne, znakomicie się na Zachodzie przyjęły. Może więc dość tego eksportu pomysłów? Choć wiadomość, że główny dorobek pekińskiego doświadczenia covidowego, czyli system kontroli społecznej, jest znakomicie przyjmowany do wdrożenia przez Zachód, może napawać już pesymizmem. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Powstańcy, misjonarze

Niepostrzeżenie 1 listopada minęła 200. rocznica urodzin jednego z najwybitniejszych Polaków XIX stulecia, bp. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego. Na szczęście odnotował to nasz tygodnik świetnym tekstem „Patron na ciężkie czasy”.

Myśląc o bohaterach, którym zawdzięczamy odzyskanie niepodległości po 123 latach zaborów, obok Piłsudskiego, Dmowskiego, Paderewskiego, Korfanteo i Witosa wymieniamy się romantyków, wieszczów, malarzy, kompozytorów, pisarzy. Z rzadka wspomina się o małym znanej rzeszy wybitnych kobiet i mężczyzn, którzy od powstania listopadowego walczyli z bronią w ręku, konspirują, angażują się w tworzenie szkolnictwa w języku polskim, a potem w ich życiu następuje zwrot. Walkę o niepodległą Polskę zastępują misją ewangelizacyjną. Realizują w ten sposób ideę, którą wyraził Badań Jański, sekretarz i powiernik Adama Mickiewicza, współzałożyciel zmartwychwstańców – że droga do niepodległej Polski prowadzi przez odrodzenie i zmartwychwstanie ducha.

Ewangelizacja według Jańskiego jest najprostszą drogą do wolności, pojmowanej pełniej, ponieważ służba Bogu, bliźniemu i ojczyźnie niebieskiej najskuteczniej przyczynia się dla dobra narodowej wspólnoty i ojczyzny ziemskiej. Tym, co charakteryzuje tych świętych szaleńców, oprócz podobieństwa biografii, jest świadomość, że w pojedynkę nic nie zdziałają.

Zakładają w tym celu zgromadzenia zakonne (powstają one w tym okresie ok. 40). A nie jest to proste, ponieważ zaborcy przeprowadzają kasty zakonów, przejmując dobrą klasztorów, zabraniając przyjmowania kandydatów do nowicjatów. Stąd w Polsce pojawia się nowatorska idea zakonów niejako zakonspiroowanych – bezhabitowych. Życie zakonne, jak powiedział jeden z duchowych gigantów owej epoki Honorat Koźmiński, nie polega na habicie i klasztorze, ale na całkowitym oddaniu się Bogu i bliźniemu.

Feliński jeszcze jako kapłan w Petersburgu i pod pretekstem pracy charytatywnej zakłada Zgromadzenie Sióstr Rodziny Maryi. W zapiskach z tego okresu Feliński wyznaje, że tym, co stanowi skuteczną zaporę przed rusyfikacją i germanizacją Polaków, są święta wiara katolicka, wierność zdrowej nauce Kościoła i łączność ze Stolicą Apostolską (wtedy jeszcze były to pojęcia tożsame).

W 1862 r., w stolicy, nasila się antyrosyjskie wrzenie. Nieprzejeżdżana patriotyczna postawa biskupa sprawia, że po półtorarocznej misji w Warszawie trafia on na 20-letnie zesłanie w głąb Rosji. Polecam gorąco pamiętniki Felińskiego, szczególnie kapłanom i biskupom. Walka o prawowitą naukę katolicką, zarliwość ewangelizacyjna i mądry, rozważny patriotyzm to kwestie, które są aktualne i potrzebne tak dziś, jak w czasach św. biskupa Zygmunta. ©©

SŁAWOMIR
JĄSTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Być szczerym

Byłem na meczu Polska – Chile rozgrywanym na stadionie Legii. Stop. Na VIP-owskim sektorze serwowano bardzo smaczną kaczkę. Stop. Czerwone wino było jednak za kwaśne, proszę to zmienić na przyszłość! Stop. Natomiast śledziki wyborcze, wyborcze, talerze zlizywać! Stop. I to by było na tyle, jeśli chodzi o grę naszej reprezentacji przed mistrzostwami świata w Katarze. Stop.

Żyjemy w demokratycznym kraju, każdy może sobie wybrać, co chce. Stop. W związku z tragiczną śmiercią dwóch Polaków po eksplozji rakiety w Przewodowie, biorąc pod uwagę osobiste preferencje polityczne, wybrać można: A – Jeśli jesteś za PiS, to polityka informacyjna rządu i działania w tym zakresie były po prostu profesjonalne i rozważne; B – Jeśli jesteś za opozycją, to polityka informacyjna rządu i działania w tym zakresie były kompletną amatorką i chaosem. Stop. I tak to się ze wszystkim w tym kraju kręci. Stop.

Twitter przypomniał okładkę „Przeglądu Sportowego” sprzed 22 lat. Stop. I teraz to ja nie wiem, czy to aż 22 lata czy tylko 22, ale sporo się pozmieniawszy. Stop. Na pierwszej stronie zdjęcie Emmanuela Olisadebe po meczu Rumunia – Polska. Stop. Jeśli ktoś nie pamięta, to Oli był reprezentantem Polski w piłkę kopaną i strzelił wtedy w Bukareszcie gola. Stop. Dobra tam, zdjęcie nieważne, tytuł ważny. Stop.

A ten brzmiał: „Murzyn potrafi!”. Stop. No luudzie „radaktory”, za taki tytuł to by was teraz wywalili dyscyplinarnie w 17 mgnień wiosny. Stop. Swoją drogą ciekawe, jak powinien wyglądać taki tytuł teraz? Stop. „Afropolak potrafi!”? Stop. Mnie chyba też wywał z roboty za te głupoty, które tu wypisuję. Stop. Niedobrze.

Sutryk to jest nazwisko Jacka, który dba o przyszłość i jest aktualnie Wrocławia prezydentem. Stop. Media jednak przekorne nie chwalą Jacka za przyjaźnię. Nie, nie, nie. Stop. A czemuż to? Stop. Okazuje się, że we Wrocławiu są wodociągi i aquapark, czego nie należy potępiać. Stop. Te jednak powołały, teraz uwaga, rady programowe. Stop. A tam zasiadają akurat, jaki to przypadek, znajomi królika. Stop. Spotykają się raz w roku i dostają za to 12 tys. zł. To miłe. Stop. Ale nie dla podatników. Stop.

Ponieważ zbliżają się Święta Bożego Narodzenia, pragnę poinformować, że i tu się zmienia, jak z tym słowem „Murzyn”. Stop. Inaczej niż kiedyś pisze się już do św. Mikołaja i inaczej argumentuje. Stop. Nowe, własnoręczne życzenia jakiegoś dziecka udostępnił na Twitterze Eric. Stop. „Kochany Mikołaju. Proszę Cię o brokaty, biurko, lego, czekoladki. Byłam grzeszna”. Przypomniało mi się, jak Izabel mówiła do Marcinkiewicza: „Kazimierz, pamiętaj być szczerym”. Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Paryż – Berlin – Moskwa – Pekin

Małgośka, mówią mi, w niektórych mediach pracują wirtuozi od fałszu.

No właśnie, tylko problem w tym, że fałsz przedstawiają jako czysty dźwięk, a prawdę jako prawicową propagandę. Należy im życzyć, aby trafili w końcu do izby wytrzeźwień dla opętanych ojkofofobą. Podobni są do retuszerów Lenina, którzy musieli zębami nieurodzajowej, o małych, chytrych oczkach wykonać wodza idola, którego poko-chałyby nawet małe dzieci.

**Owszem, można
przejsć na pozycję
wroga, pozostając
geograficznie na
własnych**

I tak samo nasza opozycja – retuszuje na kolanach wredną gębę Unii, która jako projekt Schumana już dawno zalatuje trupim fetorkiem, i to pomimo perfum.

Podobny los spotyka mainstreamowe media, które niestrudzenie pudrują buźki Scholzowi i Macronowi. Do prawdy należy im współczuć całodobowego dyżuru przy liftingu ponurej rzeczywistości. To one nas informują, że Niemcy i Francja ramię w ramię wyzwoliły się same z ciągót i sojuszy z imperialną Rosją. A jakże! To oś Paryż – Berlin kieruje wszak unijną wspólnotą, choć zapominają dodać, że pełną równych i równiejszych. Bo oczywiście to nieprawda, jakoby Paryż i Berlin wydzwaniały do

Kremla ponad naszymi głowami. Oni po prostu dzwonili na zegarynkę do Moskwy. Nie jest też prawdą, że Berlin – Paryż omijały embargo na sprzedaż broni! Ta broń im się po prostu sama rozeszła pokojowo! A fakt, że akurat nie trafiała na Ukrainę, to wina zapór i zasieków, które postawił PiS na granicy z Białorusią. Oczywiście, nawet jeśli Paryż – Berlin wstrzymują fundusze unijne, to nie dlatego, aby „zagłodzić Polskę finansowo”, tylko dlatego, że dyliżans z kasą z Brukseli stoi w korku. Zresztą Polska sama jest sobie winna, bo ma niższą kulturę prawną, dlatego musi odstać swoje pod pręgierzem.

Scholz ma dla nich tak obłędny seksapil, że nawet gdy wysyła na ukraiński front plastikowe kaski i wymienia uściski z sekretarzami Komunistycznej Partii Chin, to i tak jest stokroć bardziej mężem (ich) stanu niż polski premier czy prezydent. Jeśli Macron wznosi toast za partnerstwo strategiczne z Chinami, to widocznie kuchnia francuska i chińska mają sobie coś do przekazania. Oś Paryż – Berlin – Moskwa – Pekin dla naszej opozycji jest znacznie bardziej naturalna niż więź z własnym krajem. Naprawdę, obserwując naszych „separatystów”, trzeba stwierdzić, że, owszem, można przejsć na pozycję wroga, pozostając geograficznie na własnych. Polactwo ma jednak inny kod kulturowy, to znaczy ten kodziarski. Tymczasem demokracja – głupcy – została stworzona również po to, aby nie było wojen domowych... ©©



WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Niepodległość **dziś**

11 listopada skłania do różnych refleksji nad pojęciem niepodległości, a także nad stosunkiem Polaków do własnego państwa. Trudno czasem znaleźć jakąś wyrazistą miarę tego stosunku, jednak ostatnio opublikowano sondaż IBRIS dla Radia Zet, z którego wynika, że 63,8 proc. respondentów popiera budowę zaporę na granicy Polski z obwodem królewieckim, podczas gdy 22,8 proc. z nich jest jej przeciwna, a reszta, czyli 13,4 proc. respondentów, nie ma zdania (Adrian Siwek, „Miller nie widzi zagrożenia w Rosji”, „Gazeta Polska Codziennie”, 8.11. 2022 r.).

Można się oczywiście zastanawiać, czy jest to najlepszy wskaźnik stosunku Polaków do niepodległego państwa, ale jest to sondaż istotny. Mówi on

nie zauważyli ci, którzy owych „uchodźców” chcieli w Polsce przygarniać, a obrońców granicy z Białorusią nazywali „śmieciami”. Wiele to mówi o stosunku do polskiej niepodległości tej części polskiej opinii publicznej.

Owe 22,8 proc. przeciwników zaporę wyraziło zapewne swój osąd głównie dlatego, że nienawidzą rządu Zjednoczonej Prawicy, ale niewiele zmienia to wymowę tego odsetka. Gdyby tak było, to znaczyłoby to, że nienawiść do rządu przeważa u tych respondentów nad potrzebą bezpieczeństwa. Również owe 13,4 proc. obojętnych wobec sprawy zaporę nie wygląda optymistycznie. Być może taki czy inny rząd jest im obojętny, ale w związku z tym obojętne jest im także bezpieczeństwo państwa. Wygląda więc na to, że dla ok. 36 proc. Polaków sprawa

Wiemy dobrze, że wolność ma swoje ograniczenia, więc i niepodległość małego lub średniego państwa jest uzależniona od wielu czynników. W państwie demokratycznym samodzielność ma walor reprezentatywności władz, nawet jeśli są one kontestowane przez pewną część społeczeństwa. Problem w tym, czy ta część społeczeństwa kontestuje poszczególne decyzje władz czy same władze i interes państwa. Niepodległość jest zaś kwintesencją interesu państwa.

Na przytoczone dane można jednak spojrzeć w kontekście historycznym. W 1939 r. Polska była zamieszkała przez ok. dwie trzecie etnicznych Polaków i ok. jedną trzecią mniejszości narodowych – Ukraińców, Białorusinów, Żydów, Niemców, Litwinów, Rosjan czy nawet Czechów. Gdy przyszła wojna, część mniejszości, zwłaszcza na kresach wschodnich i zachodnich, zachowała się jak „piąta kolumna”, ale do obrony Polski stanęły dywizje Wojska Polskiego, obsadzone także żołnierzami nie-Polakami, i ich dezercje były zupełnie sporadyczne. Można więc powiedzieć, że o porażce w 1939 r. zdecydowały czynniki inne niż słabe morale w wojsku – położenie strategiczne, czyli wojna na dwa fronty, oraz słabsze wyposażenie materialne.

Jeśli więc nawet jednak jedna trzecia naszych obywateli ma do niepodległości stosunek obojętny, to w godzinie próby dwie trzecie obywateli o wysokim morale mogą wystarczyć, byleby pozostałe czynniki nie zawiodły. Zapory należy więc budować, armię należy rozwijać liczebnie, szkolić i uzbrajać w nowoczesny sprzęt, a co także niezwykle ważne – zapewnić skuteczność sojuszy. ©

Rosja prowadzi barbarzyńskie działania wojenne przeciw sąsiedniej Ukrainie, a więc w przypadku sukcesu może bez wahania zastosować środki wojenne przeciw Polsce

o tym, na ile współcześni Polacy przejmują się zagrożeniem ze strony Rosji, a więc zagrożeniem niepodległości. Zagrożenie to nie jest wydumane. Rosja prowadzi barbarzyńskie działania wojenne przeciw sąsiedniej Ukrainie, a więc w przypadku sukcesu może bez wahania zastosować środki wojenne przeciw Polsce. Wojnę psychologiczną przeciw Polsce Moskwa prowadzi już od dawna, a próby destabilizacji naszego kraju przy pomocy rzekomych uchodźców z terenu Białorusi wskazują na elastyczność imperium rosyjskiego w stosowaniu środków wojennych. Szkoda, że tego

niepodległości jest sprawą obojętną albo drugorzędną. Wydaje się to prawdopodobne, zważywszy na skalę poparcia dla partii, które w Unii Europejskiej działają na rzecz odebrania Polsce funduszy unijnych. Można nad wymową tego faktu rozdzierać szaty, można też się pocieszać, że jednak prawie dwie trzecie naszych obywateli przejmują się tym, czy Polska będzie krajem niepodległym czy nie.

Niepodległość jest rzeczą ważną o tyle, że pozwala władzom samodzielnie podejmować decyzje o losie państwa. Niepodległość można nazwać wolnością państwa.

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJARDASIAW.SZKISKI

Nie chciałem nikogo urazić” – to słowa, które nie powinny nigdy paść z ust polityka!

Co to za chałowy polityk, którego celem jest nie urazić nikogo? Chałowy, bezna-dziejny, mialki, bezcelowy. W polityce masz mieć cele konkretne, które niekoniecznie wszystkim pasują. Masz reprezentować jakąś ideologię, która na pewno nie będzie ideologią wszystkich wyborców, bo ideologia zadowolająca wszystkich nie istnieje. Jako polityk masz coś konkretnego realizować, niezależnie od tego, że to się nie wszystkim podoba i niektórzy się na ciebie obrażą.

„Nieobrażanie nikogo” oznacza grę uników. Oznacza, że polityk stara się nie zrobić ani nawet nie mówić niczego kontrowersyjnego, czyli najlepiej, gdy nie robi nic poza grą pozorów. Posiedzę na stołeczku, jak Ziobro, pokręcę się w sejmowym przeręblu, jak... to, co się zwykle kręci w przeręblu i tyle.

Reforma sądownictwa z definicji musi kogoś obrażać. No np. tych komunistycznych trepów, których chcemy wywalić na zbity pysk. A gdy ich już skutecznie wywalimy, to się dodatkowo obrazi Unia. Więc albo-albo. Albo zrobisz reformę i przy okazji obrazisz tysiące, albo udajesz, że robisz reformę.

Kaczyński powiedział niedawno, że „nie chciał nikogo urazić”, gdy mówił o pijanych kobietach. Na podobnej zasadzie dawno temu pijany Kwaśniewski powtarzał, że jego celem jest „być prezydentem wszystkich Polaków”. Pomiedzy tymi dwiema wypowiedziami była cała masa podobnych – Duda też chce zadowolić wszystkich, Morawiecki chce „zadbać o wszystkich”, wszystkim coś dać

z tego, co najpierw wszystkim pozabiera i część przeje.

W USA wynik wyborów fifty-fifty. To oznacza, że żadna z partii nie miała programu wystarczająco kontrowersyjnego, by pociągnąć za sobą naród. Wybory pomiędzy dżumą a cholerą lub pomiędzy grypą typu D a grypą typu R. Obie grypy takie same. Czyli... obie grupy grały na przetrwanie układu, a nie na zwycięstwo totalne.

Aby zagrać o zwycięstwo totalne, trzeba zaryzykować totalną porażkę – DLA SPRAWY, w którą wierzysz. Politycy zawodowi tego nie robią, bo oni nie wierzą w nic poza hasłem „polityk zawodowy”. Aby nie stracić pracy w „zakładzie” zatrudniającym „zawodowych polityków”, trzeba grać na utrzymanie niezachwianego układu sił, czyli działać na pół gwizdka. Lepiej nie obrażać, lepiej nie ryzykować, gdy chcesz się pokręcić w przeręblu i ewentualnie pozamieniać tylko kilka stołków, tak by naród odniósł wrażenie, że wybory się odbyły, ale by jednocześnie nie wybrano niczego, co może kogoś obrazić.

Ronald Reagan zagrał o wszystko. Wyśmiewali go, że się na niczym nie zna, że nie jest politykiem oraz proponuje wyścig zbrojeń, czyli ostrą konfrontację nakierowaną na pokonanie komunistycznej Rosji. Proponowano mu, by spuścił z tonu, bo jego propozycje zachwieją istniejącym porządkiem świata, rozwalą ekonomię, a przede wszystkim spłoszą wyborców.

Reagan utrzymał swój program i zwyciężył rekordowo – w 44 stanach. Cztery lata póź-

niej pobił własny rekord, „obrażał” jeszcze bardziej i zwyciężył tym razem w 49 stanach z 50. Miał kontrowersyjne pomysły, wierzył w to, co proponuje, zaryzykował przegraną i dlatego wygrał. Od początku spał na straty część głosów, nie starał się na siłę podobać wszystkim, rezygnując z programu, w który wierzył.

Trump w roku 2016 zrobił podobnie. Nie próbował przypodobać się wszystkim, lecz przekonywał każdego, że to, co proponuje, jest obiektywnie dobre.

Opcja „były tylko nikogo nie obrazić” jest beznadziejna! Dobrym przykładem jest obecna polityka finansowa RP – bez przerwy oglądamy się na to, co robią inni, bo wtedy pokręcimy się razem z innymi w tym samym przeręblu. Brytyjczycy podnoszą stopy procentowe, to i my podnosimy, powołując się na Brytoli. UE podnosi, to my razem z resztą Unii. Z okazji pandemii było to samo – robimy tak, jak robią inni, to się na nas nikt nie obrazi, niezależnie od tego, że robimy źle.

Gubernator Florydy, Ron DeSantis, szedł w kontrze do „reszty świata”. Poobrażali się na niego wszyscy wielcy, a on mimo to robił swoje. Szkoły były otwarte, plaże były otwarte, biznesy były otwarte, cmentarze i kościoły były otwarte, a sytuacja zdrowotna na Florydzie była dużo lepsza niż w stanach, które rujnowały życie ludzkie lockdownem. Ron DeSantis wytrwał przy tym, w co wierzył, i w ostatnich wyborach dostał nagrodę – zwyciężył nawet w tych okręgach, które stanowią twierdzą demokratów.

W Polsce nie znalazł się żaden odważny polityk –

wszyscy tańczyli, jak im kazało WHO. Teraz wszyscy tańczą, jak im zagrają Kongres Klimatyczny, UE, Davos. Byle tylko ktoś się na nas nie obraził.

Mam przed sobą „Odezwę Biskupów Polskich przed wyborami”, które były sto lat temu – w listopadzie roku 1922. Wtedy episkopat nie stosował uników. Cytuje wyłączenie fragmenty „obraźliwe”:

„Obowiązkiem pierwszym każdego obywatela-katolika jest, by stanąć do urny wyborczej. Nie biorąc bowiem udziału w głosowaniu, sprawia, że posłem zostać może szkodnik narodowy.

Drugim świętym obowiązkiem jest oddać głos tylko na ludzi, którzy dają pewność, że zawsze i wszędzie będą bronić praw i wolności naszego Świętego Kościoła. Nie godzi się zaś i nie wolno głosować na wrogów Kościoła.

Osobno przypominamy, abyście żądali od tych, co staną jako kandydaci na posłów, jasnego i głośnego przyrzeczenia, że będą w Sejmie i Senacie domagali się szkół, gdzieby dzieci katolickie otrzymywały naukę i wychowanie w duchu katolickim od nauczycieli katolickich. Tak samo domagajcie się głośnej obietnicy, że w razie potrzeby wystąpią śmiało i nieugięcie jako obrońcy ślubów religijnych i nierozzerwalności małżeństwa chrześcijańskiego.

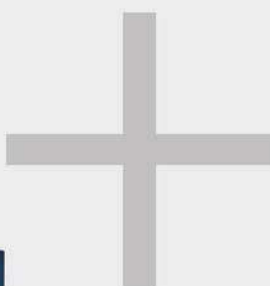
Duchowieństwo odczyta powyższą odezwę Episkopatu z ambon, przyczem wstrzyma się w kościele od wszelkich tłumaczeń, dotyczących wyborów. Poza kościołem pozostawia się kapłanom swobodę polecenia stronnictw, stojących na gruncie katolickim i narodowym. W myśl prawa kanonicznego, pozwolenie na kandydowanie do Sejmu i Senatu kapłanowi daje ordynariusz okręgu, w którym kapłan ubiega się o mandat poselski”. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE PAKIET KSIĄŻEK

KS. R. SKRZYP CZAK, P. CHMIELEWSKI:
„OGIE Ń W KOŚCIELE”, BP J. E. STRICKLAND:
„ŚWIATŁO I ZACZYŃ” ORAZ KARD. W. J. EIJK,
A. GALLI: „BÓG ŻYJE W HOLANDII”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~537zł~~

219,00zł
OSZCZĘDNOŚĆ 318zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJ DŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty,
przedłużymy Ci obecnie trwającą
prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 878994614e

Blue Angels

 **PROMASTER**



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW